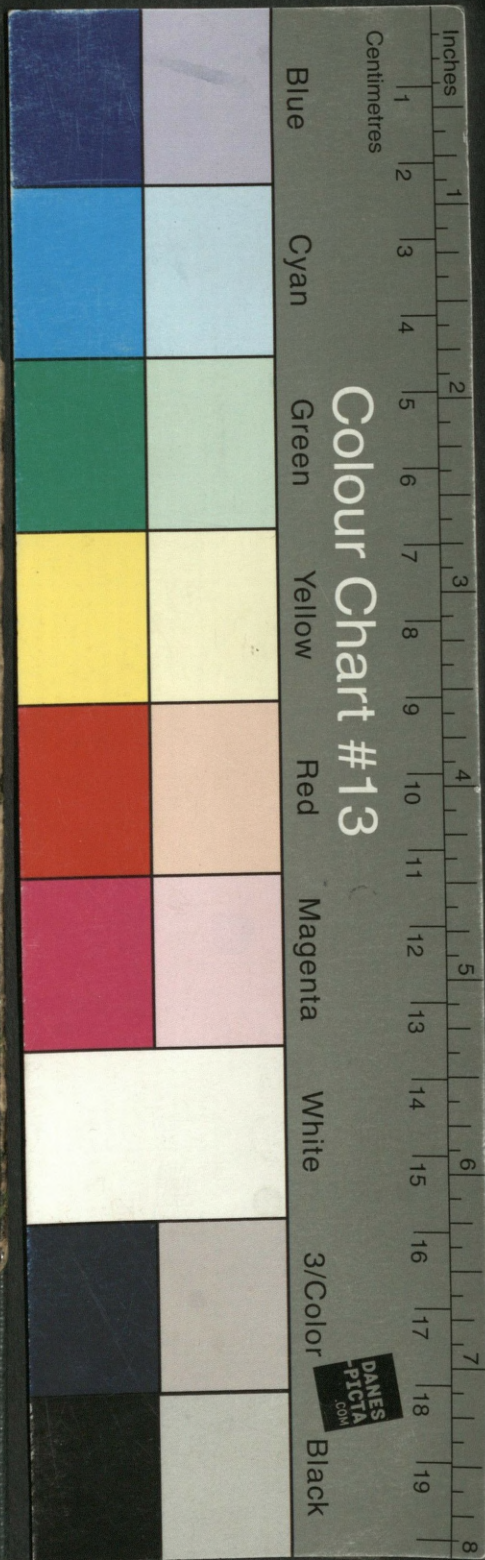


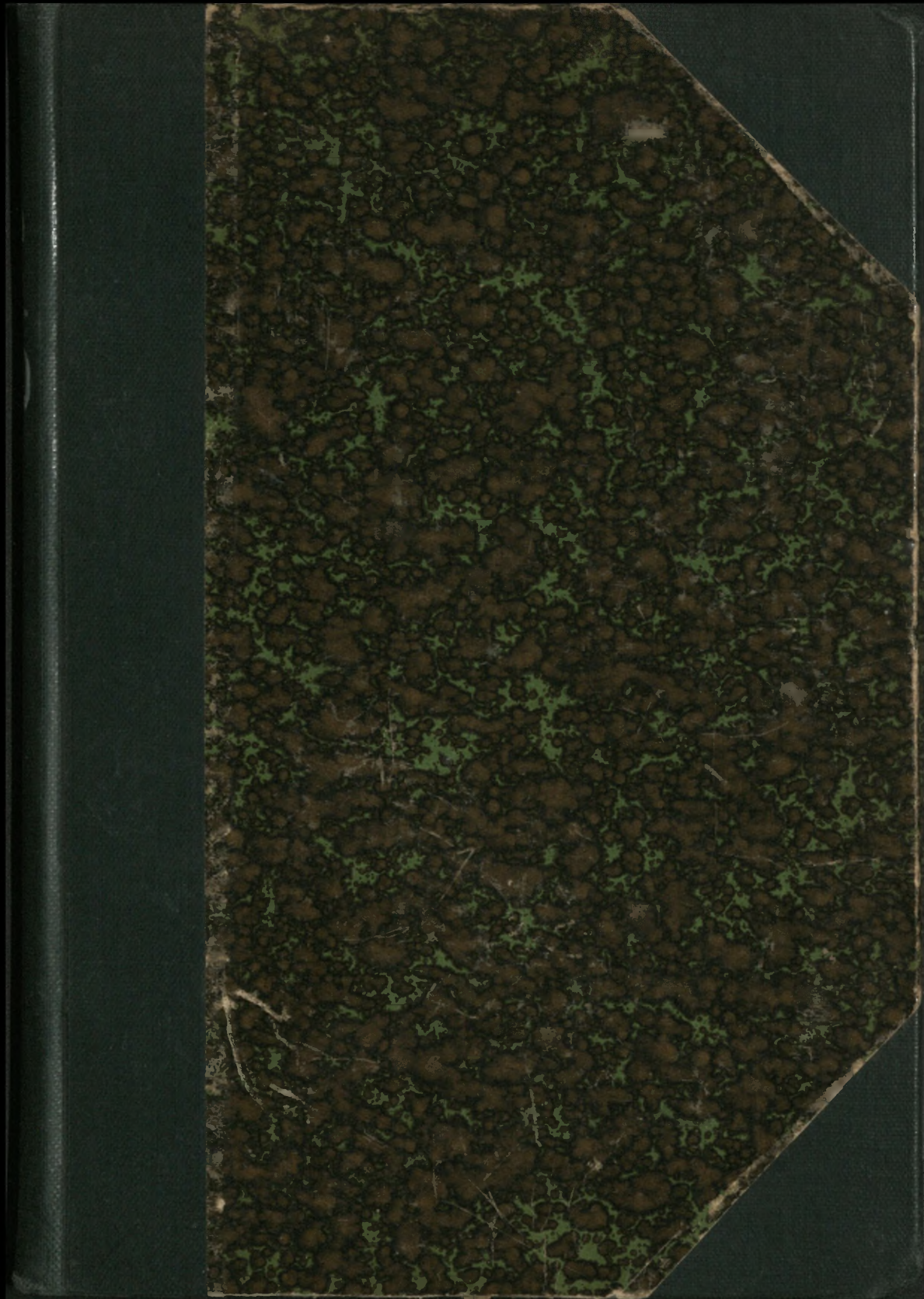
Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





L. J. 26. B.

SŁUŻBA SPOŁECZNA

**WOJSKO POLSKIE
GŁÓWNY ZARZĄD POLN.-WYCH.
Wydział Świetlicowy**

L. _____

*6
524*

2. 22. 22

22.

WILSON'S
AND
WILSON'S
WILSON'S



SŁUŻBA SPOŁECZNA

WYPISY SPOŁECZNE ZEBRANE I UŁOŻONE
STARANIEM KRAKOWSKIEGO KOŁA STO-
WARZYSZENIA „SŁUŻBA OBYWATELSKA”.

*„Nie sami, ale z całym stworzeniem
wstępujemy w niebiosy”.*

J. Słowacki.

L. J. 26. B

W I L N O

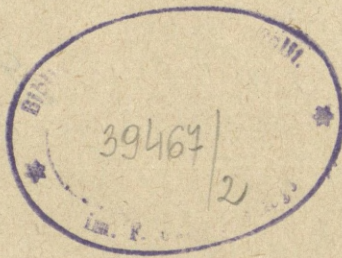
WYDAWNICTWO WILEŃSKIEGO KOŁA STOWARZYSZENIA „SŁUŻBA
OBYWATELSKA”. SKŁAD GŁÓWNY: KSIĘGARNIA W. MAKOWSKIEGO

1 9 2 9

4613/15

8

42



698/III.

PRZEDMOWA

Projekt ułożenia wypisów społecznych powstał na kursie „*Nauki Obywatelstwa*”,¹⁾ który odbył się w Krakowie, w listopadzie i grudniu 1926 roku, dla nauczycielstwa żeńskich szkół zawodowych, staraniem miejscowego Koła Stowarzyszenia „*Służba Obywatelska*”. Wykłady kursu, seminarja i lekcje niejednokrotnie ilustrowano odpowiednio dobranymi wyjątkami z dzieł wybitnych pisarzy — nieraz wyjątki te były motywem przewodnim, z którego słuchaczki snuły wątek wniosków, spostrzeżeń i pouczeń życiowych.

Zebrane na kursie nauczycielstwo uznało, że pożądane byłoby wydanie wyboru takich wyjątków, jako środka pomocniczego do „*Nauki Obywatelstwa*” i wykonanie uchwały powierzyło Zarządowi Krakowskiego Koła Stowarzyszenia „*Służby Obywatelskiej*”. Owocem uchwał tych jest książka niniejsza. Wydając ją w tej postaci, zdajemy sobie sprawę z braków jej i niedostatków, a także w pełni świadomi jesteśmy, że współczesna pedagogja zdążyła do usuwania z nauki szkolnej wypisów, do zastępowania ich biblioteczkami podręcznymi dla młodzieży. To program na jutro — wszelako dzisiaj jeszcze biblioteczki te nie są dostatecznie zaopatrzone w książki z zakresu wiedzy społecznej, brak nam tanich, przystępnych wydawnictw, nie wszyscy uczący orjentują się dostatecznie w tej tak mało dotąd znanej dziedzinie. I dlatego wypisy mogą oddać pewne usługi polskiemu szkolnictwu, a także oświacie pozaszkolnej, pomóc w układaniu lekcyj, w prowadzeniu pogadanek, zwrócić uwagę na wiele zjawisk i zagadnień, dokoła których dotąd przechodziliśmy nieświadomie lub obojętnie.

Wiek XIX-sty przyniósł rozkwit wiedzy o społeczeństwie — pierwszy August Comte uznał socjologję za ostatni szczebel ludzkiego poznania, Ward nazwał ją „*nauką nauk*”.²⁾ Życie współczesne wysuwa na pierwszy plan sprawy społeczne, dokoła

¹⁾ Kurs trwał cały miesiąc, a doszedł do skutku dzięki poparciu Ministerstwa W. R. i O. P., które udzieliło urlopów i subwencji.

²⁾ „*Scientia scientiarum*”.

nich skupiają się dzisiaj wysiłki zarówno uczonych badaczy, jak mężów stanu i polityków, zarówno poszczególnych reformatorów, marzących o lepszym ustroju, jak całych grup społecznych, współdziałających dla wspólnego dobra, lub zwalczających się w imię różnicy haseł i interesów.

W oczach naszych kielkuje i rozwija się *ideał służby społecznej*; wciąga on w kręgi swe coraz liczniejsze zastępy pracowników, przebudowuje dusze ludzkie, przygotowując posiew dla dni, które zczasem nadejdą. Wedle Wiliama James'a¹⁾, „współczesne marzenia o sprawiedliwości społecznej, pomimo rozbieżności z warunkami otaczającego nas życia, podobne są wierzeniom świętych w istnienie królestwa niebieskiego. Pomagają do stępienia ostrza panującej surowości i są drożdżami ku lepszemu porządkowi rzeczy. James porównywa współczesnych pracowników społecznych do średniowiecznych świętych i stwierdza, że „branie udziału w ogólnych sprawach ludzkich uważane jest dzisiaj za zasadniczy pierwiastek wartości charakteru, a przyniesienie jakiejś publicznej lub prywatnej korzyści uznane jest za rodzaj służby bożej“.

Wiedza społeczna ma doniosłe praktyczne znaczenie, wedle słów prof. Franciszka Bujaka²⁾, „pozwala ona rozumieć niezmienne zawikłaną istotę życia zbiorowego, społecznego i państwowego, uczy właściwego postępowania ze zjawiskami i wytworami tego życia hamując niewczesne wybuchy namiętności, dając głos rozsądkowi w miejsce instynktu. Uczy ona, że jednostka i społeczeństwo wzajemnie na siebie oddziałują i warunkują się tak dalece, że się wzajemnie kształtują i wytwarzają, że istnieje między nimi głęboka wspólność interesów, obok pewnych sprzeczności, że ta wspólność stawia zasadę „*solidarności*“, jako przewodnią gwiazdę ludzkości”.

Rozwijająca się szybko wiedza społeczna i związane z nią ideały służby społecznej znalazły oddźwięk w szkolnictwie współczesnem, oddziaływały na poglądy wychowawcze, na plany, metody i podręczniki. Pedagogowie dni naszych coraz wyraźniej zdają sobie sprawę, że ważne reformy muszą być przeprowadzone w tej dziedzinie. Trzeba zawczasu przygotowywać młodzież do życia w zespołach, wyrabiać w niej karność, ofiarność, zdolność do podporządkowywania interesów jednostek i rodzin wyższym zadaniom narodów, państw i ich związków, które coraz szersze zataczają kręgi.

¹⁾ „Doświadczenia religijne“.

²⁾ „Nauka a społeczeństwo“. III tom wyd. kasy im. Mianowskiego p. t. „Nauka polska“.

Prądy te, acz oddawna przejawiające się w Polsce, znalazły dzisiaj dla siebie grunt podatny w nurtującym społeczeństwie pytaniu: *czem zastąpić ideał niepodległości*, który przez cały okres porozbiorowy był ośrodkiem życia zbiorowego, ogniskiem skupiającem w sobie wysiłki i ofiary narodu? Z chwilą, gdy Polska odzyskała niepodległość polityczną, niejednemu zdawać się mogło, że stanął wobec pustki, zatracił bezpośredni cel życia... Dawny ideał został urzeczywistniony, nowy się jeszcze nie skryształizował wyraźnie. Jedni szukają go niespokojnie, inni toną w egoizmie i bezwładzie, dla wielu świta on już w postaci *odrodzonego obywatelstwa i służby społecznej*... Ku nim to młodzież kierować należy. Młodzież dzisiejszą żywo obchodzą zagadnienia etyki społecznej, bez której nie polepszą stosunków najwspólniejsze zdobycze techniki. Nauczycielstwo, o ile chce utrzymać w swych rękach „rząd dusz”, nie może nie poruszać wielu spraw, zadań i chorób społecznych, jakie nasuwa życie, nie może pomijać tego, co zajmuje i niepokoi umysły wychowanków. Wiele starych pojęć i form już się przeżyło, trzeba szukać nowych dróg, by trafić do duszy młodego pokolenia, wzbudzić zaufanie, kierować niem i chronić...

Dlatego to naukę o współczesności wprowadzono do szkół naszych wszelakiego typu i stopnia, pod nazwą „*Nauki o Polsce*” w szkołach powszechnych i średnich, „*Nauki Obywatelstwa*” w szkołach zawodowych. Stowarzyszenie „Służba Obywatelska”, przy pomocy p. dr. Ludwika Dobrzyńskiej-Rybickiej, docentki Uniwersytetu Poznańskiego, podjęło pracę nad rozwojem i udoskonalaniem tej nauki, nad oparciem jej na podwalinie socjologicznej. Jednem z ogniw wysiłków tych jest książka niniejsza.

Przewodnikiem w szukaniu, doborze i klasyfikacji wypisów był program „*Nauki Obywatelstwa*”, ułożony przez p. dr. Ludwikę Dobrzyńską-Rybicką — nie dało się jednak przystosować doń w zupełności. Wszelki system w tego rodzaju pracy jest zresztą zbyteczny, wpływ mają te czynniki osobiste, jakoby przypadkowe, zwracające uwagę na te, a nie inne książki, tych, a nie innych autorów. Tłomaczy to braki materiału w jednych dziedzinach a nadmiar w drugich. Zbiór niniejszy jest pierwszą próbą, która, o ile odpowie potrzebom naszego szkolnictwa, może być uzupełniona przez dalsze wydawnictwa, których plan już się zarysowuje.

Dla ułatwienia orjentacji zebrany materiał, w liczbie 84 ustępów, został sklasyfikowany i ujęty w 10 następujących rozdziałach: 1. Człowiek — istota społeczna, 2. Solidarność społeczna, 3. Formy i przejawy życia społecznego, 4. Rodzina, 5. Ojczyzna i Naród, 6. Państwo, 7. Obywatel, 8. Służba społeczna, 9. Choroby społeczne, 10. Ideały społeczne.

Wśród autorów na pierwszy plan wysuwają się pisarze Polacy, choć nie brak przedstawicieli literatur obcych, różnych czasów i narodów. Czerpano z twórczości 49 autorów, 31 polskich, 18 obcych, przejrano 150 książek.

Różne wypisy polskie i zagraniczne zaopatrzone są często we wskazówki do pogadanek, w tematy do zadań i ćwiczeń. Idzie tu o ułatwienie pracy nauczycielstwu, o wydobyć istotnej treści z każdego ustępu, zwrócić uwagi na tkwiące w nich wartości etyczne i artystyczne. Pomoc taka tutaj wydaje się zbyt duża — mniemamy, że zarówno nauczyciele jak uczniowie wysnują sami z kart tych wątek do rozmyślań, pogadanek, obserwacji i ćwiczeń, że głos wybitnych pisarzy przemówi do serc i umysłów, wskaże drogi, wiedące do lepszej przyszłości. Lekcje improwizowane, coraz to inne, wysnute z wzajemnego oddziaływania na siebie autora, nauczyciela i uczniów, przeżyć i stosunków chwili bieżącej, będą może lepsze i piękniejsze od lekcji prowadzonych wedle określonych form i przepisów.

W każdej istocie ludzkiej doszukać się można zawiazku *zmysłu społecznego*, boć cały ród ludzki stanowi jedną całość, związaną ze sobą najściślej w węzłami. ¹⁾ Nauczyciel winien zmysł ów rozbudzić i wykształcić, aby się stał twórczą siłą życiową. Zadanie to wymaga nie tylko wiedzy, ale także serca i talentu. Musi on sam być silnie zespolony z drugimi, odczuwać istotną wspólnotę ludzką, poza rozdzielnością zewnętrzną, posiadać w sobie zadatek sztuki, którą Platon nazwał „królewską sztuką splatania dusz”. Warunki to niezbędne dla budowniczych lepszego jutra w dziedzinie stosunków społecznych.

¹⁾ U wejścia do Mundaneum, słynnego muzeum historycznego w Brukseli, czytamy napis następujący: „Ludzkość jest jakoby jeden człowiek, który żyje zawsze i uczy się nieprzerwanie. Ziemia, to dobro wspólne, które zbiorowa praca ludzi przekształcić może w źródło bogactwa i radości dla wszystkich“.

I

CZŁOWIEK — ISTOTA SPOŁECZNA

*„Stan społeczny jest największem
dobrodziejstwem, sprawiedliwość zaś
podstawą społeczeństwa“.*

Arystoteles.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

CZŁOWIEK — ISTOTA SPOŁECZNA

Człowiek sam w sobie i sam dla siebie nie istnieje, niesie go wiecznie fala życia społecznego. W owym życiu jest on podmiotem twórczym. Nie może wyrwać się z pęt życia społecznego, któremu zresztą wszystko zawdzięcza, wszystko złe i dobre, ale ponad tem wszystkim siebie samego, bo wiedzę o sobie! Przez bliźniego zdobywa człowiek zdolność rozwoju... bliźni staje się ośrodkiem życia narówni ze mną, według siebie mam obowiązek oceniać jego wartość. Jedno więc tu może być tylko przykazanie:

Czcij bliźniego twego, jak siebie samego!

Pierwiastek życia ludzkiego jest w istocie swojej pierwiastkiem *braterstwa*. W rdzeniu istnienia spoczywa *równość*, zatem zbliżanie się do niej w praktyce jest obowiązkiem społecznym. Czcij bliźniego jak siebie samego, a siał będziesz pokój wśród ludzi dobrej woli, by razem łamać zapory rozwoju. Jest to droga *rycerstwa życiowego*.

(Dr. Feliks Młynarski: „Zasady filozofii społecznej“. Warszawa 1919 r.)

SPOŁECZEŃSTWO

Spółeczeństwo jest to wielka liczba ludzi, tworzących związek organiczny. Siłą tej całości jest — Duch społeczny, Materiałem — Ludzkość, Budową wewnętrzną — rozmaite związki między ludźmi, np. rodzina, spółka, warsztat... Formą są instytucje społeczne np. kościół, rząd, instytucje filantropijne, instytucje poświęcone pracy... Powierzchnowością są wszystkie cechy zewnętrzne społeczeństwa, a jego wielkością — liczba członków, to jest tych ludzi, którzy czują swą przynależność do społeczeństwa i dla niego, mniej więcej, świadomie pracują.

Określić społeczeństwo możnaby jeszcze zapomocą innego porównania, mianowicie:

Spółeczeństwo podobne jest do drzewa, które posiada dziewięć konarów: kościół, rząd, uniwersytet, szkoły średnie i niższe, instytucje publicznej użyteczności, instytucje pracy, sztukę, sport i urzędnia dla potrzeb biologicznych.

Każdy taki konar dzieli się na mnóstwo gałęzi i składa się z warstw: pracujących, kierujących, posiadających i roznośzących. Każda zaś warstwa składa się ze związków, jak rodziny, spółki i t. d. Nadto w każdej warstwie znajdują się rozmaite materiały, czyli jednostki ludzkie, należące do rozmaitych ras, płci i wieku. Jedne z nich są pełne siły twórczej (dojrzały), inne dopiero dojrzewają (młodzież), inne już zestarzały się i przestały pracować (starcy). Wszystko to zaś jest wypełnione Duchem społecznym.

Pierwszym warunkiem, ażeby gromada ludzi utworzyła związek społeczny jest — jakiś wspólny a ważny cel... naprzykład — chęć zabezpieczenia życia. I jeszcze drugi warunek, mianowicie ten, ażeby członkowie owego społeczeństwa swój wspólny interes rozumieli...

Nasieniem więc, z którego wyrosło społeczeństwo jest — dusza ludzka.

Porozumienie, Współczucie i Naśladownictwo, czyli razem: Współdzwęczność, stanowią konieczny duchowy węzeł przysłego społeczeństwa.

Gdy duchowy węzeł jest zawiązany, gdy nastąpiło najogólniejsze skojarzenie, musi nastąpić Organizacja. Pierwszym objawem organizacji jest — podział pracy. Temu zaś podziałowi pracy musi towarzyszyć inny fakt; wymiany usług, która ściśle kojarzy się z podziałem zysków. Te zjawiska, jak kojarzenie usiłowań, podział pracy, wymiana usług, podział zysków — są to niby wielkie fale, tworzące się na strumieniu życia, złożonym z dwu prądów. Jednym jest — wytworzenie przedmiotów użytecznych np. pieczenie chleba, szycie odzieży i obuwia... Drugim jest — zużywanie, a więc — zjadanie owego chleba i pokarmów, noszenie odzieży i obuwia i t. d.

Zjawiska społeczne w ogólnych zarysach są podobne do zjawisk życia ludzkiego.

Podobnie jak istoty organiczne, tak i społeczeństwa chorują, niekiedy śmiertelnie. Lenistwo, zwyrodnienie, nędza, niesprawiedliwość, upadek religji i najwyższych ideałów, wyłączne ubieganie się za zyskiem i użyciem — są dla społeczeństw symptomami śmiertelnej choroby.

Spoczezeństwa rodzą się — rosną — rozmnażają — a czasami ciężko chorują i giną.

Wartość społeczeństwa nie zależy od obszerności jego terytorjów, ale od ilości przerobionych wytworów natury; nie zależy też od bezwzględnej liczby mieszkańców, ale od stosunkowej ilości jednostek produkcyjnych i od siły, jakie jednostka wkłada w pracę.

Z dwu krajów, nie ten jest wyższy, który ma więcej ziemi, ale ten, który jest głębiej uprawiany, karmi więcej roślin, zwierząt i ludzi. Z dwu wyrobów nie ten jest wyższy, który imponuje wymiarami, ale ten, w który włożono więcej sił, zręczności, wiedzy i uczucia. Podobnie naród, w którym na 100 ludności pracuje 70, jest żywotniejszym od tego, w którym na 100 ludności pracuje tylko 60.

Naród, który w wytwory swoje wkłada siłę fizyczną, wiedzę i artyzm, jest wyższy od tego, który posługuje się tylko siłą fizyczną. Naród, w którym jest więcej ludzi szczęśliwych, doskonałych i użytecznych, góruje nad tym, w którym jest ich stosunkowo mniej.

Istotna wielkość narodu nie polega na wymiarach, sławie, ale na wynalezieniu i utrzymaniu takiego stanu równowagi społecznej, w którymby istniało najwięcej pracy, szczęścia, doskonałości, wymiany usług, a najmniej próżniactwa, cierpień, ułomności i walk.

(Bolesław Prus: „Najogólniejsze ideały życiowe“. 1905.
Warszawa. Nakładem J. Fiszera).

WSPÓŁŻYCIE I WSPÓŁPRACA

Odwieczne jest w człowieku poczucie współjedni w doli i niedoli, w wyszłochaniu smutku, w wyśmianiu radości w gronie współczujących, na łonie rodziny, w ramionach przyjaciół, w uczestnictwie gromady.

Niedawno we wspomnieniu wracamy tak chętnie do uroczystych chwil zharmonizowania się z przeżyciem społecznym, do spotęgowania rytmu swej duszy echowym odgłosem współdźwięku, zbudzonego w zbiorowości ludzkiej. Przypomnijmy sobie chwile żrącej tęsknoty, pustki, niedosytu, gdy z samotnych rozważań, z czterech ścian kamiennych swego nieukoju, z ust palącej niemocy wybiegamy do ludzi, na ulice, aleje, rojne place i rynki, gdy wchodząc do teatru, cyrku, kabaretu, szukamy nie właściwej programowej rozrywki, lecz ludzi, ludzi..... by się z nimi współcieszyć, współradować i smucić, współwalczyć i współdziałać...

Rozbrzmiewające uciechą społecznej współpracy nawoływania dziecinne do budowania mostów dla pana starosty i „hej-że dzieci, hej-że ha, róbcie to, co i ja”—z tych samych źródeł czerpią moc żywotną i sugestję nieodpartego żadnem rozumowa-

niem rozkazu, któremu dziecko oddaje się z radością, wplatając się w łańcuch społecznej zależności, bo bije w niej wzmożone tętno życia.

.

Toż samo uniwersalistyczne dążenie, żywe w okresie powstawania piramid i świątyń indyjskich, w okresie zbiorowego tworzenia Ramajany i Mahabharaty, Iljady i Odyssei, epiki i liryki ludowej narodów europejskich, tryskające do Boga gromadzką modlitwą gotyckich świątyń kającego się z grzechu życia średniowiecza—toż samo niezgasłe dążenie znalazło nowoczesny wyraz w cyklopowych kształtach okrętów—miast, niebotycznych amerykańskich domów—drapaczy, w nadludzkich przejawach skoordynowanej pracy przy przeprowadzeniu Panamskiego kanału, wyznaczaniu łożyska właściwego morzu, kształtowaniu łądów, podbiciu bezpańskiej powietrznej przestrzeni—to natchnione dążenie *zbiorowego wysiłku*, zharmonizowanego z dążeniem ludzkości do celowego kształtowania bytu zgodnie z wyczuciem świata, jako coraz gęstszej, jednoczącej sieci zależności i ustosunkowań...

(Jan Nepomucen Miller „Zaraza w Grenadzie“. Warszawa 1926 r.)

DLACZEGO?

Wszystkie wielkie ludzkie katastrofy są mniej albo więcej do siebie podobne. Przypominam sobie, że byłem w San Francisco świeżo po wielkiem trzęsieniu ziemi r. 1906, kiedy to na krótką chwilę, na jakieś kilka tygodni ludzie byli „wytrząśnięci z siebie samych“. Ludzie usługiwali zamiast wymagać usług, dawali zamiast przyjmować. Dopomagali swoim sąsiadom. Na jedną wspaniałą chwilę to zburzone miasto stało się „chrześcijańskim miastem“. Ludzie nazywali to „miłością trzęsienia ziemi“ i wkrótce też ona zgasła. Układano skwapliwie wielkie, utopijne plany rozbudowania miasta, rozszerzenia ulic, usunięcia dzielnicy chińskiej, układano plany lepszego zarządu miasta, lepszej współpracy między robotnikiem a kapitałem. Nic na przyszłość nie miało zostać takim, jakim było w przeszłości. San Francisco miało się stać pięknem, czystem, sprawiedliwym! Okres wzajemnej pomocy trwał około miesiąca... Stopniowo, trochę tu, trochę tam, osobista chciwość i prywatny interes zaczęły się przejawiać... Ludzie przypomnieli sobie znowu, czem są“. Wielkie plany współpracy poszły w niepamięć. „Dlaczego musi tak być koniecz-

nie—wołał obserwator, patrzący na to z boku—by ludzie inteligentni, zdolni służyć i pracować razem, tak jak to czynili w pierwszych dniach po trzęsieniu ziemi, spadali z powrotem pod władzę instynktów i poddawali się znów prawu dzungli?“

Jakżeż często w miesiącach, następujących bezpośrednio po zawieszeniu broni z Niemcami, d. 11 listopada 1918 r., przypominała się ta dawniejsza katastrofa! Wspólne cierpienia i wspólny strach wojny wytworzyły taki sam wspaniały moment „miłości świata“, sprzymierzone narody podporządkowały własne interesy i szlachetnie pracowały razem. „Stary porządek“ miał być nazawsze usunięty — „świat piękny“ miał być zbudowany na dymiących gruzach starej cywilizacji. Małe narody, zarówno jak wielkie, miały doznać sprawiedliwości, a wielkie miały się rozbroić. Miała nastać światowa Liga Pokoju. Zaledwie ukończyła się wojna, a już wielki moralny entuzjazm zaczął błędnać i znikać. Duch jedności zaczął się rozkładać.

(W. Wilson: „Kształtowanie losów świata“. 1924 r. Warszawa, Biblioteka Polska).

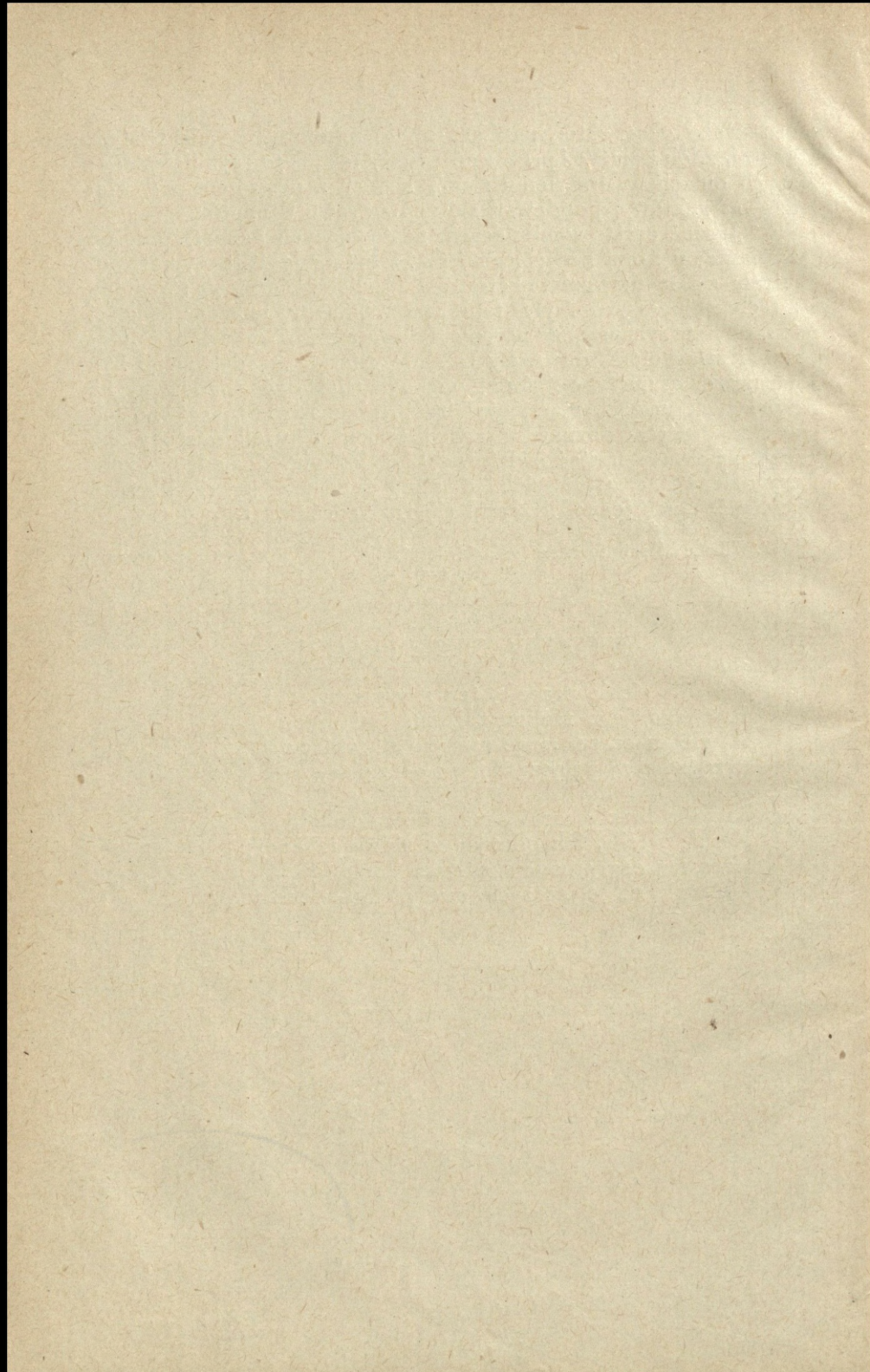
KTO DLA SIEBIE PRACUJE

Kto dla siebie pracuje, ten siły utracą,
Rąk jego, jego ramion znikoma jest praca.
A wicher czasu, lecąc szeroko po świecie,
Przędę ową pajęczą uniesie—i zmiecie.

Kto dla braci pracuje, ma moc za miliony,
Rośnie w siłę, jak olbrzym, o ziemię rzucony;
Czas mu cegły podaje, utrwala budowę,
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.

M. Konopnicka.





II

SOLIDARNOŚĆ SPOŁECZNA

„Wszystko, co mnie spotyka, spotyka innych także”.

O. Wilde.

СОВЕТЪ СЪЮЗНЫХЪ РАЙОНОВЪ

ВЪЗВѢЩАЮЩЕГО
ОБЪЕДИНЕННЫМЪ
ПРЕДЪПРИЯТИЯМЪ
ОБЪЕДИНЕННЫМЪ
ПРЕДЪПРИЯТИЯМЪ

SOLIDARNOŚĆ SPOŁECZNA

XIV

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki,
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągle rzesza żywa,
Jako strumienie, mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy,

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając na wypadków fali
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

XV

Na dzieci spada win ojcowskich brzemie,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza:
Każde gwałcące sprawiedliwość plemię
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Złe, jak zaraza w lot obiega ziemię...
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyjademie,
Zatrutem technieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
Nikt ująć nie może złych wpływów przekleństwa;
Każdemu w dziele część winy przypadnie,

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w swojej duszy na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVI

Co złość zniweczy, co występек zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą zastęp duchów duży,
Jak łańcuch w niebo lecących zórawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca,

I coraz głębiej przenikając czysta
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XVII

Tak złe, jak dobre wspólną jest zdobyczą:
I ci, co czynem ewangelję głoszą,
I ci, co ziemię zbrodniami pustoszą,
Dzielią się plonem i spadek dziedziczą;

I wszyscy następstw ciężary ponoszą,
Wszyscy w dorobku ciężkim uczestniczą,
Który napawa bólem lub rozkoszą
Ludzkiego rodu duszę tajemniczą.

Ten wzajemności twardy obowiązek,
Zależność losów i współnictwo winy
Z pnia odwiecznego wyrosłych gałęzek,

Utrwala wielki religijny związek,
Łączący członków rozpierzchnięj rodziny
W Duchu, co wszystko ożywia jedyny!

WARTOŚĆ WSPÓŁPRACY

Praca to wielka rzecz — to bardzo wielka rzecz! To podwalina świata i stosunków ludzkich, to podstawa człowieczej godności. Praca jest zdrowiem naszym, szczęściem — zbawieniem! Nie klęską, jak myślą niektórzy bezmyślni — nie przekleństwem jest praca dla ludów, lecz ich — błogosławieństwem.

Sprawiedliwość społeczna płynie jedynie z pracy uczciwej, a człowiek dający wiele społecznej gospodarce — słusznie winien odbierać odpowiednio wiele. Tak pracodawca, jak pracownik, oddający przedsiębiorstwu, co mają w sobie najlepszemu, są najpożądańszymi, jakich zarówno przedsiębiorstwo jak i społeczeństwo mieć mogą, lecz wzajem nikt nie ma prawa wymagać, by poświęcali się oni dla przedsiębiorstwa i dla społeczeństwa, nie odbierając odpowiedniego uznania swej pracy.

Praca, jeśli ma być pożyteczną w całej pełni i doskonałą — o ile to w stosunkach ludzkich możliwe — musi być jak najlepiej zharmonizowanym działaniem; wszelka szarpanina, targanie ku sobie i swoim zyskom poszczególnych dziedzin, działów, sposobów, czy częściowych rezultatów pracy jest przedewszystkiem niezrozumieniem idei pracy i niezbędnej w niej cechy harmonji, doskonałego zestroju współdziałania, a dalej — jest karygodnym szkodnictwem względem przedsiębiorstwa, względem współpracowników występką, a względem społeczeństwa jest nawet zbrodnią, która w odpowiednich okolicznościach może urosnąć do rozmiarów niepowetowanego i nieobliczalnego zła; zarówno pracodawca, jak pracownicy zrozumieć winni, że tylko dzięki zgodnemu, solidarnemu wysiłkowi wszystkich — jak najlepszemu i jak najszczerszemu — wzrastają przedsiębiorstwa, że tylko dzięki zgodnemu współdziałaniu rozwijają się, że tylko wtedy wzbogacają siebie i swoich przynależnych. Tak jak w rodzinie musi być łączność i zgoda, wyrozumienie wzajemne i poczucie wspólnoty pewnych dóbr duchowych i materialnych, tak samo winno być w przedsiębiorstwie, które jest rozszerzoną powiększoną rodziną. Tylko w poczuciu jedności celów, mądrego zużycia zasobów i środków, tylko w solidarnem współdziałaniu ku wspólnemu dobru, a więc jedynie w harmonji pracy może być pewne powodzenie.

Jeżeli zaś natomiast do tego czy owego przedsiębiorstwa, mniejszego lub większego, wkradną się rozterki, nieporozumienia, waśnie pomiędzy pracownikami, jeśli korzyści czy przywileje poszczególnych pracowników używa się jako motywy zatargów, sporów i waśni, wówczas interes podupadać musi i upadnie, a wszyscy jego pracownicy — więc i pracodawcy także, bo ci

są tylko przodownikami na polach pracy, — muszą tracić, ponoszą szkody, na których cierpi społeczeństwo, uboższe materialnie, opóźnia się w drodze do postępu i wreszcie pozostaje w tyle za innemi ludami.

A straty moralne? Te najczęściej przenoszą jeszcze o wiele straty materialne — bo gdy materialne szkody można powetować, nadrobić i nagrodzić, zmieniawszy radykalnie złe metody, naprawiwszy braki — to straty moralne, szkody w dziedzinie ducha bywają z rodzaju tych, które są niepowetowane, przynajmniej na długo bardzo — na pokolenia całe powetować się, ani zatrzeć nie dadzą. Malkontentyzm społeczny, socjalne walki, klasowe waśnie, rozterki — oto przekłety plon straszliwego nieporozumienia, jakie w dziedzinach pracy tak często się daje we znaki — i to u wszystkich ludów, w mniejszym lub większym stopniu. Ludzie zapominają, iż wspólnie, zgodnie, harmonijnie zdziałać można wszystko, zaś szarpaniną, rozterką i waśnią do niczego dodatniego się nie dojdzie, przeciwnie podkopie się i zabije własne życiodajne przedsiębiorstwo-rodzinę, a więc sprawi się szkodę — przedewszystkiem sobie i swoim. Nie rozumieją tego masy, zapoznają ten pewnik przodownicy i przywódcy, a w rezultacie świat zamiast pracować — pracować — pracować — jak najwydatniej, jak najwięcej — kłóci się i drze o żebraczy łachman marnego zarobku.

Tylko praca — jak najwięcej pracy — da mienie, spokój, da zadowolenie indywidualne i społeczne, da dobrobyt, postęp, doskonalenie się ludzkości całej. *Tylko w pokojowej współpracy twórczej i budującej leży rozwiązanie trudności socjalnych.*

(„Miljardy w służbie“. Myśli Henryka Forda. Książki życia — II. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa. 1927 r.)

GDY CUDZE WĘGŁY

...Gdy cudze węgły się ruszą,
Nie ciesz się stratą sąsiada:
Gdy się pion domu zachwieje,
Na wszystkich strzecha upada.

M. Konopnicka.

BRATERSTWO LUDZI

Co inni nas obchodzą? Cośmy im winni?

Prawie każdy sprzęt naszego użytku codziennego i każdy kęs pożywienia naszego wykazuje ślady pracy człowieka poza granicami naszej ojczyzny.

Z atlasem w rękę odbądźcie kiedy podróż wywiadowczą po mieszkaniu i zapytajcie się następnie sami siebie: czy pojedyncze przedmioty i środki żywności nie wiodą was do wszystkich krajów, zaznaczonych na waszych mapach, i czy istnieje plemię ludzkie, nie przyczyniające się w czemkolwiek do zadowolenia waszych potrzeb? Kto wyczytać potrafi, ile wszystkie te przedmioty zawierają w sobie trudu ludzkiego ze wszystkich stref, kto umie odcyfrować życie ludzkie, zawarte w takim produkcie, spostrzeże, iż ogród koło domu i mur miejski stanowią tylko sztuczne granice, bo najdalsi przedostali się oddawna przez wszystkie te zagrodenia, dopomogli mu w budowaniu jego domu, urządzili jego ogród, wyrobili jego sprzęty, wytkali jego odzież, a jego posiłek często przywieźli daleko z za morza.

Weźcie do ręki np. małą zapalną i uprzytomnijcie sobie, ilu ludzi i krajów przyczyniło się do jej wyrobienia. W lasach sosnowych otrzymała tułów, w gorących krajach zebrano gumę z drzewa gumowego dla posmarowania jej główki, w sycylijskich kopalniach dobito siarkę, która wraz z fosforem czyni główkę jej tak zapalną. A gdy wam jeszcze opowiem o niedoli chłopów sycylijskich, którzy tracą zdrowie w kopalniach siarki, czyż możecie spokojnie zapalić lampę i rzec: „To nas nic nie obchodzi”. Nie, chłopiec ten znajduje się wśród was, spożywacie częstą jego życia, które poświęcił dla was, jest waszym domownikiem i zasługuje, żebyście mu okazali serce. Czując i myśląc szerzej i wdzięczniej, wasz przykład działać będzie dalej i być może nastanie kiedyś dzień, gdy miłość do najdalszych wzrośnie i uświadomi się tak, iż człowiek nie będzie chciał spożywać tego, co wyrobiła nędza i nieszczęście.

Opowiem wam historję z Londynu, z której przekonacie się, jak najdalsi bywają dla was najbliżsi i jak narażamy się sami na niebezpieczeństwo, jeśli ich zostawimy bez pomocy w niebezpieczeństwie. W połowie zeszłego wieku dzielnice ubogich na wschodzie miasta były ściśle oddzielone od siedzib bogatych, zdawało się, że ocean rozdziela dwie połowy miasta. W tem wybuchnęły na wschodzie choroby zaraźliwe, przekonano się, że choroby te przyszły ze wschodniej strony miasta, mianowicie przez odzież z tamtejszych warsztatów krawieckich. A warsztaty te były norami nędzy i chorób. Tak więc nieszczę-

ście Londynu wschodniego powędrowało do Londynu zachodniego, dlatego iż Londyn wschodni pracował dla Londynu zachodniego. Wtedy ludziom z dzielnic bogatych otworzyły się oczy na to, jak bardzo ich obchodzi, jakie jest życie ubogich na wschodzie.

Zapytacie może: Jak mamy okazać miłość do najdalszych? Przecież to niepodobieństwo, żebyśmy każdym człowiekiem, który pracuje dla nas w pięciu częściach świata, zajmowali się myślą i sercem? Czyż nie zajęłoby to nam połowy życia, gdybyśmy się tylko dopytywali o zdrowie ludzi, którzy dla nas pracują? Czyżby w takim razie miłość do najbliższych nie ucierpiała na miłości do najdalszych? Naturalnie, ale nie rozumiemy tego tak. Winniśmy tylko objąć naszym wdzięcznym uczuciem i braterstwem wszystkich tych, których praca umysłowa lub fizyczna związana jest z naszym życiem. Nie możemy pomóc każdemu, ale jak się obchodzimy z każdym, z którym nas los zetknie, to zależy od tego, czy w sercu naszym ruszyło się podobne uczucie. Gdyby wszyscy ludzie tak czuli, wtedy każdy najbliższemu i najdalszemu służyłby wiernie w każdym czynie życia codziennego; w głębiach jego duszy świeciłby obraz braterstwa wszystkich ludzi i powstrzymywałby go od egoizmu i brutalności. Kto odczuwa najdalsze dobrodziejstwo, będzie przyjmował dary od najbliższych o wiele serdeczniej, niż człowiek gruboskórny, który nie chce zastanawiać się nad tem, co winien jest innym.

Wdzięczność stanowi najwyższe wykształcenie: im kto wdzięczniejszy, tem lepiej zna dzieje wszystkich swych dóbr duchowych i materialnych oraz ich pochodzenie, a te dzieje są dla serca człowieka ważniejsze niż daty wielkich bitw na lądzie i morzu.

...Co dzieje się z dobrami ducha, z naszą wiedzą i sumieniem, z dziełami sztuki i poezji, ze wszystkim, co bogaci naszą duszę i serce nasze podnosi? Czy zawdzięczamy je tylko nam samym, czy też tylko mieszkańcom naszego kraju?

Zacznijmy od biblii. Czyż Mojżesz i apostołowie byli Niemcami lub Szwajcarami? A czyż założyciele Kościoła Chrześcijańskiego nie byli Rzymianie i Grecy? Czyż zakonnicy irlandzcy nie byli pierwszymi, którzy z klasztorów swych w Germanji i Helwecji karczowali lasy i szerzyli oświatę?

Przypatrzmy się pochodzeniu naszej wiedzy. Kto zdoła wymienić narody i zliczyć osoby, które złączyły się w różnych naukach do wspólnej pracy? Nad samą tylko astronomją ileż pracowało narodów? Wszystko cokolwiek wiemy w tej dziedzi-

nie, powstało ze wspólnego spostrzegania wszystkich cywilizowanych narodów świata. Nad obliczeniem obrotów jednej gwiazdy pracują często obserwatorja różnych krajów. Czyście kiedy pomyśleli o tem, ilu ludzi mozolnie porównywało swoje spostrzeżenia, aż nareszcie ktoś wpadł na myśl, iż trudności będą usunięte przez przypuszczenie o obrocie słońca naokoło ziemi. Był to Grek Arystarch. A potem przyszedł inny, który pokazał, że wszystko ściśle stosuje się do siebie, gdy się przypuści, iż słońce obraca się około ziemi. Był to Grek Ptolomeusz. A gdy nareszcie przekonano się, że świat rzeczywisty nie zgadza się z tem przypuszczeniem, przeszło wiele wieków, aż nareszcie Polak Kopernik dokonał olbrzymiego wyliczenia dla wykazania, iż ziemia obraca się naokoło słońca. Przeszły znów wieki, zanim ogólnie uznano jego naukę, nieraz nawet palono lub więziono tych mężów, którzy zbyt śmiało głosili nowe poglądy. Więc kosztem ciężkich trudów zdobyta jest prawda, o której dowiadujecie się dzisiaj w jednej minucie; gdyby zliczono wszystkie bezsennie spędzone noce, które ona kosztowała, od zarania nauki o gwiazdach, wyniosłoby to miliony nocy egipskich, indyjskich, greckich, angielskich, francuskich, polskich, skandynawskich, niemieckich i włoskich. Gdyby nie te noce, pożądanie prawdy nie byłoby tak żywe w duszach naszych. Pomyślcie tylko, jakby wyglądało na świecie, gdyby ludzie od stworzenia świata nic nie robili w nocy, tylko tańczyli lub upijali się! Gdybyśmy zawsze o tem myśleli, jak nasza wiedza powstała podczas cichych nocy — wzięlibyśmy to do serca i nie usiłowałibyśmy z krzykiem przeprowadzać wszystkie nasze życzenia.

Ale żyjemy nietylko nauką, lecz i sztuką. I też obdarzeni jesteśmy przez wszystkie narody. Zaiste, w żyłach naszych krąży krew całej ludzkości! Nie jesteśmy sami, nie możemy się rozstać z ludzkością, jest ona naszą matką. Myślm y o tem, gdziekolwiek spotkamy jej synów, rodzeństwo nasze.

(Fr. W. Foerster: „Wychowanie człowieka”. 1913 r. Warszawa.
Nakład. Gebethnera).

SPOŁEM!

„Do cepa! I młóćmy! A spółem, a razem!
Ty pierwszy, ja drugi, a równo, jednako:
Kto drugi, kto pierwszy, nie będzie odznaką,
Bo kiedy wspólnemi pracujem zawody,
Miarowy spad cepów się łączy w rytm Zgody”.

L. Staff.

HYMN SPÓŁDZIELCÓW

Oto wstaje nas młoda gromada
Budowniczych, tworzących swój świat,
W którym przymus i krzywda nie włada,
Gdzie wolnego współżycia tkwi ład!
Niechaj leci ten nasz bratni śpiew
Do miast wszystkich, do siół i do gmin!
I niech woła jak zew,
Że kto ziemi tej syn,
Ten niech stanie w szereg nasz jak brat
Z prochu dźwignąć ku słońcu ten świat!

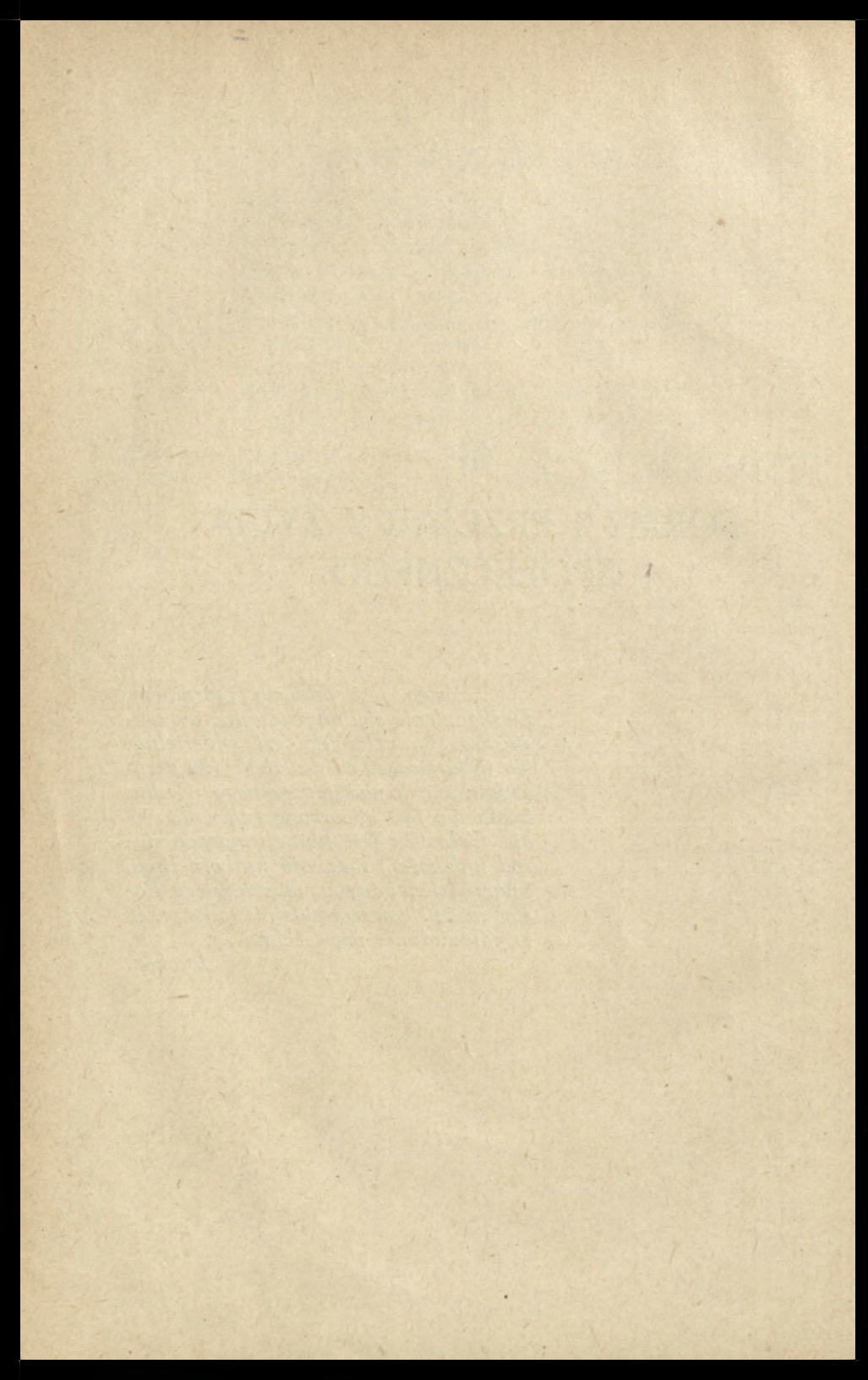
(Przeróbka „Hymn spółdzielców” K. A. Czyżowskiego, dokonana za zgodą autora, z książki J. Wolskiego: „Czy to bajka, czy nie bajka”, Warszawa, 1925 r. Nakład Związku Spółdzielni).

III

FORMY I PRZEJAWY ŻYCIA SPOŁECZNEGO

„Postęp jest prawem moralnem. Doskonalenie się indywidualne nie wystarcza, bo człowiek jest śmiertelny; ten tylko tworzy coś trwałego, kto przyczynia się do postępu ogólnego. Żadna istota nie jest stworzona sama dla siebie. Człowiek jest funkcją narodu, naród ludzkości, ludzkość funkcją Boga i narzędziem postępu powszechnego. Postęp może się urzeczywistnić tylko przez współdziałanie powszechne”.

Buchez.



ŻYCIE SPOŁECZNE PSZCZÓŁ

...Do szkoły pszczół przychodziłem uczyć się mądrego ustroju życia gromady, nieskalanej etyki, oraz gorliwej i bezinteresownej pracy; tutaj też uczyły mnie te bohaterskie istoty odczuwać słodycz swobody, podkreślając niejako ognistymi błyskami tysięcy swoich drobnych skrzydełek niedościgłe rozkosze jasnych dni...

Pszczółka jest przede wszystkim i w wyższym znacznie stopniu niż mrówka *jednostką gromadzą*. Nie umie żyć samotnie. Kiedy wylatuje z ula tak natłoczonego, że musi głową torować sobie drogę pomiędzy żywymi, cisnącymi ją z obu stron murami, rozstaje się z właściwym sobie żywiołem. Szybkuje tylko przez chwilę w przestrzeni pełnej kwiatów, jak nurek pograżający się w oceanie pełnym pereł, ale pod grozą śmierci, zmuszona jest wracać do ula co pewien czas, aby odetchnąć atmosferą gromady, tak samo jak nurek, który wypływa w regularnych odstępach czasu na powierzchnię, aby zaczerpnąć nowy zapas powietrza. Oderwana od roju, jakkolwiek obficie zaopatrzona w żywność i przebywająca w najbardziej sprzyjającej atmosferze, ginie po upływie kilku dni, nie z głodu, ani z zimna, ale z powodu osamotnienia. Gromada, rój dostarczą jej stawy niematerialnej, ale równie niezbędnej do życia jak miód.

Tę właśnie potrzebę należy mieć głównie na uwadze, gdy się chce określić ducha praw ula. W ulu jednostka jest niczem; zna tylko byt warunkowy, jest uskrzydłym członkiem gatunku. Całe jej życie jest bezwzględnym poświęceniem samej siebie na usługi wciąż odradzającego się legionu, którego stanowi częstkę...

Dziwna mała rzeczpospolita, taka logiczna, drobiazgowa i oszczędna. Dziwny mały światcie, wykarmiony światłem i ciepłem i tem, co jest najcenniejszego w naturze: balsamem kwiatów, któż nam powie, jakie rozwiązałeś już zagadnienia, które my dopiero w przyszłości może rozwiążemy, jakie stwierdziłeś już pewniki, które nam uda się kiedyś dopiero może stwierdzić? Mały grodzie, pełen wiary, nadziei, tajników, dlaczego setki, tysiące twoich dziewic biorą na siebie zadanie, jakiego nie podjąłby żaden ludzki niewolnik? Gdyby oszczędzały one więcej

swoje siły, gdyby mniej trochę zapominały o sobie, mniej żarliwie pracowały, oglądałyby jeszcze inną wiosnę, inne jeszcze lato; ale w tej chwili uroczystej, gdy wzywają je wszystkie kwiaty, istoty te zdają się być upojone śmiertelnym szaleńcem pracy i ze złamanymi skrzydełkami, z ciałem okrytem ranami, giną prawie wszystkie w niespełna pięć tygodni.

Człowiek umiał wyzyskać na swoją korzyść cudowny zmysł społeczny pszczół, ich gorliwość w pełnieniu obowiązków, przeczność, wspaniałomyślność, dbałość o jutro — słowem wszystkie cechy, stanowiące treść ich życia.

Wątpię, czy znalazłoby się na kuli ziemskiej ludzkie społeczeństwo, którego cele zawierałyby tyle poważnych dążeń; demokracja, której niezależność byłaby i doskonalszą i rozumniejszą a ujarzmienie — zupełniejszym i lepiej wyrozumowanym. Ale nie znalazłoby się również ani jedno społeczeństwo, które posuwałoby *zdolność poświęcenia się* do takiej bezwzględności i okrucieństwa.

Można śmiało powiedzieć, że kolonja pszczół umie, zarówno w swoich czynnościach przy zbiorze łupów, jak i w pracach, dokonywanych wewnątrz ula, zaprowadzić wyrozumowany układ grup roboczych, stosując przytem zasadę podziału pracy...

Ule nasze stanowią społeczeństwo prawie doskonałe, ale i nieubłagane, gdzie jednostka zupełnie jest pochłonięta przez gromadę i gdzie ta gromada z kolei stale jest poświęcona na korzyść abstrakcyjnego i nieśmiertelnego roju przyszłości...

(Maurycy Maeterlinck: „Życie pszczół”. Przekład Centnerszwerowej. 1903 r. Wydawn. Przegl. Tygodn. Warszawa).

DUCH SPOŁECZNY

Stoimy na ruchliwej ulicy, po której snuje się wiele osób. Oto naprzeciw nas idzie człowiek zamyślony, oto drugi wesoły, trzeci zagląda w szybę sklepową. Tam, pod kościołem modli się uboga odziana kobieta; tu bliżej nas rozmawiają dwaj panowie, z których jeden jest rozgniewany, a drugi wylekniiony...

Ludzi tych może być setki i tysiące, ale duszy społecznej nie dostrzegamy wśród nich; są tylko „dusze pojedyncze”, z których każda zajmuje się czem innym...

Wtem rozlega się krzyk... w jednym z okien drugiego piętra ukazuje się dym. Na ulicy w okamgnieniu zbiera się tłum kilkuset osób. Wszyscy patrzą w kierunku okna, na twarzach ich maluje się ciekawość.

— Pożar w mieszkaniu? — zawołał ktoś...

W oknie, wśród dymu, ukazuje się kobieta i woła pomocy.

— Nieszczęśliwa! Trzeba ją ratować... Biegnijcie po straż!

W tłumie zbudziło się nowe uczucie. Jakaś wrażliwa dama płacze, druga mdleje, kilku mężczyzn zdejmuje z siebie paltoty i zachęca otoczoną dymem kobietę, ażeby na nie wyskoczyła... Każdy robi co innego, ale wszyscy działają pod wpływem uczucia litości.

— Ja pewnie mąż zamknął na klucz i podpalił!—Woła nowy głos.

Tłum jest coraz bardziej poruszony.

— A to łotr!—Krzyczą.—Złapcie go!—To jego trzeba rzuć w ogień, gałgana!

W tłumie urodziło się uczucie gniewu.

Tymczasem liczba widzów wzrosła. Jedni modlą się na ulicy, drudzy biegną po straż, inni znalazłszy siekiere pędzą na schody, ażeby drzwi wyrąbać. Jeszcze inni szukają owego męża, który miał podpalić nieszczęśliwą kobietę.

Krótko mówiąc spełnia się tam mnóstwo rozmaitych czynów, lecz wszystkie pod wpływem:

wspólnej idei—pożaru,

wspólnego uczucia—litości,

wspólnego pragnienia—ażeby zagrożoną kobietę uratować, a jej męża ukarać.

Nadbiega straż, gasi ogień i ocala jego ofiarę, a jednocześnie kilku gorliwszych ciągnie zbitego mężczyznę, który ma być sprawcą pożaru. Na szczęście, ktoś bliżej znający stosunki objaśnia, że ofiara wcale nie posiada męża i że sama podpaliła mieszkanie, skutkiem nieumiejętnego obchodzenia się z benzyną. Oto mamy przykład „duszy zbiorowej“. W tłumie, ulegającym jakiejś wspólnej pobudce, rodzi się wspólna ciekawość, wspólna litość, wspólny gniew i t. d., co razem wzięte tworzy „zbiorową duszę“.

Podobne zjawiska trafiają się w masach, liczących już nie dziesiątki i setki, ale dziesiątki i setki tysięcy osób.

Dzięki nieskończonej różnitości, jaka panuje w naturze — każdy duch zbiorowy ma inny, sobie tylko właściwy charakter, żaden nie jest kopją drugiego, choć każdy z nich posiada wspólne z innymi cechy — ogólnie ludzkie.

Do dusz zbiorowych można zastosować słowa Chrystusa: „Gdzie dwu lub trzech zejdzie się w imię Moje, Ja tam będę...” Istotnie, gdziekolwiek zetknie się kilka lub więcej osób, mających jakiś wspólny interes, ideę, uczucie, tam zaraz tworzy się „duch zbiorowy” i działa na pojedyncze osobistości.

Duch społeczny składa się nietylko z dusz pojedynczych, ale i ze „zbiorowych utworów psychicznych”. Istnieją bardzo dawne terminy: „duch pułku” — „duch zakonu” — „duch stowarzyszenia” i t. p., które nie są pustymi frazesami, ale oznaczają zjawiska rzeczywiste.

Budowa „Duszy Społecznej” w najogólniejszych zarysach jest podobna do duszy pojedynczego człowieka. Można ją porównać do gmachu, który posiada: dwa skrzydła i korpus główny. Korpusem jest — myśl, skrzydłami — uczucie i wola.

Gmach ten posiada następujące piętra:

Fundamentem jest organizm, a więc: zmysły, jak wzrok, słuch i t. d., organy biologiczne — jak żołądek, płuca i t. d., organy czynne, jak ręce i t. d.

Parterem jest bierność, a więc zdolność do robienia sportrzeżeń, zdolność odczuwania przyjemności i przykrości. Nareszcie odruchy, jak: stanie, chodzenie, podnoszenie i t. d.

Pierwszem piętrzem jest współdzwęczność, czyli zdolność porozumiewania się z ludźmi, naśladowania ich czynów, odczuwania ich uczuć. To ostatnie nazywa się współczuciem. Wyżej znajdujemy ślady, czyli pamięć raz widzianych przedmiotów i nabytych wiadomości. Sympatje i antypatje, oparte na doznanych kiedyś przyjemnościach i przykrościach — nareszcie nałogi i zwyczaje. Jeszcze wyżej leży piętro twórczości, która w dziedzinie myśli nazywa się twórczością umysłową, w dziedzinie woli — sposobami, w skrzydle uczuć — afektami.

Na szczycie zaś duszy znajdujemy idee: religijne, filozoficzne, naukowe i t. d., uczucia zasadnicze, jak dumę, miłość, radość i t. d., nareszcie cele, jak: formy poznania, użycia i t. d.

W społeczeństwie jest bardzo łatwo o jakiś akt uczucia np. gniewu czy strachu, jak również dosyć łatwo o akt woli, np. o potłuczenie szyb, rabunek, aniżeli o... akt myśli. To też o ruchach masowych powiedzieć można, że zawsze dzieją się pod wpływem uczuć, a prawie nigdy pod wpływem myśli...

...Głównym celem cywilizacji jest to, ażeby — jaknajbardziej uszlachetnić i wzbogacić duszę społeczną. Lecz jak to zrobić? Jest tylko jeden sposób: niech każdy pracuje nad udoskonaleniem własnej duszy i niech w ten sposób wpływa na swoje otoczenie.

(Bolesław Prus: „Najogólniejsze ideały życiowe”. Warszawa, 1905. Nakład J. Fiszer).

GRUPA PIELGRZYMÓW

Idę, wyekwipowany jak można najskromniej: długie buty, jakaś sędziwa okrywka, płaski kapelusz i parasol, nie odróżniają

mnie zbyt od tłumów, zgromadzonych na placach i drogach przed kościołem. Nikt zresztą na mnie uwagi nie zwraca, wszyscy są zbyt zajęci przygotowywaniami do wyruszenia. Deszcz tnie drobny, ale mimo to wielkiego skłopotania nie znać na twarzach. Gwaro wszędzie jak w ulu. Sam szczerzy lud. Twarze są proste, czarniawe od skwarów, rysy zgrubiałe, ubiory szare — i widzę przez oczy tego tłumy, że ma duszę napiętą jakimś niezrozumiałym dla mnie uczuciem. Mieszam się z nimi, wchłaniam setki rozmów, twarze niezliczone i ta szarzyzna pospolitości, ten gwar jarmarczny przejmują mnie nudą i zniechęceniem. Czuję się ogromnie obcym i osamotnionym. Chciałbym się nawet poddać tej fali ludzkiej, byle wyczuć ten prąd, jaki ją musi przenikać — ale nie mogę... I gdy tak stoję, przystępuje do mnie jakiś chłop, w szarej sukmanie, z różańcem na szyi i twarzą kwadratową.

— Pan także idą? — pyta.

— Idę, idziemy razem.

— To niby z nami?

Odpowiadam mu twierdząco i chcę go wciągnąć w pogawędkę, ale chłop milknie i odchodzi.

Znowu stoję i nie wiem, co z sobą zrobić. Do kościoła ani marzyć się dostać, przejście wprost zagwożdżone ludźmi; słyszę tylko śpiewy i głosy organów, a potem dochodzą mnie słowa pojedyncze kazania; spazmatyczne a krótkie fale płaczów przelatują jak wichry.

Ksiądz ma przemowę do odchodzących.

Wszyscy klęczą z odkrytymi głowami, w jakimś biernym poddaniu i ze skupieniem słuchają. Szare niebo nie przestaje grozić ulewą; wreszcie zrobiło się zupełnie cicho — tysięczny tłum zaczyna zwolna odpływać cienkimi strumieniami.

I gdyśmy tak szli, rozsypani, to na tle mostu, na tle zieleni parku, na tle miasta rozłożonego z drugiej strony Wisły, te szare, drobne i twarde sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane nieco pod tobołami, obwieszane sznurami różańców, miały w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne.

Krzyż brązowy, obwiedziony wiankami róż papierowych, kołysał się na czele orszaku, w mętnej zadeszczonej atmosferze. Gwar miasta dopływał zgiełkliwą falą, dzwonki tramwajów były raz po raz, turkot wózów brzmiał głucho, kominy fabryk rozwłóczyły nad miastem strzępy mgieł, a tam w dole szarawo-żółta toń z pluskiem biła o przyczółki mostu. Wszędzie wrzało życie pośpieszne, czynne, wysilone, życie miasta; walka o byt i o uciechę.

...W Ochocie gromadzą się pątnicy i łączą się w kompanje. Czekaliśmy z godzinę, nim się pościgali. Wozy stoją wyciągniętym sznurem z boku szosy, a ludzie porozkładali się obok krzyża, gdzie kto mógł.

Pod krzyżem ma przemowę starszy brat, ten, co prowadzi pielgrzymkę i ma władzę nad wszystkimi.

Stoję tak daleko od niego, że prawie nic nie słyszę. Widzę tylko płową czuprynę, twarz szarawą i gestykulację jakąś tragiczną; musi mówić głośno, dobitnie i trafia do serc, bo chwilami przelatuje szmer westchnień, tłum się zakółszę, jakiś jęk się zerwie, to oderwane dźwięki płyną — i znowu stoję w ciszy, zasłuchany w falowanie tego morza ludzkiego...

I stoją tak kupą wielką, w obramowaniu nędznych domostw — sami nędzni, pokrzywieni ciężką pracą, zmiętoszeni niby łachman codzienny twardą nędzą, pookrywani zaledwie. Słońce blade światło rozlewa po konopiastych, zwichrzonych i rzadko czesanych grzywach, a zimny wiatr zawiewa z boku i szczypie ich chłodem po bosych nogach. Patrzę na nich i pytam siebie: co im każe rzucić dom, gospodarstwo, dzieci, zarobek, zawsze pewną miskę kartofli, łóżko i pierzynę i iść mil kilkadziesiąt o suchym chlebie, sypiać po drogach, znosić trudy niewypowiedziane życia koczowniczego? Cóż to jest za siła, która ich porywa z gniazda i rzuca w różnorodny, taki sam tłum, i wleczę i odprowadza?

Jeszcze sobie nie odpowiedział, a tłum się już zakółsał, poruszył do odejścia i zaśpiewał donośnie: „Kto się w opiekę odda Panu swemu!”

No, i już idziemy, naprawdę idziemy białawym szlakiem szosy, wskroś wielkich pól, poznaczonych kominami. Ptaki uciekają przed nami w pola, chłodno jest, niebo szare. Śpiewają wszystkie piersi i wszystkie serca zdają się kłaść całą wiarę w te słowa i wszystkie uszy zdają się zlewać z sobą, w tej szerokiej, pełnej niezmiernie mocnych dźwięków pieśni trzystoletniej.

— To jest cementem, który ich spaja i jednoczy — myślę.

... Jest mi dobrze z tem, iż nikt mnie nie zna i nie pyta o to, że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów. Nie jestem nawet sobą, jestem tylko pewną sumą mięśni wprawionych w ruch. Jestem tylko tętnem jednym tego serca, co ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski, nawet imienia...

.....
Lud cały w jękach leżał i łzami serc, krwią, miłością — sławił dobroć i żebrał zmiłowania.

Kościół zdawał się otwierać z wierzchu, aby przepuścić tłumy dusz, które się rwały w modlitwie w nieskończoność, a wysoko, jakby się rozwiewał płaszcz błękitny i ogarniał wszystkich, a jakieś ręce białe i oczy promienne błogosławiły, koily, uspakajały, krzepiły serca, dawały zapomnienie i moc wytrwania. A te rzesze ludzkie coraz więcej zatapiały się w szlochaniu i zdawały się odpływać w zaświaty na fali muzyki, która jak Archanioł Pocieszenia szła naprzód i niosła wszystkie dusze tam — skąd wyszły: do źródła dobra i szczęśliwości...

(Władysław St. Reymont: „Pielgrzymka do Jasnej Góry“. Poznań. 1917 r. Spółka Wydawn. „Ostoja“).

KIEROWNICTWO

....Jukes, widząc, że nic mu innego nie pozostaje, zdobył się na odwagę.—Statek zanurza się za bardzo, panie kapitanie. Sądziłem, że pan zechce obrócić dziobem do fali. Zmywa nas za bardzo, wykręćmy na wschód. Nie zdarzyła mi się jeszcze taka chwiejba.

Trzymał się drzwi, a kapitan Mac Whirr, widząc, że u półki się nie utrzyma, padł ciężko na kanapę.

— Wykręcić na wschód?—powiedział, podrywając się, by usiąść. To więcej niż 4 rumby z kursu.

— Tak, panie kapitanie. O tyle właśnie trzebaby wykręcić, chcąc stawić czoło temu.

Kapitan Mac Whirr zdołał już usiąść. Nie puścił książki i nie zgubił w niej miejsca.

— Na wschód! — powtórzył z rosnącym zdumieniem. Pan wymaga, bym zdatny do żeglugi parowiec zwrócił z kursu o całe 4 rumby tylko dla wygody Chińczyków. Słyszałem w życiu niejedno szaleństwo, ale to... Co panu przyszło do głowy? Widzę, że pan jest zdania, że powinienem zejść z drogi temu...

Wlepiwszy wzrok w opończę leżącą na pokładzie, nie spostrzegł kapitan ani zmieszania Jukesa, ani troski, zdumienia i szacunku, całej tej komplikacji uczuć, które odmalowały się na jego twarzy.

— Trzebaby masę czasu stracić na okrażenie burz. Uderzył się książką po nodze.

— Okrażać burzę! Czy pan to rozumie, Jukes? To szczyt nonsensu! Wyrzucił z siebie kapitan Mac Whirr, robiąc pauzy między zdaniami. — Przechodzi to mój rozum. Czy pan sobie z tego zdaje sprawę? Nałożyć trzysta mil i ładny rachunek za węgiel mieć do przedstawienia.

Podniósł wzrok i zauważył, że Jukes patrzy nań z niedowierzaniem, ciągnął tedy wyjaśniająco: Mamy Chińczyków wyłądować w Fu-czau nie później, jak w piątek do południa. Jeżeli burza nas zatrzyma — wszystko w porządku. Mamy dziennik okrętowy, i będą w nim wszystkie dane o burzy. Lecz przypuśćmy, że wykręcając z drogi, przyszedłbym z dwudniowym opóźnieniem i spytaliby mnie: Gdzie pan byłeś przez cały ten czas, kapitanie? — Co na to mógłbym odpowiedzieć? Wykręcałem, by uniknąć burzy — odpowiedziałbym. — Musiała to być wściekła burza — oni na to. A ja: Nie wiem, bo okrążyłem ją. Pojmuje pan, Jukes? Myślałem o tem całe popołudnie. — Nikt jeszcze nie słyszał z jego ust tak długiej przemowy. Jukes, stojąc z rękoma, wspartymi w odrzwia, miał minę człowieka, zaproszonego na pokaz cudu. Bezmiernie zdumienie malowało się w jego oczach, w całym zaś zachowaniu przebijało niedowierzanie.

— Sztorm jest sztormem—streszczał się kapitan—i zdalny do żeglugi parowiec powinien stawić mu czoło. Zawsze dużo burz tłucze się po morzach i jedynie rozsądną rzeczą jest przebić się przez sztorm, gdy się go napotka bez wszelkiej „sztormowej strategji“.

.

— Nadleciał — wrzasnął Jukes — przed pięciu minutami... w oka mgnieniu.

Słyszając coraz to większy łoskot, kapitan sposobił się do wyjścia i stawienia czoła wydającej ten wrzask okropny bestji. Był to wrzask chaotyczny bardzo głośny, na który się składały najazdy wichru, rumor wałących się gór wodnych i nieustanne głucho wibrowanie powietrza.

Kapitan stał chwilę w świetle lampy gruby, niezręczny, bezkształtny, czerwony na twarzy.

— Jest bardzo silny — mruknął.

Ledwie drzwi spróbował otworzyć, wiatr je pochwyił. Uczepił się klamki i został przeciągnięty przez próg. Musiał stoczyć coś w rodzaju walki na pięści z wiatrem, który drzwi zamykał.

Wyszedłszy dostrzegł przed dziobem wielką ciemność, leżącą na mrowiu białych błysków. Na pomoście kłęb ludzkich postaci, niewyraźnych i wykręconych ciężką mordegą, czynił wielkie jakieś wysiłki. Głosy grupy doszły go porwane przez wichur w skrawkach i fragmentach, jak wołanie z migającego przed oczami pociągu. I nagle Jukes ukazał się tuż przy nim, wrzeszcząc co tchu w piersiach:

— Zmianę wprowadziłem—okna sternicy—szkło—boję się.

Jukes dosłyszał słowa swego dowódcy brzmiące akcentem wymówki:

— To przyszło — cokolwiek — ostrzedz — zawołać mnie.

Jukes starał się tłómaczyć wbrew rykowi wichru, zatykającemu mu usta.

— Co pan mówi... panie — co?

— Nic — krzyknął kapitan Mac Whirr — powiedziałem — dobrze.

— Na Boga! Przydybało nas tym razem — zawył Jukes.

— Nie zmienił pan kursu?—pytał kapitan, natężając głos.

— Nie, panie. Dmie wprost z dziobu. I oto wielka fala.

Statek dał nurka, a wynurzając się, doznał wstrząsu, jak gdyby sztabą dziobu uderzył w jakąś caliznę. Minał moment drętwy. Potem bicz piany, gnanej wichrem wysoko, zaciął ich po twarzach.

— Trzymaj się pan tego kursu jak najdłużej —wykrzyknął kapitan Mac Whirr.

Jukes podświadomie zadowolony był, że ma przy sobie kapitana. Obecność kapitana sprawiała mu ulgę, jakgdyby przez to, że wyszedł na pokład, ściągnął na siebie całą niemal zawziętość wichru. Takim jest przywilej dowództwa i jego brzemię. Kapitan Mac Whirr na niczyje barki nie mógł zrzucić odpowiedzialności. Taką jest samotność dowództwa. Starał się przeniknąć ciemności czujnym wzrokiem marynarza, który patrzy wichrowi w oczy, jak przeciwnikowi, przeniknąć ukryty jego plan, odgadnąć siłę ataku. Wicher gnał na kapitana z bezmiernych ciemności, on zaś czuł pod nogami gorączkę swego okrętu, którego cienia nawet nie mógł odróżnić...

Jukes, choć był młody, przetrwał już niejedną burzę, ale to, co obecnie przeżywał, przechodziło wszelką imaginację. Wydawało mu się niemożliwem, by jakikolwiek okręt to przetrwał. Miał wrażenie, jakby całe Chińskie Morze wdarło się na pomost. Przez cały czas, gdy nim miało, rzucało, toczyło, gdy przewijał się w ogromnych wodozwałach, nie przestawał powtarzać w duchu bardzo szybko: Mój Boże! Mój Boże! Nagle odkrył, że w jakiś dziwny sposób miga przed nim czyjaś twarz, czyjs woskowany płaszcz, czyjes buty. Czuł się z temi przedmiotami splątany. Wreszcie znalazł się w objęciu dwóch silnych ramion. Tak znalazł swego kapitana.

Przewracali się, aż woda rzuciła nimi brutalnie o coś twardego i bez tchu wylądowali u ściany sternicy.

Z opałów tych Jukes wyszedł przejęty grozą z osłabioną wiarą w siebie. Zaczął drzeć się bezcelowo do człowieka, któ-

rego czuł tuż przy sobie w ciemnościach. — Czy to pan, panie kapitanie? Czuł, że od wrzasku skronie mu niemal pękają. I w odpowiedzi usłyszał głos, jakgdyby krzyczał doń z bardzo daleka. Dosłyszał: tak. I znowu bałwany wpadły na pomost, a orkan wył i szamotał się, czynił olbrzymi tumult w ciemnościach. Burza biczowała statek w bezmyślnym, niszczycielskim szale.

Wyciągnawszy się cały, wymacał w ciemności ucho swego dowódcy. Krzyknął z irytacją: — Nasze łodzie zrywa teraz, panie!

I znowu usłyszał ten głos nateżony i drżący, ale przejmujący do szpiku kości spokojem wśród ogromnej kakofonii hałasów, jakgdyby był to głos wysłany z bardzo dalekiego ośrodka pokoju, z poza pustyni czarnego wichru; znowu usłyszał głos ludzki — kruchy, a nieposkromiony dźwięk, w który można włożyć nieskończoność myśli, zdecydowania i celowości, znowu usłyszał ten głos, wołający doń jakby z bardzo daleka: — Dobrze. Wydawało mu się, że nie został zrozumiany. — Nasze łodzie — mówię, łodzie — dwie łodzie poszły! Panie.

Ten sam głos, nadlatujący z odległości jednej stopy, a jednak tak daleki, odpowiedział rozsądnie: — Nie można poradzić nato. — Potem Jukes nadśluchiwał daremnie. Nic więcej go nie doszło. Nic więcej kapitan Mac Whirr nie miał do powiedzenia...

...Jeżeli mechanizmy sterowe wytrzymają, jeśli tonny wody nie załamą pokładu, nie zdruzgocą pokryw luk, maszyny się nie popsują, jeżeli statek utrzyma się na korsie przeciwko temu przerażającemu wichrowi i nie zagrzebie w jednej z gór wodnych — możliwe jest, myślał Jukes, że ocaleją. Uczuł, jakgdyby coś w nim się przewracało i na wierzch wydobywało przeświadczenie, że zginą.

— Zginą — powiedział sobie z drżeniem serca. Niczemu teraz nie można było zapobiec, niczemu zaradzić. Marynarze na pokładzie nie wchodzili w rachubę, a statek wśród takiej burzy nie potrwa długo.

Jukes uczuł rękę, spadającą mu ciężko na ramię. Z wielką przytomnością umysłu objął wpół swego kapitana.

I usłyszał znów głos swego dowódcy, który zaczął się przebijać przez potworny pęd huraganu i zbliżać doń tak nasycony spokojem, jak aureola słońca we mgle nasycona jest łagodnym światłem.

— Czy pan wie, gdzie są marynarze? pytał ten głos krzepki, odnoszący zwycięstwo nad siłą wiatru, a potem zwiewany natchmiaszt.

Jukes nie wiedział. Byli wszyscy na pomoście, gdy huragan rozpętał się na dobre. Nie miał pojęcia, gdzie mogli zapełznąć.

— Potrzebuje pan marynarzy, kapitanie?

— Muszę wiedzieć — potwierdził Mac Whirr.

— Trzymaj się pan mocno.

Wybuch rozpętanej furji zupełnie zatrzymał okręt. W zawieszaniu między życiem a śmiercią okręt kołysał się szybko, podczas gdy cała atmosfera zdawała się rwać wzdłuż niego.

Jukes silił się, by przekrzyczeć huragan.

— Czy „Nan Shan” wytrzyma?

— Miejmy nadzieję—wołał ów głos odosobniony, nieczuły ani na wizję katastrofy, ani na wizję ocalenia, a potem postrząpił się na niepowiązane słowa: — statek.. ten.. nigdy.. na lepsze...

Spokój w powietrzu był to spokój niezwykle, naprężony do ostatnich granic. Podczas tej okropnej pauzy burza podkradła się do kapitana Mac Whirra. Będąc sam w ciemnej kabine, przemówił, zwracając się do istoty jakiejś.

— Nie chciałbym go stracić.

Siedział zaćmiony, izolowany od wszystkiego, wycofawszy się jakby z nurtu własnej egzystencji. Dłonie oparł na kolana i z głową opuszczoną na pierś sapał ciężko; poddał się uczuciu zmęczenia, będącego rezultatem naprężenia umysłowego, z czego, coprawda, nie zdawał sobie sprawy.

— A może przetrwa burzę—mruknął.

...Ledwo wyszedł ze sternicy, Jukes zasypał go gradem słów.

— Zmieniłem sternika. Busman jest do niczego, zawsze to mówiłem. Drugi oficer trzyma się za głowę tam w środku....

— Ufajmy, że statek przebije się przez to i wyjdzie z przeciwniej strony. Zawsze wychodziliśmy na spotkanie niebezpieczeństwu—wywodził kapitan Mac Whirr. Niech pan nie da się zbić z tropu, cokolwiek dziać się będzie, mamrotał kapitan z pośpiechem. Ciągłe utrzymuj pan statek przeciw fali. Przeciw fali—to jedyny środek przebicia się przez burzę. Zawsze czołem do fali. Nie trać pan zimnej krwi.

— Tak, panie—odpowiedział Jukes z drżeniem w sercu.

Chwilę kapitan mówił przez tubę do oddziału maszynowego i otrzymał odpowiedź.

Statek bez wytchnienia pracowicie przebijał się między górami wodnymi i ciężkimi wstrząsami okupował życie.

Huragan ze swą mocą zatapiania okrętów spotkał tego milkliwego człowieka na swej drodze i, czyniąc wszystko, na co mógł się zdobyć, zdołał mu ledwie wyrwać słów parę. Nim nawrót furji cyklonu spadł z wysokości na okręt, kapitan zdążył oświadczyć markotnie: — Nie chciałbym go stracić.

Los oszczędził mu tej przykrości...

W jasny słoneczny dzień, Nan-Shan wpływał do Fu-czau. Odrazu zauważono go na brzegu i strażnik przystani zawołał: Patrzcie! Widzicie ten parowiec. Co to? Przyjrzyjcie mu się!

Nan-Shan wyglądał na statek, który posłużył za ruchomy cel dla dział średniego kalibru. Grad pocisków nie poszczerbiłby bardziej jego konstrukcji. Był zniszczony, rozbity, miał tę szczególną minę wracających z końca świata okrętów—i nie bez przyczyny, gdyż podczas krótkiej podróży dobił niemal do tamtego brzegu, skąd jeszcze ani jeden okręt nie powrócił....

(J. Conrad: „Tajfun“. Tow. Wydawn. „Rój“, str. 128).

UZNANIE

Roald Amundsen, zwycięzca bieguna południowego, niezmordowany badacz pustyń lodowych, swoją niezwykłą energią i niezachwianą wiarą doprowadził wyprawę do bieguna, która na wyżynie nazwanej płaskowzgórzem Króla Haakona zatknęła chorągiew norweską. Wyprawa ta wślawiła Norwegję i całemu światu cywilizowanemu przywiozła wiadomości naukowe o lądzie Antarktydy, o prastarych skałach granitu i poczyniła ciekawe badania meteorologiczne.

Po powrocie nie myśli Amundsen o odpoczynku, nowe plany świtają mu w głowie. Wojna europejska zmusza go do czekania. A plan jego nowy jest wspaniały: zbadać z powietrza, z aeroplanu białą pustynię, rozwiązać zagadkę złóż lodowych. Wreszcie przy pomocy Ellswortha przygotował dwa hydroplany i wyruszył do Szpicbergu. Wrócił, kiedy w kraju stracono już nadzieję, że go kiedykolwiek zobaczą, wrócił wynędzniały, ale z wieścią zwycięstwa. Droga na północ stała otworem. Amundsen uczynił pierwszy krok w zbadaniu obszarów podbiegunowych, dalsze badanie jest już tylko kwestją czasu.

A tam daleko wśród śniegów i lodów powiewa chorągiew norweska, chorągiew sławna wikingów skandynawskich.

.....

...Coraz bliżej i bliżej podpływalismy do portu.

— „Czy mamy wywiesić chorągiew?“—spytał ktoś z załogi.

— „Nie — odpowiedziałem — przecież niema żadnego powodu“.

— „Tak — dorzucił ktoś inny — ale trzeba przywitać zatokę“.

Musiałem przyznać, że zapomniałem już, jak się należy za-

chowować na morzu. Wtedy wysoko w górę wzniosła się chorągiew i „Sjöbif” dumnie zawijał do portu...

...Nigdy w życiu, póki pamięć nasza trwać będzie, nie zapomnimy tej chwili. Wszyscy wylegli na pokład. Śmieli się i płakali ci dorośli, wielcy mężczyźni, chwyтали nas w objęcia, zasypywali tysiącem pytań, to znowu wpatrywali się w nas z niedowierzaniem. „Wielki Boże! Czyż to wy, naprawdę wy?” Nie chcieli przecież z początku wierzyć, że to my jesteśmy. I teraz zaczęli nam bez końca opowiadać, jak czekali z utęsknieniem, niecierpliwością, obawą. Głośno nie mówili nigdy, że wątpią o naszym powrocie, ale w głębi serca uważali nas za bezpowrotnie straconych. A teraz stanęliśmy nagle między nimi, umarli przywróceni do życia.

Obstąpiono nas ze wszystkich stron i zaczęto fotografować. Zagrzmiała salwa. Przystań pozdrowiała nasz szczęśliwy powrót. Cała sala rozbrzmiała hymnem narodowym i nigdy chyba nie brzmiała tak pięknie, jak dzisiaj. Wgłębokiem wzruszeniu, stojąc z odkrytymi głowami, przysłuchiwalismy się dźwiękom naszej drogiej pieśni. Łzy płynęły nam z oczu: Boże! Błagamy Cię, błogosław ojczyźnie, dla niej z radością poświęcimy wszystko.....

Z różnych krańców i zakątków świata płynęły ku nam tysiące depesz. Pierwsza z nich brzmiała: „Królowa i ja winszujemy i pozdrawiamy Ciebie i Twoich towarzyszy w dniu szczęśliwego powrotu. Dziękuję Wam za Wasz piękny czyn i zato, żeście znowu wstawili imię Norwegji. Haakon III”. Wkrótce potem otrzymaliśmy depeszę od następcy tronu, od parlamentu, uniwersytetu w Öslö, od wszystkich miast kraju, od gmin i powiatów, potem od peselstw cudzoziemskich. Z depesz zagranicznych najbardziej ucieszyły mnie serdeczne telegramy od króla angielskiego, od prezydenta Rzeszy Niemieckiej i od Związku Towarzystw Naukowych i Geograficznych...

Parowiec Towarzystwa Węglowego „Albr. W. Selmer”, który w dniu 21 czerwca zawitał do przystani, miał nas wszystkich zabrać na południe, przywieźć członków wyprawy do rodzinnego miasta. Upłynęły tam jedne z najpiękniejszych chwil naszego życia, które z serdeczną wdzięcznością wspominać będziemy.

O 11-ej godzinie wypływał „Selmer” z przystani. Pogoda była piękna. W pobliżu Trömsö spotkał nas parowiec „Richard With”, wysłany umyślnie, żeby nas powitać. Gdy koło nas przepływał, wszystkie jego chorągwie wbiły się w górę. Przybrany we flagi, ustrojony w różnobarwne wstęgi wymijał nas z wolna, a tymczasem działa biły na pokładzie i załoga głośnieji wiwatami pozdrowiała nasz powrót. Było to pierwsze pozdrowienie w kraju, tak niespodziewane, że staliśmy oszołomieni, nie wiedząc, co po-

cząć. Wzruszenie zatamowało nam głos w piersi. Witła nas ojczyzna i piękne jej pozdrowienie zawsze pamiętać będę. Teraz dopiero zaczęliśmy przeczuwać, co nas jeszcze w kraju oczekuje. Zdaleka już widzieliśmy ogromny ruch w Trömsö, byliśmy jednak na wszystko przygotowani. Dwa wielkie parowce zagrzmiały salwą, tłumy ludzi w świątecznem ubraniu tłoczyły się koło barjery, krzycząc zdaleka niezrozumiałe dla nas jeszcze słowa powitania. Nieco dalej, w głębi fiordu, ukazał się nasz stary przyjaciel „Hobby”, też odświętnie przybrany chorągwiemi i wstęgami i tak pełny ludzi, że dech nam w piersi zamierał, gdyśmy patrzyli na to czerniejące zdala mrowie.

Nagle jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ucichły mowy i krzyki. Zapanowała głęboka, uroczysta cisza. Rozbrzmiewał w tej ciszy nasz piękny hymn narodowy, tysiącem głosów śpiewany, przenikał do serc, budził wspomnienia radości i smutku i rósł, potężniał, olbrzymi zapalem tłumów.

Wolno płynęliśmy wzdłuż wybrzeża. Złote promyki słońca ślizgały się po zielonawej wodzie fiordu. Był to jakiś wjazd triumfalny do zaczarowanej krainy marzeń. Nasze ukochane sztandary witały nas co chwila, a my uśmiecaliśmy się do nich z rozrzewnieniem. Sosny i brzozy pochylały lekko swe zielone konary, poważnie spoglądając na ślizgający się po falach statek. Tu i ówdzie ukazywała się mała rybacka łódka, a ja byłem bliski płaczu ze wzruszenia, kiedy ci rośli, spaleni wiatrem mężczyźni z odkrytą głową winszowali nam szczęśliwego powrotu. Było to ciche, z głębi serca płynące powitanie, tak samo piękne a bardziej wzruszające, niż wspaniałe owacje. Płynęliśmy dalej szczęśliwi, upojeni czarującym powitaniem ojczyzny. Nagle na lazurów niebie ukazały się cztery wielkie ptaki: cztery maszyny „Hansa-Brandenburg” okrążały zwolna nasz statek, a potem znikły woddali. To flota i wojsko norweskie pozdrowiały przybyśszów z bieguna.

Po południu wpłynęliśmy do fiordu Öslö. Tłumy ludzi na łodziach i aeroplanach witały nas owacyjnie. Zewsząd sypały się kwiaty, tysiące rąk wyciągało się ku nam. Nie widać było końca triumfalnej jazdy. ...Potem nastał dzień wielki, niezapomniany dzień 5 lipca 1925 r. Uśmiechały się do nas góry, lasy, zielonawy fiord w złotych promieniach słońca. Nikt chyba pojąć nie zdoła tych wszystkich uczuć, które przepełniały nam serce, kiedyśmy wzbili się w górę na naszym drogim Nr. 25, mknąc ku ukochanemu miastu. Tysięczne tłumy w ukwieconej, sztandarami przybranej stolicy, głośnemi okrzykami zapалу składały nam hołd.

Któż opisać może tę chwilę, kiedy lekko i zwinnie opad-

liśmy na gładką powierzchnię fiordu, a kwiaty zewsząd rzucone zmieniły nasz statek powietrzny w jeden wielki różnobarwny bukiet. A potem czekało nas powitanie w porcie, triumfalny pochód przez ulice miasta i wreszcie wspaniała uczta w pałacu królewskim. To wszystko należy już do precudnej, niezapomnianej przeszłości...

(Roald Amundsen: „Lot do Bieguna Północnego” (Biała Śmierć), Warszawa. Nakład „Biblioteki Groszowej”. 1926 r.).

WSPÓŁZAWODNIC TWO

Dzień brzeszczyć dopiero poczynął, a lud już garnął się tłumnie do hippodromu, kędy miały się do południa odbywać wyścigi wozowe. Wszystkie bramy otwarto już także. Pejsidoros popisywać się miał w pięciorakiej walce po południu dopiero. W szumnym rozgwarze nieprzejrzanых tłumów jał on, nachyliwszy się ku matce, objaśniać jej półgłosem rozkład hippodromu i urzędzenia wyścigowe. Rozgłośny dźwięk salping przerwał ich rozmowę. Rzesze przycichły, a równocześnie trzema bramami portyku wjechało kilkanaście wozów, każdy czwórka rumaków pod rząd zaprzężony. Pyszne konie stapały jak w tańcu. Wóznice przybrani byli w długie, fałdziste szaty bez rękawów i podpasani wysoko. Pomiędzy nimi poznał Pejsidoros Alkibiadesa, który powoził czwórka mlecznobiałych bachmatów. Nastąpiło losowanie miejsc w szrankach, poczem wozy wjechały na swe stanowiska

Orzeł pozłocisty, co siedział na ołtarzu przed portykiem Agnaptosa, naraz jak żywy roztoczył skrzydła i wzleciał w górę. Znak to był rozpoczęcia biegu. Skrzypnęły koła, klasnęły bicz, a tętent kopyt głucho zadudniał po piaszczystym majdanie. Chyżość pędu rosła z każdym krokiem. Rumaki gnały nakształt burzy. Oni zasię z płonącemi twarzami, krzepko stali na dwukolnych wozach naprzód pochyleni, a w rękach daleko przed siebie wyciągniętych dzierżyli poczwórne wodze. Pędzili w cwał. Trzy wozy wysunęły się poprzód inne. Ci trzej o lepsze walczyli między sobą, inni pozostawszy wtyle napróżno starali się, by ich dopędzić. Widzowie nie spuszczały ich z oka. Pejsidoros w Alkibiadesa patrzył jak w tęczę. Ow nietylko, że nie zwolnił na zakręcie, ale podciął swe siwe, gnając jak opętany; on sam, wóz i konie, wszystko pokładało się ku środkowi. Runie! — szepnęła Ferenike synowi. — Nie runie, to mistrz! — odpowiedział Pejsidoros. Theokrestos chciał snąć nagle wyminąć Kleosthena, wjechał bowiem cwałem między jego wóz a ołtarz. Wtem koło

jego lewe zgrzytnęło, uprzęż pękła, a jeden z rumaków wpadł na wóz Kleosthena, który nie zdołał umknąć w porę i pchnięty znienacka wypadł z wasągu i leżał pokrwawiony na boisku. Jego rumaki uniosły pusty wóz i wnet runęły, uwikławszy się w uprzęży. Tamci dwaj tymczasem pędzili, aż ziemia pod nimi się migąła. Oba zaprzęgi szły równo z błyskawiczną szybkością. Polypothes widział, jak Alkibiades go mija i konia biczem okładał, że trzask rozlegał się po całym hyppodromie i rozpacz go brała. Alkibiades górną połowę ciała przewieszony poprzez krawędź wozu, jako że żrenice utkwił przed siebie w przestrzeń, a nad głową długim biczem wywijał.

Tak przeleciał przez metę i daleko poza nią, gdyż rumaków oszalałych nie mógł odrazu powstrzymać. Powitał go potężny okrzyk tłumów. Wielu zbiegało na majdan z góry, by uścisnąć rękę zwycięzcy, on zaś powoli zawrócił, zeskoczył z wozu i z rąk sędziów Helleńskich otrzymał purpurową przepaskę, znak odniesionego zwycięstwa, poczem obwiązał ją sobie sam koło skroni. Wołania i oklaski na jego cześć rozbrzmiewały wszędzie. Uciszył je, podnosząc rękę. Na wozie, stojąc upojony zwycięstwem, cudny młodzieniec począł mówić: Mężowie Helleńscy, oto mi poszczęścił Gromowładca olimpijski! I wy, mężowie helleńscy, życzliwą chęć mi okazujecie. Jakoż się wam godnie wypłacę? Oto jutro, gdy chlubny wieniec włożę na skroń, mówi mi dusza, bym was wszystkich, ilu was jest tu, gościł jako przyjaciół. Oto was wszystkich na ucztę zapraszam, byście wiedzieli, jak plemiona Hellady miłuje Alkibiades, Ateńczyk. Runęły ku hojnemu zwycięzcy rzesze, otoczyły ciżbą wóz jego i wiodły w triumfie ku głównej bramie. Tak skończyły się do południa wyścigi.....

..... W tej chwili trębacze dali znak, że zapaśnikom do pentathlonu czas gromadzić się w gimnazjonie. Przez Altis płynęły już tłumy. Pejsidoros wraz z innymi współzawodnikami przystąpił do losowania stanowisk. Poczem chlamidy zrzuciwszy, jęli się nacierać oliwą. Rozpoczęła się próba skoku. Z dwudziestu współzawodników każdy pokolei wstępował na podwyższenie, chwycił żelazne ciężki rękoma i wprawiał je w ruch wahadłowy w takt muzyki, ugiawszy kolana i, nabrawszy rozmachu, skakał naprzód, co mu sił starczyło. Gdy kolej przysła na Pejsidora, wprawił ciężki w potężny rozmach i dał olbrzymiego susa, zdawało mu się, że uleci w powietrze.....

Poczem przyniesiono oszczepy. Jak i towarzysze jego, Pejsidoros ujął swój oszczep grotem na dół i stanął gotowy do rzutu. Czterej, których rzut był najlepszy, mieli prawo dalej ubiegać się o wieniec: Pejsidoros, Xenokles, Klearetos i Tisamenos.

Stanęli tedy do trzeciej próby, do biegu prostego. Pejsidora nogi niosły same. Zdawało mu się, że niby Hermes w posły do ludzi od Zeusa leci, skrzydlatemi stopy przecinając powietrze.

— Prędej! Jeszcze prędzej! — zachęcał sam siebie w myśli. Gnało go naprzód poczucie, że nie da sobie wyrwać pierwszeństwa, że oczy tylu tysięcy śledzą każdy jego ruch... Nie chciał być drugim, wobec tych rzesz, wobec siebie samego... Muszę! — Krzyczał w nim jakiś głos wewnętrzny, choć w głowie mu szumiało, a pot zalewał oczy. — Muszę! Muszę! — powtarzał sobie i dobywał z siebie coraz nowego rozpędu. I biegł, leciał, mknął, aż go ogarniał szal. Niosło go coś, rwało bezwiednie. Ziemia umykała mu z pod stóp, gdzieś wstecz. W szeroko rozwartych oczach jedno miał tylko: cel! Nie czuł już ani wysiłku, ani trudu, ni własnych nóg. Naraz zahuczało dokoła, jakby wichura tocząca morskie wały. Przed sobą ujrzał przeciągnięty powróż. Oburącz go pochwycił i stanął. Pierwszy był! Okrzyki ludu huczały wciąż, a on zapatrzył się tam, gdzie wiedział, że siedzi matka...

...Przystąpili wreszcie do ostatniej próby, do zapasów. Wyszedszy na środek majdanu, stanęli naprzeciwko siebie, głowami naprzód pochyleni, z prawą nogą do skoku podaną. Salpingi zagrzmiały. Jak dwa młode kozły, tak oni starli się ciemiem o ciemię, a równocześnie jeden drugiego usiłował pochwycić za kark lub za barki. Wreszcie Xenokles uchwycił Pejsidorosa za kark i ciągnął go w dół co siły... Pejsidoros szamotał się długo, aż uwolnił się od żelaznej obręczy tego uścisku. I nagle porwał Xenoklesa jak w kleszcze i uniósł tak, iż ten zawisł nogami nad ziemią. Bronił się, ale zrozumiał, że nie wyśliznie się z mocarnych objęć przeciwnika. Pejsidoros o ziemię go cisnął, ale Xenokles zrywał się już na nogi. Pejsidoros ubiedz go zdołał. Jak ryś z góry nań runął i niby głaz parł go nieubłagane do ziemi. Nie zdzierzył Xenokles i piersią padł na piasek. Okrzyki, gwar, oklaski zagłuszyły dźwięk salping. Zwycięzca pomógł dźwignąć się pokonanemu.

Radość promienna biła mu z pięknego oblicza. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że to jemu przypadło to zwycięstwo chlubne, ten triumf rozgłośny.

Gdy Pejsidoros brał wieniec, końca nie było wołaniom i oklaskom. Czczył w nim lud krzepkie ciało i duszę piękną. Matka jego siedziała przed bramą Altis i czekała na syna. Zastał ją pod murem, na ławce kamiennej, w cieniu platanów. Siedziała w zadumie, więc cicho przybliżył się do niej i na zaplecione ręce olimpijski wieniec położył — matce.

(Lucjan Rydel: „Ferenike i Pejsidoros“. 1909 r. Kraków. Wyd. Gebethnera).

WALKA SPOŁECZNA

W drugiej połowie października z dalekich stepów przyszedł na piaski mazowieckie jakiś nakaz niezłomny: strajk. A kiedy szedł, lokomotywy wprowadzono do remiz i z kotłów wypuszczano ostatnią parę, i ludzie wychodzili z pokojów, w których były bufety z wódką i szli w pole na gościńce ludne, na trakty handlowe, do głodnych siół z cerkwiemi o blaszanych kopułach. I zaraz tu i ówdzie płonął stary pański dwór, albo wiatrak przydrożny, albo warsztat fabryczny.

Tak szedł nakaz od stacji do stacji i o północy 24 października przyszedł nad Wisłę. Nazajutrz wszystkie pociągi w oznaczonym czasie przybyły do Warszawy, a żaden nie wyszedł. Lokomotywy poustawiano w remizach. Potem zaczęły powoli zamierać duże gmachy fabryczne, potem mniejsze warsztaty, biura i sklepy. Były dni, że dorożki nie wyjeżdżały na miasto, i wówczas w mieszkaniach frontowych we dnie słychać było rozmowy przechodniów, a w nocy oczekiwanie psów, jak na wsi.

Miasto przestało żyć normalnie. Duże, wystawowe okna sklepów pośpiesznie zabijano deskami, w bramach domów przymocowywano sztaby żelazne, a drzwi mieszkań zamykano na łańcuchy.

— Niesłychane rzeczy!.. szeptano po kątach.

— Czegośmy to wreszcie dożyli! — biadali inni.

— Niesłychane rzeczy.

I rzeczywiście, działy się rzeczy niesłychane... Coś lada chwila miało się stać, i nikt nie wiedział, czy świtanie zapłonie na niebie, czy rozszerzą się łuny pożarne?

Tymczasem zbliżały się dni pełne jakichś nowych wydażeń. Zapowiadało się bezrobocie powszechne. Po mieście krążyły odezwy, nawołujące do strajku. Coraz większy niepokój ogarniał wszystkich.

Całe miasto zamarło. Szumiące, gorączkowe życie ulic ludnych i placów zatrzymało się na dzień, na tydzień, na miesiąc. Kominy fabryczne przestały dymić, lokomotywy na dworcach kolejowych stanęły jak wryte. Od wymarłych fabryk, od lokomotyw, zahamowanych jakimś nadludzkim wysiłkiem, idzie po ziemi moc i dzwony na wieżach napełnia złowrobnym szpizowym płaczem i budzi ludzi..

Miasto wyglądało dziwnie. Wystawy sklepów były zabite deskami, bramy domów pozamykane. Po chodnikach ludzie chodzili wolno, świętecznie. Środkiem ulic przeciągały patrole. Pierwsze szeregi nosły broń, jak do strzału, z boku szedł żołnierz i oficer z browningiem w ręku. Było coś groźnego w tych przemarszach. Lada chwila mogli zabębnić na znak, że śmierć idzie po ulicy.

I śmierć chodziła rzeczywiście pomiędzy żywymi. Czasem dolatywał gdzieś zdaleka wystrzał, czasem cała salwa.

Przechodnie wyglądali tak, jakby im zawiązano oczy i kazano iść poomacku. Tu i ówdzie zatrzymywali się grupami na rogach ulic i zarzucali siebie nawzajem pytaniami:

- Co słyszać? gdzie?
- Dlaczego pisma nie wyszły?
- Jakto, nie słyszeliście?
- A dlaczego nie wyszły?

Pisma rzeczywiście nie wychodziły. Urwały się wszystkie wiadomości, wszystkie odgłosy dalekich wysiłków, ciekawe epizody tej dziwnej wojny. Ludzie od razu zaczęli gubić się w domysłach i chodzili po ulicach jak ślepi. A pomiędzy ludźmi ślepyimi snuła się śmierć.

Było w tem coś tragicznego...

(E. Słoński: „Partja”. Warszawa. 1911 r. Gebethner).

POGOTOWIE RATUNKOWE W TATRACH

Błogosławione niech będą morza, góry wszystkie i wielkie pustynie, albowiem one są źródłem siły!.....

Ostra grań Błyszczą. Na prawo, na lewo powietrzne głębiny. Zgrzytają narty po twardej szreni, czepiając się jej nożami krawędzi; smutnie dzwonią tafelki lodowe, strącone naszemi nartami, i lecą gdzieś w głąb tajemniczą chyżej, dalej, ciszej—już szmer tylko, jakby ciche westchnienie z nizin dolata...

Oto łeb potworny śnieżnego nawisu: wychylił się nad otchłanie i patrzy i patrzy w Pyszną Dolinę, zmarszczki z warstw śniegu starego na jego czole; włosiska lodowe i brudu do połowy zasłoniły przejrysto zieloną twarz jego... Tam drugi, trzeci... cały huf rycerzy na północ obrócił się — czeka.

Po hełmach tych, pióropuszech lodowych rycerzy uparcie dążymy ku lśnjącemu szczytowi; upał pustyni piaszkowych, mróz grenlandzkich lodowców, w górze niebo z czerni winnej lato-rośli, do której mistrz dodał kropelkę ultramaryny.

Przesuwamy się pod ścianami granitowych turniczek; znowu szreni, znowu nawisy, znów noże śnieżne, ostrzami zwrócone do góry — i szczyt!

I szczyt!

Tyżeś, to szczęście? opromienione mistycznym blaskiem wierzeń, ogniskujące w sobie tęsknotę bytu — tajemnicę wszechwiedzy? Ja i moi towarzysze jesteśmy pierwsi na tym szczycie — może i był kto przed nami — a cóż mnie to może obchodzić!

szkła jął szlifować podeszew. Głowa się nisko ku robocie skłoniła, twarde łokcie rozpiętych w trójkąt ramion zawisły po bokach. Grzbiet jak trzcina giął się, chwiał i tężył za ciężarem głowy, a siła szła z wnętrznego źródła od dźwigni do dźwigni.

Pył wiercił w nosie, łaskotał uszy, zapychał kąty oczne. Odmuchiwał się szewc, jak mógł, od tej zarazy lotnej. Potem trzewik za nos, jak rybę za pysk, krzepko ująwszy, odwracał i żłobił podeszew lekkim ozdobnym floresem — pożytku i trwałości wdzięcznem umileniem.

Obrobił sprawę kulisem i rzucił się do ostatniego w tem dziele zadania, do tego, co koronuje każdą pracę, co każdej ostatnim jest słowem: do blasku. By podeszew niezmaconą nowizną bez skazy tchnęła, by w tem lśnięciem udaniu straciła ulotny ślad trudu. Więc trzewik, dwugłową mocą kolan zmuszając do bezruchu, pochwytnem wyprężeniem lędźwi jak w kleszcze wziął. Między palce w zaciśniętą pięść porwał gruby fatałach sukna. Tem suknem nuże jeździć po podeszwie. Zrazu opornie, lecz coraz sprawniej, lżej, coraz posuwiście. Na przedramieniu żyły, łokieć w skręcie aż chrupie, mięśnie pęcznieją.

Aż nareszcie wir pracy całego szewca łapie w swą moc. On wprawo kręgi toczy, ona go wlewo rzutem odpycha. Dręt-wica, w karku usiadłszy, postronki żył mu na czoło wysnuła.

Już suchym łyskiem błyszczący podeszew. Na czole szewca pot lśni. Całe ciało na kopyto, jak na pal wbite, w pracy zadajdziej, wykręca się i dygocze.

Przestał, by wytchnąć, bo mu się zmąciły w oczach ściany izby.

Teraz wziął reparację. Z pospółstwa ułomnych butów naj-nędzniejszy stanął na stole. Wyrwane miał ucho, język, na wylot przebitą podeszew i ściosany obcas. Wziął się szewc do zrywania nieużytej podeszwy. Trza było również zerwać pokłady obcasa, by wreszcie ukazał się obrąb przyszwyy. Zardzewiałe od wilgoci gwoździe, jak chore zęby, trzęsły się w kolisku dziur.

Splunął szewc w garście, z motka wysnuł chudą kosciczkę konopianych nici i wichrowate skręcał w jędrny szpagat. Po skręconej dratwie przewiodł wielokrotnie smołą. Wyciągnięta cięciwa zrumieniła się brunatną barwą, a pofolgowana upadła na podolek. W dwa rosochate końce wściбіł szewc dwa ostre żądła szczeciny i otuliwszy zwał je przylepnie w konopianym warkoczu. Dratwa była gotowa. Niby doktor przed operacją, zładził jeszcze to i tamto, a wszystko bardzo ważne, nieodzowne. Zdartą podeszew okrył papierkiem i wzdłuż osmolonym palcem rozmiar wyznaczył. Tępemi nożyczkami, wolno, bo się papier w twardem ręku oszukańczo przeginał—wyciął formę. Taka sa-

ma rada przypadła obcasowi w udziale. Wtedy skórę z wiadra z pod stołka wziął, bo zbić ją należało. Położył ją na cegle twardego kamienia, giętkim pierścieniem ręki otoczył drzewce młota i zaczął walić!

Coraz mocniej, straszliwie mocno...

Robota idzie coraz rażniej, kopyto coraz głębiej wciska się w pierś. Sine, czarniawe ścięgnię i żyły rąk wiążą się z dratwą w jeden splot. Nie dratwa, a nić płynnej smoły przez ręce płynie! Własnych rąk żyły i ścięgnię wszywają się równym opłotem w podeszew.

Teraz obrócił kopyto nosem ku piersi. W usta wetknął se gwoździki, by były na podporządku. Zagadał, zatańczył młotek na kopycie, póki wykończonego obcasa nie otoczył krzepko rząd złotych gwoździków.

Czas szedł.

Noc w rozblaskach niepewnych słaniać się jeła na świecie, a szewc schylony na niskim zydłu, niby krasnoludek, czy karzeł, złym duchem opętany, harował w pocie czoła, z głową przy kolanach trwającą.

Praca stawiała coraz większy opór. Tu kopyto zasiadło w bucie i wybić go nie można w żaden sposób, tu młotek jak pijany wywalał się z rąk, raszpili kłoda ciężyły. Doświadczył szewc ostatniego doświadczenia. Jakowaś niemoc kamiennym bezwładem zaciężyła pod kolanami. Nad całą postacią, przez pracę w kij związaną, czuwa resztkami przytomności pół-senna głowa.

Nakoniec głowa kłoni się na stół. Wśród korków i gwoździ spoczywa, jak w otoczu cierniowej.

Lecz praca wyrzutem sumienia staje się i kusi wciąż...

Widzi się szewcowi mrowie obuwia, krocącego po białej drodze pstrokatym tłumem. Tańczą płytkie lakiery, obok nich dążą żółte trzewiki, damskie pantofle. Leci szparki hałas chłopskich i robotniczych butów.

Cizbą idą do szewca przed świętem po poradę. A on, nad dobrem ludzkiej stopy ręce tracący, on, co sobie w piersi niezliczonem mrowiem obcasów grób wykopuje, on, co ciąg całego swego życia w pociągłel nieodmiennej pracy ściągnał, otwiera im drzwi i miłosierną pracą je darzy i własnem zdrowiem ratuje. Uleczone odchodzą prędko, lekko, nie czując pracy, która celnarami siły w nich się zawarła?

Świt już szedł.

A półprzytomnemu szewcowi się zdało, że jasnowidząca orędowniczka pracy nocnej — lampa, przedzierzgnęła się w zło-cistą jutrztenkę i gości na jego ciasnym stole...

(J. Kaden-Bandrowski: „Zawody”. Kraków. Spółka Nakładowa „Książka”).

MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA PRACY

Artykuł 23 Statutu *Ligi Narodów* nakłada na członków obowiązek „dołożenia wszelkich starań, aby ustanowić i utrzymać słuszne warunki pracy dla mężczyzn, kobiet i dzieci, zarówno na swych własnych terytorjach, jak i w krajach, dokąd sięgają ich stosunki handlowe i przemysłowe”. Powstała w tym celu *Międzynarodowa Organizacja Pracy* wchodzi do ogólnej organizacji Ligi Narodów. Zasady, na których została oparta, określone są w XIII-tej części Traktatu Wersalskiego. We wstępie czytamy następujące słowa: „Celem Ligi Narodów jest pokój powszechny, ugruntowany na sprawiedliwości społecznej. Widzimy wszędzie dokoła siebie ludzi pracujących w warunkach najgorszych, skazanych na nędzę, krzywdę i ograniczenia — ludzi niezadowolonych i rozgoryczonych, którzy w każdej chwili zamącić mogą harmonję i zagrozić pokojowi świata. Stosunki te trzeba najspieszniej poprawić i usunąć. Trzeba ograniczyć liczbę godzin pracy dziennej i tygodniowej, określić formy jej poszukiwania, trzeba zwalczać bezrobocie, zapewnić pracownikom odpowiednie środki utrzymania, rozciągnąć opiekę nad pracą dzieci, młodocianych i kobiet, zabezpieczyć pensje starcom i inwalidom, chronić rodaków pracujących zagranicą, zagwarantować prawo do tworzenia związków zawodowych, zorganizować wreszcie szkolnictwo zawodowe i techniczne, dostępne dla robotników. Stwierdzone jest, że polepszenie bytu warstw pracujących zależy od jednoczesnego wprowadzenia reform we wszystkich krajach i państwach.”

Część XIII-sta Traktatu Wersalskiego, zwana często *Konstytucją pracy*, brzmi następująco:

Zostaje ustanowiona stała instytucja, związana z Ligą Narodów, w celu zapewnienia dobrobytu fizycznego, moralnego i intelektualnego pracownikom najemnym. Instytucja ta będzie miała pierwszorzędne znaczenie z punktu widzenia międzynarodowego. Pomimo różnic klimatu, obyczajów i zwyczajów, które utrudniają osiągnięcie całkowitej jedności warunków pracy, możliwe jest określenie pewnych zasad i metod, które należy stosować wszędzie dla unormowania warunków pracy.

Z pośród nich następujące są szczególnie ważne i pilne:

Praca nie powinna być traktowana jako towar.

Prawo stwarzyszania się w jakimkolwiek bądź celu, nie sprzeciwiającym się ustawom, powinno być zapewnione pracownikom i pracodawcom. Pracownicy mają prawo do płacy, dającej im możliwość odpowiedniego poziomu życiowego, z uwzględnieniem ogólnych warunków bytu.

Ośmiogodzinny dzień roboczy, lub 48-godzinny tydzień roboczy powinien być wprowadzony wszędzie, gdzie dotychczas jeszcze te warunki istnieją.

Odpoczynek co tygodniowy 24-godzinny conajmniej, o ile możliwości niedzielny, winien być zapewniony.

Praca dzieci powinna być zniesiona, praca młodzieży ograniczona, aby umożliwić jej rozwój fizyczny i umysłowy.

Płace powinny być równe dla obu płci za pracę jednakowej wartości.

W każdym kraju prawa powinny zapewnić sprawiedliwe płace wszystkim pracownikom, przebywającym legalnie w tym kraju.

Każde państwo powinno zorganizować inspektoraty pracy, w których udział wezmą również kobiety.

(„Prawa Państwa Polskiego”, Kraków 1919 r. wydał prof. Wł. L. Jaworski).

W FABRYCE

Wiktor zapytał młodego inżyniera, czyby doktor nie mógł zwiedzić fabryki, a osobiwie stalowni. Ten przyrzekł protegować gościa. Zeszli w wąską uliczkę, utworzoną przez nagie mury fabryk i stanęli u ciasnych drzwi. Była już zapewne godzina siódma. Na podwórzu fabrycznem otoczył ich szereg młotów i głucho warczenie motorów dynamoelektrycznych o sile blisko tysiąca koni. Wiktor gdzieś znikł i doktor został sam na sam z młodym zawodowcem. Ten prowadził go przez sale, gdzie heblowano sztaby żelaza, długie kilkadziesiąt łokci, gdzie borowano w nich dziury zapomocą świrdrów i gdzie skromne maszyny w mgnieniu żrenicy wybijały w płytach grubych na dwa palce duże otwory z taką łatwością, jakby rzecz szła o przedziurawienie palcem plastra miodu. W jednym miejscu nitowano kraty mostów zapomocą śrub rozpalonych do białości, gdzieindziej cięto nożycami sztaby, jak płótno. Z ogromnych izb warsztatowych Judym przeszedł do pustej hali, gdzie pracowało zaledwie kilkunastu ludzi. Tu spajano relsy.

Doktor Tomasz ciekawie przyglądał się tej robocie. Był to wspaniały widok, gdy siłacz ujął swój młot i zaczął do spółki z towarzyszem łączyć uderzeniami dwa wypalone końce szyn. Doktorowi nie chciało się stamtąd wychodzić, z żywą ciekawością przyglądał się siłaczowi, rozpatrywał na nim mięśnie. Zdaleka posuwając się za swym inżynierem, cieszył się widokiem kowalskiego kadłuba.

— To także silny chłop! — rzekł towarzysz.

— Który?

— A ten...

Obok potężnego kowala stał bokiem odwrócony człowiek młody, z twarzą tak piękną, że Judym, ujrawszy ją, stanął jak wryty. Ruchy miał nie szybkie, lecz harmonijne.

— Czyż to także kowal? szepnął Judym. — Wporównaniu z Herkulesem wygląda, jak chrapaszcz.

— Ej, tak źle nie jest... uśmiechnął się przewodnik. Wkrótce potem chudy robotnik, gdy kolej na niego przysła, dźwignął swój młot i zaczął uderzać. Wtedy dopiero Judym zobaczył. Młot obiegał krąg rozsunięty i trząskał w żelazo z ogłuszającą potęgą. Nagie ręce wyrzucały go w prawo i w tył i zadawały sztabie cios z boku, a od samej ziemi poczęły. Korpus ciała stał prosto, jakby w tej czynności nie brał udziału! Tylko biodra wzdrygały się pewnym, minimalnym ruchem, który ukazywał stopień samej siły. Snopy iskier wyfruwały z pod młota w kształcie gwiazd błękitnych i złotych. Otaczały wspaniałą figurę rycerza, jakby aureolą należną wielkiej mocy i cudownej piękności. Po ostatnim uderzeniu młody kowal usunął się w kąt hali melodyjnym ruchem, wsparł ręce na toporzysku i świstał przez zęby. Krople potu stały na jego czole i płynęły strugami z usmolonej twarzy.

Z szopy kowalskiej wchodziło się do odlewni żelaza i stali. Dym słomy wolno węglejacej, zapach przeróżnych kwasów i duszne powietrze wypełniały te hale grobowe, czarne, ziejące ogniem. Ściany dygotały, jakgdyby z wiecznego bólu. W jednym końcu olbrzymiej szopy stało naczynie w kształcie gruszki. Podstawa jego była szeroka, szczyt zwężał się i zakończony był niedużym otworem. Ta wielka retorta obracała się na poziomej, wewnątrz próżnej osi, która wprowadzała do środka ogrzane powietrze z maszyny wiatrowej. Całe to naczynie mogło przechylać się w taki sposób, że przez otwór górny wylewała się we właściwej chwili zawartość. Gdy Judym wszedł do sali, „gruszka“ stała pionowo, naładowana warstwami surowca i koksu. Puszczono prąd powietrza o temperaturze ośmiuset stopni, które z dołu wdziera się do wnętrza i dmie z olbrzymią siłą. Wówczas przez otwór w górze zaczął wybuchać czarny kopeć, w którym błyskał płomień. Mroczne kłęby napełniły budynek i wypływały przez ogromne wrota. Dym strzelał w górę ze wzrastającą szybkością, był coraz bielszy i cieńszy. Gdy koks spalił się całkiem, zaczął buchać z przeraźliwym hukiem wielki drgający płomień. W samym prawie ogniu stało kilku ludzi. Na czele ich młody technik. Iskry przepaliły mu kapelusz, zniszczyły ubranie. Zakrwawione oczy badały kolor ognia, ażeby po jego barwie osądzić, czy stal się już wytwarza. W pewnej chwili

dał nakaz, ażeby wrzucić w paszczę naczynia krzemionkę, która się w tej temperaturze 1400 stopni asymiluje, mechanicznie z żelazem.

Płomień szalał. Słup jego wydawał zduszony ryk i leciał. Wzrok nie był w stanie znieść blasku, który rozświetlił ponurą halę.

Wówczas na galerji, za płomieniem, zdawało się, że w samym ogniu, jak salamandra, ukazała się czarna figura.

Doktór śledził ruchy tej postaci.

Robotnik długie narzędzie zapuścił w ciecz parskającą.

Wtedy doktor poznał w tej czarnej osobie swego brata — i serce zapaliło się w nim, jakby w nie zleciała iskra z płomieniowego ogniska.

(Stefan Żeromski: „Ludzie Bezdomni”, t. I-szy 1900 r. Warszawa. Nakładem Gebethnera).

O TWÓRCZOŚCI W DZIEDZINIE TECHNICZNEJ I SPOŁECZNEJ

„W roku 2000”, albo „Podróż do przyszłości,” takie tytuły spotykamy niekiedy w książkach, które nam opowiadają o cudownych wynalazkach i odkryciach w przyszłym tysiącleciu, uczynionych dla ulżenia i ozdobienia bytu człowieka. I nie tylko książki fantastyczne opowiadają nam takie piękne rzeczy, ale i poważne książki naukowe napomykają, że dzięki elektryczności i chemji wyrabiane będą przedmioty, o których dzisiaj nie mamy nawet pojęcia. A przytem często wszczynają taki alarm, że zdaje się, jakby cała szczęśliwość człowieka zależała jedynie od elektryczności i balonów ze sterem, oraz od długości drutów telefonicznych, że już wtedy nikt nie będzie płakał i narzekał. Mnie się zdaje, że bywają marzenia daleko piękniejsze o rzeczach znacznie ważniejszych od tego wszystkiego, co jedynie zewnętrzne.

Opowiem wam, co się śniło kilku wynalazcom, a przytem i to, czego bym ja pragnął, gdyby mi się śniło coś podobnego. Czyście kiedy już o tem słyszeli, że niedalekie są czasy, kiedy chemja będzie umiała zamienić węgiel kamienny w pożywną zupę i wyrabiać chleb z drzewa? Jakże można pozazdrościć drzewu i węglowi, że znajdują w nich coś nowego i pięknego, gdy nikt nie przypuszczał, że to posiadać mogą. Czyż kiedykolwiek wpadliście na myśl, że ta czarna masa będzie może kiedyś spożywana jako płyn? A my ludzie, choć przecież biali,

tak rzadko znajdujemy kogoś takiego, któryby wydobył z nas wszystkie ukryte własności i siły i zamienił je w coś nowego. Rzadko nawet trafia się taki, ktoby wierzył w to, że posiadamy w sobie coś więcej, aniżeli to, co widoczne, że chodzi tylko o środki przeobrażania. Jak można sądzić, że z węgla kamiennego daje się zrobić zupa? Otóż dlatego, że wiadomo, iż węgiel zawiera wszystkie pierwiastki potrzebne do zupy. A czyż i w nas nie są zawarte wszystkie pierwiastki tego, co dobre, tylko że niezbudzone i zmieszane z pierwiastkami zła i fałszu! Co za cudowny wynalazek stanowiłaby czarodziejska formuła przeobrażenia, dzięki której i wśród ludzi ciężki kłoc stałby się człowiekiem, możliwym w pożytku; byłby to cud większy od owej zupy węglowej! Nacóż przydadzą się wszystkie sztuki, przetwarzające drzewo i węgiel, co nam z nowej zupy i chleba, jeśli ludzie będą zawsze tacy sami kłótlivi i niezdolni? Czyż kiedyś będzie wynaleziona sztuka wyzwolenia w człowieku pierwiastków dobrych i oddzielenia ich od złych? Przeczucie świętości tej sztuki przejmując nas niekiedy, gdy spotykamy człowieka, którego obecność wywiera na nas wpływ taki, że wypowiadamy, co w nas jest najlepszego i czujemy się lepsi przy nim. Czy mogą nadejść kiedykolwiek czasy, gdy wszyscy będziemy posiadali tajemnicę przeobrażania człowieka i wzajemnie się wznosili ku wyższemu życiu każdym naszym czynem?

Budują olbrzymi teleskop; słychać wszędzie przypuszczenia, jak dalego będzie można widzieć w przyszłości.

Czy się kiedykolwiek zobaczy ludzi na Marsie, a przynajmniej ich domy?

Gdy dumam nad temi wynalazkami, nasuwają mi się smutne myśli; bo jakże mało pomóc mogą człowiekowi! Albowiem daleko więcej, niż od bakcyli i gwiazd, losy człowieka zależą od tego, co się dzieje we *wnętrzu jego własnej duszy*, dokąd nie przenika ani teleskop ani mikroskop. Oto, gdybyśmy posiadali mikroskop, wskazujący nam, jak będą wyglądać za lat dwadzieścia najsłabsze skłonności nasze, a także, jak wtedy wpłyną na życie nasze, gdybyśmy wynaleźli mikroskop, wskazujący związek kłamstwa w najniewinniejszych słowach naszych, a w najniepozorniejszych przyzwyczajeniach załazek samolubstwa, tak, wtedy byłibyśmy panami naszego bytu.

Pragnę, abyśmy przez wspólne badania wynaleźli sposób patrzenia w głąb duszy ludzkiej zapomocą silnego szkła powiększającego, stalibyśmy się wtedy bowiem pogromcami wad naszych, które nas gnębią. Dziś daleko nam jeszcze do tego, bo patrzymy na nasze niebezpieczne popędy przez szkło zmniejszające, widzimy zaś je dopiero wtedy, gdy tak wyrastają, że ratunek jest spóźniony.

W tej chwili pracują znowu nad wielkim wynalazkiem, który niezawodnie stanie się błogosławieństwem dla pracy rolnej ludzkości, skoro rzeczywiście się uda. Usiłują rozproszyc chmury burzowe przez wystrzały armatnie i nazywają armaty do tego celu używane, „powietrznemi”. Kto o tem usłyszy, będzie niewątpliwie błogosławił wynalazcę, ale też pomyśli: jakżeby to dobrze było, gdybyśmy wynaleźli armatę, która obróciłaby w popiół namiętności ludzkie, zanim zakłóca pokój wsi i miast! Przykro mi o tem pomyśleć, że żyję w czasach, w których stoimy bezradni wobec burzy namiętności naszych własnych, gdy na sklepieniu niebios moglibyśmy w kilka minut rozprószyć najsroższą nawałnicę. Co za piękne marzenie o *wynalezieniu sposobu zakłęcia rozszalałych żywiołów serca ludzkiego!* Zaiste bowiem jest prawdą niezbitą, że grom i grad nie stanowią takiej klęski dla pól, ile są nią gromy nieokiełznanych namiętności ludzkich.

Najwięcej spodziewają się ludzie od elektryczności. W parę godzin zajedziemy koleją elektryczną z Paryża do Petersburga, a naokół kuli ziemskiej porozumiewać się będzie można telefonicznie. W ten sposób ludzie nigdy nie będą oddaleni od siebie, na krańcach świata będą mogli każdej chwili z sobą rozmawiać.

Brzmi to bardzo pięknie, a ci sprawcy takiej szczęśliwości okryją się sławą. Aliści naczóż przydadzą się wszelkie telefony, jeśli będziemy mieli do powiedzenia sobie tylko grubiaństwa? A jeśli koleje elektryczne służyć będą tylko do szybszego wysyłania wojsk, zamiast do pokojowego załatwiania spraw?

Świętszą i ważniejszą jest przyszłość, zapowiadająca, że miłość do najbliższych wzbierze w miłość do najdalszych, gdy miłosierdzie i sprawiedliwość nie zatrzymają się na granicy własnej ojczyzny, lecz, podobnie do iskry elektrycznej telegrafu, rozniosą się na wszystkie krańce ziemi, — przyszłość, kiedy każdy dom i każdy kraj nietylko będzie połączony telefonem z innemi domami i krajami, ale też, gdy każde nieszczęście, każde opuszczenie znajdzie podporę w słowach pociechy i żadne trwożne błaganie nie przebrzmi bez echa ocalenia, gdy nikt nie opuści brata swego w gniewie i nieporozumieniu, a wszystko da się naprawić. Wtedy wszystkie serca będą sobie bliskie. Ale bez tego, jakie groźne i próżne są sieci drutów z domu do domu i świst lokomotywy i dzwonienie telefonów!

(Dr. Fr. W. Foerster „Wychowanie człowieka” Warszawa. Nakładem Gebethnera 1913 r.).

MASZYNA I JEJ ZNACZENIE SPOŁECZNE

W ciągu ostatnich 150 lat zaszedł fakt nader ważny. Jest nim zastąpienie energii mięśniowej ludzi i zwierząt energią pali-

wa i spadku wód. Niegdyś ludzie wykonywali swe zadania, zmuszając pracować innych ludzi, lub zaprzęgając konie, osły, woły i inne zwierzęta domowe. *W czasach obecnych praca fizyczna przekłada się na siły przyrody.* Obliczono, że przy kopaniu ziemi dobrą łopatą jeden człowiek potrzebowałby 560 sezonów wiosennych, aby uprawić jedną milę kwadratową, czyli 640 akrów. Jeżeli zaprzęże dobrego konia do pługa, to może wykonać tę robotę w ciągu 4-ch sezonów. Przy zastosowaniu 3-ch traktorów mechanicznych o 51 lemieszach drużyna z 12-tu ludzi może zorać conajmniej 640 akrów w ciągu 36 godzin. Praca fizyczna człowieka jest 135 do 1350 razy droższa od pracy mechanicznej. Praca 30 ludzi w ciągu godziny odpowiada pracy jednego konia na godzinę, ale pracę tę możemy otrzymać z 1-go do 5-ciu funtów węgla. Można więc przyjąć, że energia jednej tonny węgla jest równa pracy 5-ciu ludzi w ciągu całego roku.

Człowiek, jako źródło energii fizycznej, traci swoje znaczenie; jako *kierownik* zaczyna wchodzić dopiero w swe prawa; pod tym względem nie ma współzawodników i jego wartość nie ma granic.

W ciągu epoki, z której zaczynamy dopiero wychodzić, bogactwa niewielu zbierały się za cenę biedy większości. Wolni obywatele starożytnych Aten osiągnęli wysoki stopień kultury dzięki temu, iż na każdego wolnego obywatela przypadało przynajmniej 5-ciu niewolników. Jako niewolnicy ludzie zmuszani byli do pracy fizycznej; tak np. używano ich do straszenia żab po nocach, aby nie przeszkadzały spać ich panom, lub też po całych nocach wachlowali ludzi bogatych, jak to i obecnie jeszcze zdarza się w Indjach. Niewielu bogatych korzystało z pracy mas... Ale czasy zmieniają się.

Gdyby jakiś wynalazca wynalazł sposób zamiany ołowiu na radjum zapomocą ciepła słońca, to jest otrzymał ciało, posiadające milion razy więcej energii niż węgiel, to przez to niktby nie zbiedniał i nikt nie osiągnął specjalnych przywilejów, ale *cała ludzkość byłaby obdarzona bajecznie*, nawet gdyby trzeba było zapłacić takiemu wynalazcy miljarde dolarów.

Praca mięśni straciła już swoje znaczenie. Ludzkość w coraz większym i większym zakresie otrzymuje potrzebną energję zapomocą maszyn i każdy, kto buduje urządzenie lub maszynę, która wykonywa pracę, wykonywaną przedtem ręcznie, powiększa ilość niewolników mechanicznych, którzy służą nietylko jemu samemu, ale i całej ludzkości. Nie jest prawdą, że maszyna wypiera człowieka, przeciwnie, ona go podnosi — sprawą zaś społeczeństwa i państwa jest stworzenie takich warunków, aby ten proces przejściowy odbył się bez bólu i nie dał powodu do walki.

Istniejących bogactw nie stworzyły ani kapitał, ani siła robocza, ani ziemia; nie stworzą ich również i w przyszłości. *Bogactwa stwarzają idee*, a więc w przyszłości trzeba jaknajwięcej idei, skierowanych do odkrycia bogactw przyrodzonych; trzeba, aby na jednostkę wytworu użytecznego zużywano mniej kapitału, mniej siły roboczej, mniej ziemi. Złoto samo w sobie posiada wartość bardzo względną; diamenty żadnej — chyba tylko taką, że można nimi krajać szkło lub kamienie. Myśli — idee nadały złotu i diamentom znaczenie. Wynalazek lampy żarowej podwoił wartość platyny. Idee Kolumba o ziemi za oceanem, idee Franklina, Waszyngtona, Jeffersona o wolności, Ful-tona o statku parowym, Steffensona o parowozie i kolei żelaznej, idee Edisona, Morse'a Marconiego, Lincolna, Rockfeller'a, Carnegie'ego, Rooswelta o kanale panamskim sprawiły, że Stany Zjednoczone są tem, czem je obecnie widzimy. Wszyscy ci ludzie posiłkowali się tylko siłą roboczą i kapitałem, aby odkryć i wyzyskać bogactwa przyrody, leżące bez użytku.

Do pracy zapomocą mięśni można zmusić batem, ale niema takiej potęgi, która potrafiłaby zmusić do pracy mózgowej, do pracy organizacyjnej. Jedna idea może mieć większą wartość niż praca fizyczna ludzi, zwierząt i maszyn przez całe stulecie. Mi-ja już era mięśni i niewoli, a z nią i stara moralność — *era organizacji następuje szybko*, a razem z nią zjawia się nowa moralność, zgodnie z którą przykazania względem bliźniego powinny być zachowane i zastosowane nie tylko do oddzielnych ludzi, ale do całych klas, narodów i ras.

(Z książki „Dwanaście zasad wydajności“ przez Harringtona Emersona. Warszawa 1926 r. Nakładem Instytutu Naukowej Organizacji).

TRIUMF CZŁOWIEKA

Ileż to spraw, które uważamy dziś za najbardziej doniosłe, zmaleje w niedalekiej przyszłości, a kiedyś całkiem zginie w niepamięci. Setki i tysiące tragedij, setki i tysiące komedij zginie w nurtach Lety, tylko rzeczy pewne, znaczące drogi historii, przeistaczające obraz życia ludzkiego na ziemi, pozostaną w pamięci pokoleń. Niektóre tylko daty będą zapisane w księdze dziejów trwałymi znakami.

Do takich dat będzie niewątpliwie należał dzień 21-y maja 1927-m roku, w tym dniu bowiem Karol Lindbergh, „Kolumb powietrza” przeleciał ponad oceanem Atlantyckim, odbył lot z Nowego Jorku do Paryża w ciągu 33 godzin i 32 minut bez lądowania. Data zwycięstwa, które najpewniej będzie prześcignione,

lecz nie będzie zapomniane nigdy. Z racji swego znaczenia w dziejach walki człowieka z czasem i przestrzenią. Z racji tej, że człowiek w zmaganiu się z żywiołami natury stał się większy.

Kiedy w roku 1905-tym lotnicy Farman i Wright, pierwszy w Paryżu, drugi w Nowym Jorku, wzniesli się na wysokość 20 metrów i utrzymali się w powietrzu trzy minuty, wrażenie w całym świecie było potężne. Nikt wówczas nie przypuszczał, że już za naszych czasów lotnik przeleci 6,000 kilometrów bez lądowania. Wobec nieustającego postępu w tej dziedzinie powiedziec możemy: w walce z czasem i przestrzenią człowiek, dzięki swej niepohamowanej ambicji i dzięki rozwojowi wiedzy, odniesie jeszcze za naszych czasów prawdopodobnie takie zwycięstwa, jakich dziś nie potrafimy sobie wyobrazić.

Pisarz francuski, Paweł Morand, w książce pod tyt. „Ziemia i nic więcej”, podaje taką oto rozmowę z roku 1930-go:

— Mamusiu, czy mogę dziś po obiedzie polecieć do Indyj Wschodnich?

— Owszem, dziecko, polec, ale zabierz ze sobą podwieczorek.

Nie mamy już uczucia, że ta rozmowa należy do dziedziny t. zw. czystej fantazji.

Kiedy o zwycięstwie Lindbergha nadeszła wiadomość do Nowego Jorku, we wszystkich kościołach uderzono w dzwony na znak, że w historii ludzkości stało się coś wielkiego. W miastach amerykańskich tak uroczyście obchodzono tylko dzień zawieszenia broni 11-go listopada 1918 roku.

W tłumach, obficie karmionych wulgarną sensacją, żyje jednak zdolność odczucia piękna i wielkości czynu, działa siła moralna, wyrażająca się w gestach prawdziwej szlachetności. O tem pouczają nas opisy, jak wyglądał Paryż w chwili przybycia Lindbergha. To cudowne miasto odzywa się zawsze najpotężniej swoim entuzjazmem i rozumieniem spraw ogólnoludzkich. Przecież tak niedawno zginęli dwaj lotnicy francuscy, Nungesser i Coli, którzy też chcieli przelecieć Atlantyk. A tu zwyciężył cudzoziemiec.

Nic to! Jest wspaniały! Niech żyje! Oddajmy mu hołd! To triumf człowieka!...

Nie jest to zapewne przypadek, że olśniewające zdobycze lotnictwa widzimy w epoce przełomu, w czasie wielkich zmian w życiu politycznym i społecznym narodów. Jakby na pomoc nowym czasom, na pomoc nowemu układowi stosunków przychodzi geniusz techniki, wraz z bohaterską odwagą jednostek.

Narody wydobywają się powoli z powojennego kryzysu. Lecz nie, by nawrócić ku przeszłości, która zginęła nieodwołal-

nie, bo w sumieniu i świadomości ludów. Żyjemy przyszłością silniej niż kiedykolwiek w dziejach. Duch powszechnej odmiany zapanował nad światem i wypowiada się w nowych urządzeniach społecznych, w ustrojach politycznych i stosunkach między narodami. Rośnie dzieło naprawy. Nadewszystko zaś — w upowszechnianiu cywilizacji i kultury. Proces ten odbywać się może jedynie w drodze wspólnego, solidarnego między narodami wysiłku. Wzmaga się nieustannie współzależność międzynarodowa w wymianie dóbr materialnych i duchowych. Jest coraz więcej punktów stycznych w najżywotniejszych interesach państw. Stąd tyle nowych instytucyj międzynarodowych, powołanych do normowania spraw wspólnych.

Temu procesowi zbliżania się narodów na terenie rzeczy wspólnych przychodzi z pomocą geniusz techniki, który skutecznie działa w tym kierunku, a może prędzej i silniej jeszcze, niż niejedna konferencja. Nowy to i wielki współczynnik w pracy twórczej, budującej nową przyszłość świata...

Postęp techniczny we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej niesie wyzwolenie z pod jarzma męki fizycznej, wyzwala człowieka z klątwy „potu czoła” i wznosi go na wyższy szczebel życia, gdzie otwierają się przed nim nowe horyzonty duchowe.

(J. Wasowski: „Wielkie czasy”. Warszawa, 1928 r. Nakład księgarni F. Hoessicka).

• GŁÓD WIEDZY

Błysnęła mu nagle perspektywa *nieskończonej, nieobjętej krainy wiedzy* — rozjaśniała się powoli, wskazując kształty dostępne oczom. Jego niezwykła zdolność wizjonerska nadawała każdej abstrakcji formy konkretne. Przedziwna alchemja jego mózgu przetworzyła odrazu trygonometrię, matematykę i całe olbrzymie pole rozpościerającej się poza temi słowami wiedzy — w równie wielkie i cudowne krajobrazy. Ujrzał krainę promiennej zieleni, całą prześwieconą blaskiem nieziemskim i przeszytą niekiedy palącą strzałą ognia. Daleki horyzont gubił się w mgłę purpurowej, a poza tą mgłą purpurową — wiedział — otwierało się wiekiuste Nieznane, nieskończoność możliwości i pragnienia. Rozwarta oddal upajała jak wino. Zdobycze czekały jego rąk i głowy! Zdobyć był świat cały!

.....
Wahał się pomiędzy bezpłatną czytelnią w Berkeley, a także czytelnią w Oakland. Nie znał przepisów bibliotek publicz-

nych, wędrował więc między nieskończonemi rzędami tomów, dopóki jakaś panienka nie wskazała mu, że wydział informacji jest na górze. Martin nie był dostatecznie wtajemniczony, żeby od razu zagadnąć pana, urzędującego za pulpitem, to też przegody jego rozpoczęły się od sali przeznaczonej na dzieła filozoficzne. Wiedział, że istnieją książki o filozofji, lecz nie przypuszczał, że napisano o niej tak wiele. Niezliczone rzędy półek uginających się pod ciężarem tomów przytłoczyły go i podnieciły zarazem. Było tu na czem wypróbować siłę mózgu! W dziale matematycznym znalazł książki o trygonometrii i skwapliwie przerzucając kartki, zdumiewał się nad szeregami niezrozumiałych formuł i figur. Umiał czytać po angielsku, ale tu język był jakiś dziwny. Zrozpaczony opuścił salę. Tomy zdawały się nacierać nań, przytłaczać, dławić. Nie śnił nigdy, że kapitał wiedzy ludzkiej może być tak olbrzymi. Poczul przerażenie. W jaki sposób mózg opanować ma to wszystko? Przyszło mu jednak na myśl, że istnieli przecież ludzie, liczni ludzie, którzy opanować to zdołali.

Wtedy cicho, żarliwie wyszeptał wielką przysięgę: zdobędzie myślą wszystko, co zdobyć potrafili inni.

Wędrował dalej, to zrozpaczony, to znów pełen otuchy, przyglądając się półkom naładowanym mądrością. W dziale „Dzieł rozmaitych“ natrafił na „Epitome“ Norriesa. Z namaszczeniem przewracał kartki. Nareszcie przemówiono doń zrozumiałym językiem. Obaj byli dziećmi morza.

Obrzucił salę długim spojrzeniem i zamknął pod powiekami wizję tysięcy tomów. Nie, dość już morza! Tu, w tem bogactwie książek kryje się potęga. Jeżeli spełnić chce wielkie czyny, spełnić je powinien na lądzie.

.

Spędzał długie godziny w czytelniach i stopy książek, które pochłaniał, zwiększały jeszcze jego niepokój. Każda stronica przebijająca okienko do królestwa wiedzy. W miarę czytania, głód chłopaka zaostrzał się i potężniał. Martin cierpiał bezustannie na brak przygotowania, wobec czego absolutnie nie wiedział, skąd zacząć lekturę. Każda książka zakładała z góry, iż czytelnik posiada pewne minimum wiadomości. Martin nie posiadał ich wcale.

Toż samo odczuwał przy czytaniu poezyj, które zresztą niemal przyprawiały go o szaleństwo. Przypadkowo natrafił na poezje Kiplinga i porwany został blaskiem, poławem i artyzmem, z jakim stwarzały w sztuce każdy najpospolitszy szczegół ży-

cia. Zachwyciła go głęboka sympatja człowieka do wszystkiego, co żyje, zdumiała przenikliwość psychologii. „Psychologia“ była nowym nabytkiem w kapitale językowym Martina.

Po upływie tygodnia wydało mu się, że minęły wieki, tak nieskończenie daleko odsunął się świat otaczający i dawne życie. Martinowi dokuczał jednak bardzo zupełny brak wykształcenia. Sięgnął po książki, które wymagały lat specjalnego przygotowania. Dziś brał się do filozofji starożytnej, nazajutrz chwycił coś najbardziej nowożytnego, tak, że w rezultacie kręciło mu się w głowie od przeciwstawień i konfliktów między ideami.

Taki sam los spotkał ekonomistów. Na wspólnej półce znalazł Karola Marxa, Ricordo, Smitha i Milla, lecz sformułowania myślowe jednych nie pomagały bynajmniej do zrozumienia, iż teorie poprzedników są już przestarzałe. Martin błakał się poomacku, lecz tembardziej pragnął poznać, zrozumieć, wiedzieć. Jednego i tego samego dnia roznamiętniały go ekonomja, przemysł, polityka.

Idąc kiedyś przez Park Ratuszowy, zauważył spory tłum w którego środku stało z pół tuzina mężczyzn, o rozplómonionych twarzach, donośnemi głosami prowadząc wiec. Przyłączył się do słuchaczy i napotkał tu poraz pierwszy nowy dialekt—dialekt filozofji ludu. Jeden z przemawiających był bezdomnym włóczęgą, drugi był agitatorem robotniczym, trzeci studentem prawa, resztę stanowili wyrobnicy, rzemieślnicy, albo poprostu gaduły.

Martin dowiedział się wówczas dopiero o socjalizmie, o anarchizmie i zrozumiał, iż były to zwalczające się nawzajem teorie społeczne. Posłyszał setki słów i określeń nieznanych dotychczas, bo należących do tej sfery myśli ludzkiej, do której nie doprowadziły jeszcze Martina przeczytane książki. Nie mógł więc schwytać ciągłości argumentów i poprzestać musiał na domyślaniu się znaczenia pojęć, ukrytych pod tak dziwaczniemi wyrazami. Po pewnym czasie do rozpraw przyłączył się jakiś człeczyna, kelner z zawodu, teozof z zamiłowania, później piekarz, wyznający agnostycyzm i staruszek, który zdziwił wszystkich oryginalną teorią, iż „wszystko, co istnieje, jest sprawiedliwe“.

Martin Eden, wycofawszy się z tłumu po kilku godzinach uważnego słuchania, poczuł zawrót głowy i czempredzej pobiegł do biblioteki, żeby się dowiedzieć, co znaczą obce zapamiętane wyrazy. Opuszczając czytelnię, dźwigał pod pachą cztery wielkie tomy.

Prawdziwem wythchnieniem były dla Martina poezje; czytał ich wiele, znajdując specjalne upodobanie w wierszach prostych.

Kochał piękno i znajdował je w poezji. Wzruszała go głęboko, narówni z muzyką. Białe, nietknięte karty jego umysłu powoli, bez wysiłku, w miarę czytania i zachwytu zapełniały się strofami tak, że wkrótce mógł rozkoszować się rytmicznymi zdaniami, mówionymi lub szeptanymi napamięć.

Pewnego razu natrafił na „Mity klasyczne” Gayleysa i „Wiek bajeczny” Bullfincha. Było to prawdziwe olśnienie, wielkie słońce w ciemnościach jego niewiedzy. Odtąd chciwiej jeszcze rzucił się do czytania.

Martin wędrował przez ciężkie od wiedzy stronic, olśniony zawsze na nowo każdym odsłonięciem tajemnic istoty rzeczy. Dotychczas wchłaniał świat, jako taki, teraz zaczynał pojmować jego budowę, wspaniałe zmaganie, współdziałanie materji i energii. Nagłe zrozumienie spraw i rzeczy, z któremi stykał się dawniej, rozbłyskało co chwila w umyśle chłopaka. Teoria dźwigni i bloku zachwyciła go, a pamięć natychmiast pobiegła wstecz ku blokom okrętowym i olinowaniu statków. Pojął również zasady nawigacji, dzięki którym okręt nieomylnie odnajdywał drogę swą na pustym bezdrożu oceanu. Tajemnice deszczu, burzy i przyływu odsłoniły się odrazu, jak również przyczyny istnienia północno-wschodnich passatów. Pewnego popołudnia udał się na wykład do Uniwersytetu Kalifornijskiego, gdzie z zapartym oddechem i religijną trwogą wysłuchał wykładu fizyki, zwiedził laboratorja i przyjrzał się doświadczeniom.

Martina całe życie pożerała ciekawość. Pragnął wiedzieć, wszystko wiedzieć i to właśnie pragnienie gnało go poprzez bujny świat zdarzeń i przygód. Dziś jednak posłyszał od Spencera, że nigdy nic nie wiedział i nie byłby się dowiedział, gdyby nie przerwał był upartych wędrówek po lądzie i morzu. Dotykał bowiem tylko powierzchni rzeczy, obserwował oderwane zjawiska, czynił drobne powierzchowne uogólnienia: bez metody, w sposób kapryśny, i przypadkowy. Nieumiejętne i niepoprzedzone odpowiedniem przygotowaniem zakusy filozoficzne Martina pozostały bezpłodne. Metafizyka Kanta nie dała mu klucza prawdy i przyczyniła się tylko do chwilowego zwątpienia w siły własnego umysłu. W ten sam sposób próby zapoznania się z teorią ewolucji ugrzęzły w beznadziejnie naszpikowanym technicznymi terminami dziele Romanesa. Martin nie zrozumiał nic i jedynym wnioskiem, do jakiego doszedł po przeczytaniu, było, iż cała ta ewolucja jest jakąś zasuszoną teorią, uznawaną przez garstkę drobnoludków, zagrzebanych w olbrzymie i niezrozumiałe słowniki. Obecnie dowiedział się, że teoria ewolucji przestała już nawet być teorią, a stała się ogólnie uznanem objaśnieniem procesu rozwojowego świata i że uczeni nie dy-

skutują już o jej prawdziwości, a różnią się jedynie w poglądach na jej przebieg.

Wtedy to właśnie objawił się chłopakowi Spencer, ten, który uorganizował wiedzę w całość, sprowadził wszystko do jedności, wypracował ostatnie przesłanki i podsunął przed oszołomione oczy wszechświat tak skonkretyzowany, że aż podobny do modelu statku, budowanego czasem przez marynarzy i chowanego troskliwie pod szklanym kloszem. Nie istniały już przypadki. Wszystko było prawem. Posłuszny prawu był lot ptaka i w imię tegoż prawa, plazma ożywiona fermentem poruszyła się ongiś, urosła, rozwinęła skrzydła i stała się ptakiem.

Martin krok za krokiem wznosił się ku intelektualnemu życiu. Wszelkie rzeczy stworzone odsłaniały mu zwolna swe tajemnice. *Upajał się poznaniem*. Krążył jak zaczarowany, z pustymi oczyma, zatraconemi w nowoodkrytym cudzie wszechświata. Między ludźmi głuchy był na rozmowy o sprawach nieważnych, przyziemnych, nieustannie prac wytężonym umysłem naprzód, w poszukiwaniu przyczyn i skutków każdej rzeczy.

Najsilniejsze wrażenie wywarła na Martinie jedność wszystkich nauk — jedność wiedzy. Spencer przekonał go, że brak łączności we wszystkich zjawiskach był niemożliwością. Każda rzecz łączy się w każdą inną od najdalej gwiazdy, w olbrzymich przestrzeniach świata, do mirjadów atomów w ziarnku piasku pod nogą człowieka.

Nowy ten światopogląd stał się dla Martina źródłem niewyczerpanego zainteresowania. Bezustannie szukał związku przyczynowego pomiędzy wszystkimi rzeczami pod słońcem. Przypominał sobie najbardziej niewspółmierne przedmioty i nie mógł się uspokoić, dopóki nie znalazł ich wzajemnego ustosunkowania — ustosunkowania pomiędzy miłością, poezją, trzęsieniem ziemi, ogniem, tęczą, drogami kamieniami, zachodem słońca, rykiem lwów, pięknem, morderstwem, dźwignią i jej punktem oparcia. W myśli unifikował wszechświat, brał go w ręce, oglądał, wędrował przez jego ścieżki, aleje i dżungle nie jak przeżony podróżny, w gąszczu tajemnic szukający nieznanego sobie mety, lecz jak spokojny obserwator, co patrzy, znajduje i bada wszystko, cokolwiek zapragnie. Im zaś więcej wiedział, tem namiętniej uwielbiał wszechświat, jego życie i swoje własne pośród niego istnienie. Prowadził życie pustelnicze, wykonywując pracę codziennie, na którą pracownik przeciętny potrzebowałby co najmniej trzech dni. Nie przepadała ani jedna chwila. Ubierając się Martin wbijał sobie w pamięć potrzebne wyrazy. Spisy trudniejszych słów i określeń figurowały na ścianie ponad kuchenką, żeby mogły być odczytywane podczas gotowania. Na miejsce

starych spisów co pewien czas przybywały nowe. Czytając utwory autorów znanych i uznanych, Martin notował osiągnięte przez nich rezultaty, oraz studjował drogi, jakimi szli do ich osiągnięcia. Szukał zasad, syntezy. Notował przykłady bardziej wyszukanej i charakterystycznej odrębności literackiej, aż przestudjowawszy ją u wielu autorów, wydedukować potrafił pojęcie indywidualności stylu wogóle. Przygotowany w ten sposób, mógł już formułować własną nieświadomą indywidualność literacką, ważyć, mierzyć i oceniać jej odrębność.

Martina nie zadowalniało patrzenie w cudowną twarz piękną. Analizował je i preparował w małym laboratorium nędznej izdebki. Swój talent twórczy wspierał o podstawy rozważnej świadomości.

Przed przejawami natchnienia, chylił głowę ze czcią, rozumiejąc, iż sięgały ponad świadomą zdolność twórczą człowieka. Niezależnie od badania istoty piękna, nie zapominał o istnieniu głęboko ukrytej tajemnicy poezji, do której nie dotarł jeszcze nikt z pośród żyjących. Wiedział doskonale, choćby ze Spencera, że człowiek nie może nigdy osiągnąć absolutnego poznania, oraz, że tajemnica piękna niemniej jest głęboka, niż tajemnica życia. Więcej jeszcze: iż najsłynniejsze włókna piękna i życia przeplecione są wzajemnie po stokroć i że on sam, nędzny Martin Eden, nie jest niczem innem, jak tylko cząsteczką olbrzymiego chaosu, utkanego z promieni słonecznych, gwiazdnego pyłu i niezrozumiałego cudu...

(„J. London: „Martin Eden”. Warszawa. 1923 r. Towarzystwo Wydawnicze „Ignis”. T. I-szy, przekład St. Kuszelewskiej).

Ś W I A T Ł O

Dawne pytanie, kto jest szalony: czy on, czy też ci ludzie, co siebie mają za rozumnych, a czynią zło, grozę i niesprawiedliwość—z nową siłą tłoczyło mu się do duszy. I nie znajdował na zapytanie odpowiedzi. Bo jakże odpowiedzieć na zarzut: co począć ze zwierzęconymi ludźmi: czy pozostawić im swobodę, narażając ogół ludzki na niebezpieczeństwo?

Zmęczony usiadł przed lampą na kanapie i otworzył Ewangelię. Tu, powiadają, jest rozwiązanie wszystkiego i wielka prawdy istota. Otworzył książkę na chybił trafił i zaczął czytać Mateusza rozdział XVIII.

Potem spojrzał na światło palącej się lampy i zdrętwiał. Duszę jego przepełniło uczucie uniesienia, którego już dawno nie doznawał. Tak, jakby po długiej męce i bólu znalazł od razu ukojenie i swobodę.

Nie spał całą noc i, jak często bywa z czytającymi Ewangelię, poraz pierwszy, czytając, rozumiał całkowicie znaczenie słów Bożych, które często czytał, ale nie rozważył należycie. Jak gąbka wodą, tak on nasiąkał tem ważnem, radosnem, co mu się w książce objawiało. I wszystko, co czytał, wydawało mu się dobrze znane, wydawało mu się potwierdzeniem, wyjaśnieniem tego, co wiedział oddawna, ale czego nie rozumiał, w co nie wierzył. Teraz zaś zrozumiał i uwierzył. A wierzył głównie w to, co wypływało z całej nauki i co tak jaskrawie i z taką siłą wypowiada przypowieść o robotnikach w winnicy Pańskiej. Robotnicy uroili sobie, że ogród, gdzie im kazano pracować dla Pana, był ich własnością; że wszystko w ogrodzie zrobione było dla nich, że ich rzeczą jest tylko używać rozkoszy, zapominając o Panu i zabijając tych, co im przypominali Pana i ich względem Niego obowiązki.

— W tem cała treść — myślał, Żyłem ja i wszyscy żyjemy w nierozumnem przekonaniu, żeśmy sami panami naszego życia, że ono nam dane zostało, abyśmy tego żywota używali dla siebie. A to właśnie jest fałszywe. Jeżeliśmy tu przysłani, to przecież z czyjejs woli i dla jakiegoś celu. A my zdecydowaliśmy, że jakgdyby urodziliśmy się i żyjemy jedynie dla własnej uciechy, i jasne jest, że nam jest źle, jak źle jest robotnikowi, niespełniającemu woli Pana. Wola Pana wyrażona jest w Nauce Chrystusa. Niechaj tylko ludzie spełnią tę naukę, a na ziemi zapanuje Królestwo Boże i ludzie dostąpią najwyższego szczęścia.

„Szukajcie Królestwa Bożego i prawdy Bożej, a resztę otrzymacie“.

My szukamy tej reszty, ale jej nie znajdujemy i nie budujemy Królestwa Bożego, ale je burzymy.

— I oto cel żywota mojego... Skończyło się jedno życie, zaczęło się drugie. A jam myślał, że nie mam co robić na świecie.

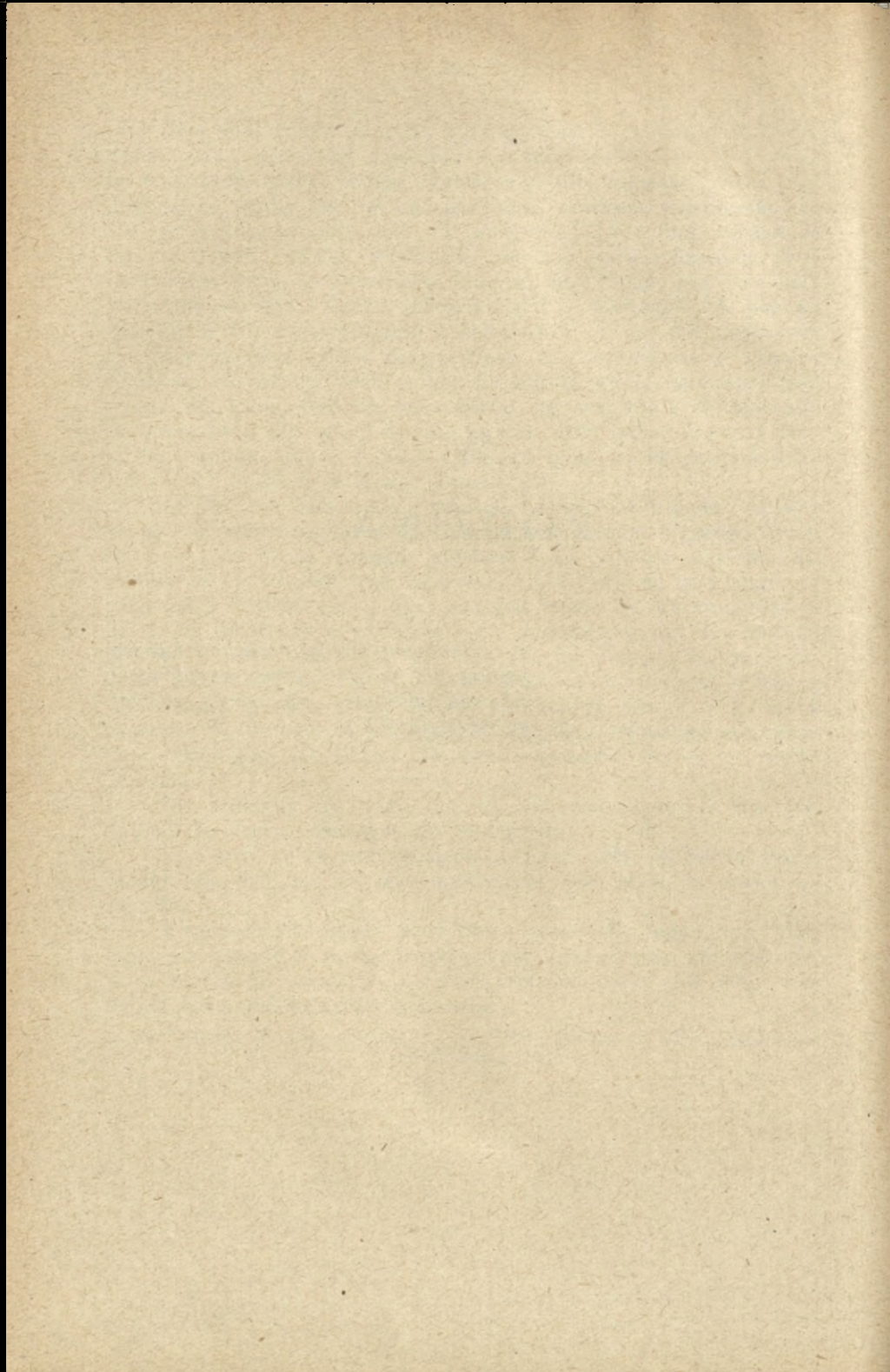
I zaczęło się od tej nocy nowe życie dla niego, nie dlatego, że wszedł w nową, istotną treść tego życia, ale dlatego, że w tej chwili wszystko, co go spotkało, miało dla niego zupełnie inne, niż dawniej, znaczenie.

(L. N. Tołstoj: „Zmartwychwstanie“, tom 3-ci. Warszawa 1900 r. Biblioteka Dzieł Wyborowych).

IV

RODZINA

*„Duchowy wzrost przychodzi przez
pomaganie innym, przez współczucie
i współdziałanie, nie przez rozwój
w oddzielności”.*



PIEŚŃ O DOMU

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łyzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż....

M. Konopnicka.

W DOMU RODZINNYM

Wyobraźcie sobie rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą—w tej rodzinie, lat temu dwadzieścia sześć, urodziło się dziecię płci męskiej, dziewiąte z kolei, a rzecz dziwna, przyjęte taką radością, takim błogosławieństwem, jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku. Tem dziecięciem ja byłem. Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie, ani dobiegającego swej młodości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczął dla niego chwile uskapionych pieśczęt, ani matki, że ją noce bezsenne i nowe prace hodowania czekają, ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że na obmyślenie zawodu sił i sposobu już nie starczy. Dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było.

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. Jeden z braci upłócił zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie w poduszce do niego przyniesiono, przeżegnał mnie krzyżem świętym: „Oto człowiek świata się narodził”—rzekł tylko i z uśmiechem na ustach poszedł do żony swojej i pocałował ją w rękę.

Takie były moje narodziny. Przez długi czas nie miałem imienia, narady odbywały się długie, jak by mnie nazwać miano. Teresa, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadano historję synów Jakóbowych, tak się rozmiłowała w małym Benjaminsku, że raz, gdy mówiono wieczorem o mającym nastąpić chrzcie moim, uroczyście wzniosła swój paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem: — „Ty, maleńki, będziesz Benjaminskiem“.

W tej chwili nadano mi imię Benjamina. ...Każdy mnie kochał, ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je, pije; przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku, lecz nie dosyć na tem: ci wszyscy moi kochali jeszcze coś na swoją własność szczególną, kochali—nie tylko lubili.

W naszej rodzinie miłość—to szczęście życia, ta najpiękniejsza prawda Boża szła z podniesionem dumnie czołem wśród uznania serc życzliwie przyjaznych.....

.....Siostra Bronisława jedno tylko słowo rzuciła w życie moje.

— Benjaminsie—zapytała raz, gdyśmy w wieczór letni pod lipą siedzieli—czy czujesz co w twojej własnej piersi?

— Ja czuję—odpowiedziałem po chwili—że tak mi dobrze, że chciałbym was wszystkich jednym objęciem uściskać. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czym to jest, siostrzyczko!

— A ja ci powiem,—to wszystko piękne, jasne, szczęśliwe, to wszystko jest Bóg...

I zachowałem słowa Bronisławy na całe życie moje i przetrzymałem wiele ksiąg i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze, lecz na słowach siostry rozwijał się duch mój i w każdej ważnej chwili wracały mi one na pamięć. Byłem zmartwiony, bolejący, lecz choć nie czułem, widziałem zawsze, że wszystko piękne, i jasne i szczęśliwe—to Bóg, że miłość—to Bóg!

....Gdy wszedł na dziedziniec, psy szczekać poczęły, a jednak nie ukąsił mnie żaden. Za kłamkę od pokoju ująć nie śmiałem, byłbym się chciał pod ziemię schować. Nagle drzwi się uchyliły i mała dziewczynka stanęła przede mną z dużym kawałem chleba i z groszem jałmużny. Wziąłem chleb, wziąłem grosz, pocałowałem jej rączkę i szedłem za nią.

— Czego chcesz jeszcze dziadku? — spytała.

— Chcę podziękować tym, co mnie wsparli—odpowiedziałem i na progu stanąłem.

Stół był nakryty, siano podesłane, w jednym końcu siedziała kobieta blada z białymi jak srebro włosami, w czarnej sukni—po obu jej stronach młode żony, młodzi mężowie, dorastające panienki i chłopcy—i opłatki połamane i wszystko tak podobnie, jak przed laty....

— Matko! Matko moja! — krzyknąłem.

Kobieta w czarnej sukni zerwała się, ale sił jej zabrakło i na krzesło padła. Między obecnymi gwar powstał, lecz ja tego wszystkiego nie pamiętam już — wspomnienia wracają mi od tej chwili dopiero, gdy się przytulał łkający do kolan czarno ubranej kobiety i gdy na czole jej łzę gorącą uczułem. To była łza mojej matki! ja miałem jeszcze matkę!

— A gdzie ojciec? — wyjąknąłem nieśmiało.

— Tam, gdzie Józef i gdzie Karol — odpowiedziała cichym ale serce rozdzierającym od niemej boleści głosem.

Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła — prawda, nie było ich.

— Oni chrześcijańską śmiercią pomarli — dodała matka.

— A nie nad ich zgonem wypłynęły najbardziej gorzkie łzy nasze — odezwała się Bronisława, i to był pierwszy, jedyny wyrzut, który mię spotkał.

Nic nie mówiłem, nikt mię nie badał. Ludwika otoczyła mię całą troskliwością serca swojego, a przecież ten wieczór powinienby był uzupełnić miarę cierpień i pokuty mojej. Znaleźć się tak obcym wśród najukochańszych niegdyś, tak potępionym wśród czystych aniołów, tak obżałowanym litością wśród tych, co niegdyś z dumą i pociechą na pierwsze twe kroki spoglądali, tych, co wróżyli cnoty sercu twemu, chwałę zdolnościom szczęście losowi twemu — znaleźć się takim i potem żyć jeszcze — och! to jakieś żelaznej siły na to trzeba!

Matka moja była już bardzo zmieniona i słaba. W jej oczach zapadłych, na jej licach wychudłych i zmarszczkami okrytych czytałem każdy wyraz potępienia mojego, każdy wyraz przekleństwa, którego jej usta nie wyrzekły nigdy, lecz który niemniej zgryzotą serce moje zdzierał.

— Ile to lat będzie, jak Cyprjan tak samo w wigilię Bożego Narodzenia wrócił? — spytałem pocichu Tereni.

— Sześć lat, Benjaminku.

Na tę prostą odpowiedź łzy gradem mi się po twarzy stoczyły. Przez te sześć lat nikt mi nie powiedział „Benjaminku” tak, jak Terenia w tej chwili mówiła. Wybiegłem do ciemnego pokoju, rzuciłem się na ową ławeczkę, przy której Julki piosnek słuchałem i lżej mi było, gdyż zapłakać mogłem. Oni dobrze zrozumieli mnie wtedy: nikt nie poszedł za mną — dopiero, gdy na noc rozchodzili się wszyscy, przyszła matka i wzięła za rękę.

— Zaśnij spokojny — rzekła — nie pomnij złego, Benjaminku, wyrzuc z serca przeszłość całą — tylko nie wyrzucaj tej miłości, którą nas kochałeś dawniej. Z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie. Oh! choć ja stara, zobaczysz, jak wyhoduję nową młodość twoją. Serce matki zna cudowne tajemnice odżywiania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia. Zobaczysz, że nam dobrze będzie... I drżącą ręką krzyż święty nad głową moją w powietrzu nakreśliła.

Och! ja wierzyłem tym obietnicom, ja czułem, że ciepło jej serca mnie wskrzesić może; zsunąłem się do nóg jej i oskarżyłem o wszystkie moje występki — o jej nieszczęścia wszystkie. Matka słuchała mię z głębokim smutkiem, odpuściła mi z litością Bożą... Nazajutrz zasłała, a ja przez kilka tygodni krokiem od jej łóżka się nie ruszyłem. Gdy matka spojrzała na mnie, gdy uśmiech spokoju wszystkie rysy jej rozpromienił — znów mi było tak błogo i lekko na sercu, jakby cichy anioł zstąpił do niego i mówił: — „Dobrześ zrobił, żeś wrócił, matka twoja nie umrze z myślą troski i obawy“...

(Narcyza-Żmichowska: „Poganka“. Pisma, t. II-gi, Warszawa. 1885 r. Wyd. staraniem „Bluszczu“).

OJCIEC

W pewnej chwili wszedł do pokoju Olbromski. Sługa wstał i zwrócił się twarzą do dziedzica. Olbromski dał mu znak, żeby mówić pocichu, wskazując postanie gościa.

— Wyjeżdżam w dalekie strony.

Michcik podniósł brwi i bez zdumienia, lecz ciekawie patrzył w oczy pana. Blask ognia padał na jego twarz spokojną i rozumną.

— Zajmiesz się tu sam wszystkim. Chłopca mi dzisiaj odwieziesz do szkół, oddasz w ręce tej pani, gdzie był przed świętami. Będiesz na niego baczył. Oka nie spuścisz. Gdybym zaś bardzo długo nie wracał...

— Jakoż długo?.. warknął Michcik.

— Może tak być, że i bardzo długo! — zaperzył się szlachcic.

Stary żołnierz pokivał głową.

— Twoja rzecz — ciągnął Olbromski — baczyć na chłopca. Gdybym, mówię, nad miarę długo, co już własnym rozumem zmiarkujesz, nie wracał, zaczniesz pokolei sprzedawać jałówki co młodsze, a za stancję chłopca będziesz pilnie na termin płacił, wszystko porządnie i za kwitami. Bieliznę mu co tydzień posyłać czystą przez umyślnego i co się da z pieczywa, wędliny, powideł, orzechów... Będiesz sam wiedział, co dać i ile. Gdyby zaś, — słyszysz? — i owo zgoła nie starczyło gotówki, wyprowadzisz parę cugową, gniadego wałacha na jarmark i sprzedasz sam, własnem rozumieniem. A przecie mi baczyć, żeby takich koni nie zmarnować!

Michcik, pilnie panu patrząc w oczy, przybladł. Wyprostował się jeszcze bardziej.

— Pieniądze schowasz w trzos, ten, com go na Moskwie miał. Ten ci zaś już dziś darowuję. Wprost z jarmarku pojedziesz do miasta. Żeby cię nie napadli, to króćcie obie wziąć za pas, w sekrecie, nie pokazać po sobie, że się broń ma. Za wszystko płacić gotowym pieniądzem. Ubranie co tydzień opatrzysz mu własnem okiem: płaszcz wyczyścić, a jeśli dziury, zaraz naprawić, jeśli na nic — szyć z nowego sukna, za gotowy pieniądz. Napominać mem imieniem, żeby się dobrze uczył, sprawował. Pilnuj, doradź, naganiaj. Gdyby zaś, czego Boże broń, zachorował, tam przy nim dzień i noc masz spać wpodłe, a pielęgnować! Jeżeli by kto krzywdził, srogo bronić. Żołnierską w nim duszę krzepić, twardość hartować, po naszemu... Sam wiesz...

...Niepostrzeżenie, niby na skrzydłach jaskółki, przeleciał czas południowy. Zaraz po obiedzie zajechały przed ganek pierwsze sanie. Powoził Michcik, który miał odwieźć panicza do Kielc. Rafał Olbromski sam pakował bieliznę syna w kuferek

drewniany. Układał wszystko pieczołowicie, po stokroć oglądając rzecz każdą. Dawał rady, nauki, napomnienia, rzucał krótkie pociechy i wesołe żarty, za którymi pełno było gorących łez...

Wyniesiono kuferek i umieszczono na kozle obok Michcika. Stary sługa siedział nieruchomo, wyprostowany w kozuchu i w baraniej czapce, przypominającej grenadjerską bermycę. Hub po sekretnych płaczach zdobył się na odwagę i spokój. Uśmiechał się nawet, gdy go sadowiono w siedzeniu i gdy ojciec otulał mu nogi kozuchem. Olbromski raz jeszcze przycisnął dziecko do serca — i kazał ruszyć. Dzwonek, zawieszony u dyszla, zadzwieczał, i sanie zjechały z pochyłości wzgórza. Rafał stał w ganku rozmawiając z gościem. Gdy Michcik zjechał na brzeg rzeki, Olbromski długo i głośno rozwodził się nad tem, że Michcik doskonale jeździ końmi, że jest to bądź co bądź wypróbowany sługa... Zdawałoby się, że ktoś podsuwa wątpliwości co do zalet starego sługi, a on musi koniecznie udowodnić, że tak nie jest, jak mówią. Za rzeką sanie szły wolno pod górę.

Hub wstał w sankach, obrócił twarz w stronę domu, kłaniał się czapką nisko, długo, wielokrotnie. Oczy Olbromskiego zaczerwieniły się, twarz drgnęła...

Patrzył w milczeniu, szarpiąc wąsy, jak sanki wydobyły się na szerszą drogę i kryjąc się za chatami wioski pomykały wdal... Dzwonek słychać było coraz rzadziej i dalej... Ucichło... Rafał patrzył jeszcze na koniec wsi, ale już nic nie ujrzał...

(St. Żeromski: „Wszystko i Nic”. Fragment. Warszawa. 1923 r. Wydawnictwo J. Morkowicza).

MATKA

— Bójcie się Boga, siedem mil na taki mróz!

— Nic mi się nie stanie, radość będzie mnie gnać, a tęsknica popychać. — Nie lecę to do własnych dzieci? Już się obraca na trzeci miesiąc, jakem ich nie widziała. A może one tam z głodu mrą? Biedaki, ani to dobrze odziane, ani na noc okryte, księża gnają do nauki aż strach.

— Bo i pocóż dwóch pchać do szkoły? Za ciężko na was odrazu dwóch — odezwiała się Rakoczyna.

— Zapracuję się, ręce pourabiam, nogi pouchodzę, a dam naukę obydwom.

— A niechże Bóg broni, abyśmy wam radzili chłopców z konwiktu odbierać. Tyło się to bez to mówi, czy uradzicie na dwóch.—Póki starczy—odpowiadała.—Nie jestem jeszcze taka stara, mam dzięki Bogu zdrowie i trzeźwość, to jakoś poradzę. Czuć było w głosie Porębskiej wielką wiarę, i kobiety chórem powiedziały:

— Błogosławimy!

Najbogatsza Rakoczyna dodała: — i co będziemy mogli, pomożemy.

— ...Gospodyni pierwsza położyła łyżkę, składając w płachtę uzbierane podarki.

— Już? — spytał mąż.

— Dolecę na noc do Limanowej. Jutro snadniej mi będzie dopaść przed nocą do klasztoru.

Przykucnęła, chwytając dwa rogi płachty, w której były złożone wiktuały.

— Zaczekaj! — zawołał Szymon — odprowadzę cię na wieś, a potem z poza figury skręcę do lasu.

— Widzisz i ty kochasz dzieci — zawołała.

— Cóż to nie moje?

Schodzili powoli na gościniec.

— A dowiedz się, jak się przecie uczą i sprawują.

— No, no, o naukę bądź spokojny, wiedzą, z jaką biedą rodzice się szamocą, żeby mieli co do gęby włożyć. Antoś ma głowę i rozum, a Władek jeszcze dziecko nikłe, biednuśkie, ale przecie nie jest ostatni i pewno już czyta i pisze.

... Z tobołkiem na plecach mknęła Magda długim gościńcem. Tęsknota za dziećmi popychała ją, radość z uzyskanych od męża dwóch sztuk srebra na buty dla Władka rozsadzała jej serce. Radaby przed nocą zalecieć do Limanowej, aby przy dziennem świetle obejrzyć i stargować bucięta. Zmęczona szła, przyspieszając kroku. Ciepło jej się robiło, wiatr spychał ją z drogi, szła wciąż... Przecież szła do swoich dzieci. Im więcej słabła tem więcej brała ją zawziętość. Umysł jej, wyćwiczony na żywotach świętych, wypełniał ją wiarą w pomoc Boską.

Zdaleka, niewyraźnie zamajaczyła błada łuna miasteczka.

— Limanowa! — zawołała. Usiadła na usypanych kamieniach i zsunęła zawiniątko z ramion. Opanowała ją rozkosz wypoczynku.

Plecami oparła się o zawiniątko, placek wypadł jej z rąk, zasnęła radośnie i twardo.

— Matko! — Huknęło jej nad uszami.

Zerwała się na równe nogi.

— Spać na taki mróz, życie można stracić.

Chłop w baraniej czapce i długim kozuchu podał jej rękę i pociągnął...

... Nazajutrz jutrenka zastała ją już na gościńcu. Skrzepiona snem szła raźnie.

Nagle zaczęło robić się coraz ciemniej i coraz większy śnieg padał.

Szła wciąż, ale głowa jej się już zawracała, i ciężko było łapać w płuca powietrze.

— Boże! czyż to już dzieci moich nie zobaczę? Co uszła paręset kroków, odpoczywała na kamieniach, a oczy wytrzeszczała, aby sen nie przyszedł na tak wielkim mrozie.

Nagle drgnęła na całem ciełe.

Chłop zatrzymał tuż przy niej czarnego konika i małe sianeczki. Patrzała na nie miłosiernie i łakomie.

Zgodził się za kilkadziesiąt groszy podwieźć ją do najbliższej karczmy...

... Wieże! — zawołał chłop.

Magda drgnęła radośnie, coś ją chwyciło za gardło.

— Drży wam serce, co?

— Matczyne — odpowiedziała.

Na wzgórzu zajaśniała biała łuna wioski i zabudowań klasztornych.

— Nie dziękujecie Bogu, żeście mnie w drodze zdybali?

— Mnie się zdaje, że Pan Bóg wyprawił was z domu, żebyście mnie zaratowali.

Chłop zatrzymał konia przed bramą klasztorną. Drogą biegł jakiś wyrostek. Zatrzymała go.

— Dziecko, powiedzże mi, gdzie tu mieszkają bracia Porębscy, co uczą się w szkole?

— Znam ich, my się tu wszyscy znamy. Widzicie tę trzecią chałupę, tam idźcie.

Magda przyspieszyła kroku, wpatrując się w chatę jak w zjawisko.

Weszła do sionki, cicho otworzyła drzwi. Przy zapalonej lampie siedział nad książką starszy. Władek obok niego leżał na ławce i spał.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła rzewnie hamując łzy.

— Mama! — zawołał Antoś i zerwał się. — Matula nasza! — rzucił się ku niej.

Magda siadła na ławce, oparła zawiniątko o stół szepcząc: — zaraz, zaraz — odwiązywała gorączkowo płachtę.

— A teraz mnie macie! — rozwarła ramiona.

Antoś przyprowadził płaczącego Władzia.

— Matka przyszła, a ty, dziecko, płaczesz?

— Tak, ino z radości — szepnął Władek — objął za szyję i tulił.

Magda objęła chłopca i płakała.

— Jakże wam tu? mówcie przecie — prosiła.

— Dobrze — odparł Antoś. — Księża dobrzy i nauczyciel

dobry, ino, że Władek butów niema do szkoły, pożyczą mu swoich gospodyni.

— Przyniosłam ci nowe, na twoją nogę, jak ulał...

— Nowe! — zawołał Władek i rzucił się do zawiniątka...

... Nazajutrz Magda odprowadziła dzieci do szkoły, poszła do przeora i dziękowała za wszystko dobre, jakie na jej dzieci spływało.

— Starszy dobrze się uczy — rzekł przeor — jeśli będzie pierwszy, klasztor weźmie go na swój wikt i da stancję w klasztorze.

— Dwóch mam — odpowiedziała Magda — a że się dzieci kochają, młodszy urwałby się bez starszego.

— No, zobaczymy — rzekł przeor — rok ten będzie próbą.

— Rok ten muszę przebiedować i przebieduję, choć chłopców trzymam w szkole tem, co sobie od ust odejmę — potwórzyła z mocą i energją.

Przeor myślał chwilę.

— Siadźcie — rzekł raptownie i wyszedł.

Magda wsparła się o ławkę, a dobre myśli wciskały się jej do serca.

— Macie miejsce dla chłopców i wikt klasztorny — odezwał się wesoło przeor wracając. — Zostaną pod opieką księdza Onufrego. Celka mała, ale czysta i ciepła.

— Dobrze wam z oczu patrzy — mówił dalej przeor — strasznie musicie kochać dzieci, miłość rozbraja.

Porębska się rozplakała.

Wychodziła z klasztoru pijana wzruszeniem.

— Skąd tyle łask na mnie spada niespodzianie? — Myśli jej szarpała w strzępy radość, nie miała sił ich gromadzić.

... Zerwała się na pianie kogutów, płachtę przewiązała przez plecy, nad dziećmi zrobiła znak krzyża świętego, obuła się, raz jeszcze spojrzała na synów i wyszła pocichu.

Mrozik skrzypiał pod nogami; otulona płachtą, wypoczęta, szła śmiało, ufna w miłosierdzie Boskie.

Grozy ciszy i wyiskrzonego od gwiazd nieba nie bała się, tak jej serce grało radością wielką. I samotności się nie bała, była sama z myślami swemi wobec Boga. On ją prowadził i słuchał. Marząc, na jakich to ludzi chłopcy wyrosną, przyspieszała przez las kroku....

(Sewer: „Matka“. Warszawa, Bibl. Dzieł Wybor.).

DO MATKI

... Lecz to już przeszło... widma poznikały.

Do Ciebie, Matko moja, twarz obróć;

Do Ciebie znowu, tak, jak anioł biały,

Z obłądnych krajów położyć się wróć

U Twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,

Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę

Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,

Jak liść, co we śnie mi upadł na włosy...

Odbiegłem Ciebie w szaleństwa godzinie;

Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy

Patrzałem na Twój cichy dom w dolinie,

Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —

Myśląc, że myślisz o mnie, o Twym synie,

Który nieszczęścia Bogu wiernie służy,

Lecz bez nadziei, łzami Twemi żywy,

Jak Chrystusowe w Ogroju oliwy.

Z błogosławieństwa Twego miałem blaski

Gwiazdom podobne i cień w puszczech Gazy...

Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski

Rył imię Twoje tam, gdzie same głązy,

I słyhać tylko fal libijskich wrzaski

Eschyłowskiemi budzone wyrazy,

Echa słyssały Twoje święte imię

I słyssał je ten laurów las, co drzémie.

Ponad potokiem Elektry Tyś była

Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości

Dolata płaczu głos, o moja miła —

Wszędzie, gdzie w polach się bieleją kości

I woła głosem rycerskim mogiła

O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości

Umarłym i chęć śmierci duszą pije;

Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos Twemu głosowi

Słyssałem—anioł życia zadrżał we mnie!

Aniołowie mi Ciebie nadpalmowi

Pokazywali świecącą przyjemnie

W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,

I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,

Chcąc ręką dotknąć o Twe serce krwawe

I ból Twój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłośne Twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze—kiedy rym ustanie—
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje Twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał

(Juljusz Słowacki: „Beniowski”. Pisma pośmiertne. T. II, wyd. A. Małeckiego, Lwów, 1885 r. Nakład księgarni Gubrynowicza).

BRAT I SIOSTRA

...Istota obojga dzieci wytężona była w jednym kierunku: powodzenie Oliviera. Antonina podejmowała wszystkie obowiązki, wszystkie upokorzenia: była nauczycielką w domach, gdzie ją traktowano, jak sługę, musiała towarzyszyć uczniom na przechadzce jak bona. Miłość jej dla brata znajdowała jednak w tych moralnych cierpieniach i trudzie pewną rozkosz. Wracała do domu przemęczona, aby zająć się Oliwierem, który dzień cały spędzał w liceum, jako półinternista i powracał do domu dopiero wieczorem. Gotowała wówczas obiad—obiad skromny na kuchence gazowej, albo maszynie spirytusowej. Oliwier nigdy nie był głodny, trzeba go było zmuszać do jedzenia, albo wymyślać różne potrawy, któreby mu smakowały, a biedna Antonina nie była tęgą kucharką. Zdarzało się nieraz, że zadawszy sobie sporo pracy posłyszała z przykrością, że jedzenie trudno przełknąć.

Po wielu wreszcie rozpaczach nad kuchenką, doszła jednak do pewnej wprawy. Po obiedzie myła naczynia, a potem czuwała po macierzyńsku nad pracą brata. Wysłuchiwała lekcji, odczytywała zadania i pomagała mu z całą ogłędnością, by nie urazić tej drażliwej istoty.

Wieczory spędzali przy jednym stole, który im służył zarazem do jedzenia i pracy. On odrabiał swoje zadania, ona szyła. Gdy się położył, naprawiała jego ubrania.

Mimo trudności, z jakimi przyszło im walczyć, postanowili oboje obrócić pieniądze, które zdołają zaoszczędzić na zaspokojenie długu, który matka zaciągnęła u Poyetów. Duma dwojga dzieci nie mogła ścierpieć myśli, że matka pozostałaby cokolwiek dłużną ludziom, którymi gardzili. Wyrzekali się niejednego, oszczędzali na najmniejszych rozrywkach, na ubraniu, pożywieniu, aby zebrać dwieście franków.

Wreszcie po trzech latach wyrzekania się zdołali zebrać potrzebną sumkę, co im wielką sprawiało radość.

Zwolniona z tej nękającej myśli Antonina nie zaprzestała mimo to życia pełnego zaparcia się; czyniła to teraz dla brata i więcej z tem przed nim się kryła, oszczędzała na swoim ubraniu, aby starczyło na jego rozrywki, aby miała mu czem umilić i upiększyć życie, aby mógł od czasu do czasu pójść na koncert, co stanowiło dla niego największe szczęście. Nie chciał coprawda iść bez niej, ale ona potrafiła znaleźć zawsze jakiś powód, aby się od pójścia wykręcić; utrzymywała, że jest za- nadto zmęczona, lub, że wyjść nie ma ochoty. Nie dawał się oszukiwać temu kłamstwu płynącemu z miłości, ale egoizm dziecka brał górę i szedł do teatru; gdy jednak się tam znalazł, opadały go wyrzuty i dręczyły przez całe przedstawienie, psując całkowicie przyjemność. Jednej niedzieli, gdy go wysłała na koncert do Châtelet, wrócił po pół godziny, mówiąc, że na moście St. Michel opuściła go całkiem ochota i nie mógł iść dalej. Twierdził, że koncert przestał go interesować, a rozrywka bez niej stawała mu się przykrością.

Nie mógł nic Antoninie powiedzieć nadto słodsze, choć przykro jej było, że brat się dla niej pozbawiał rozrywki. Oliwier jednak tego nie żałował: twarz siostry, gdy wchodził, rozjaśnieniem i radością, którą napróżno usiłowała ukryć, więcej mu dała szczęścia, jak wszystkie najpiękniejsze muzyki na świecie. Niedzielne to popołudnie spędzili razem, siedząc naprzeciw siebie przy oknie—on z książką w ręku, ona z robotą, czas jednak zeszedł im na rozmowie o drobiazgach zupełnie obojętnych i nigdy niedziela nie upłynęła im równie miło. Postanowili też dla żadnych koncertów się nie rozstawać, gdyż jedno bez drugiego nie umiało używać przyjemności.

... Jeszcze jeden rok! Dzieci pracowały w największem napięciu. Trzeba było przedewszystkiem żyć i szukać nowych źródeł zarobku. Antonina przyjęła posadę nauczycielki w Niemczech. Środka tego chwyciła się w ostateczności. Nie miała innego sposobu narazie, a czekać nie mogła. Przez całe sześć lat, ani na jeden dzień nie rozstawała się z bratem, nie wyobrażała więc sobie jak żyć potrafi, nie widząc i nie słysząc go codzień. Oliwier nie mógł o tem myśleć bez przerażenia; ale nie śmiał się odezwać, gdyż sam był powodem tej bolesnej konieczności. Ostatnie dni przebyli razem w niemym bólu, uciekając przed sobą w chwilach zbyt gwałtownego cierpienia. Antonina wypatrywała jakiejś rady w oczach Oliwiera. Gdyby jej był powiedział:

— Zostań!—nie byłaby pojechała, choć czuła, że wyjechać

powinna. Do ostatniej nawet chwili gotowa była jeszcze zmienić postanowienie; na wykonanie jego nie czuła bowiem już sił w sobie. Ale on opanował się tak, jak i ona. Musiał jej obiecać, że codzień będzie pisywał, że nic przed nią nie ukryje i że, gdyby zasłała potrzeba, zawezwie ją natychmiast.

Odjechała. Gdy Oliwier z ciężkiem sercem wstępował do sypialni liceum, pociąg unosił zboląłą i wyczerpaną Antoninę. Z otwartemi w czarną noc oczyma czuli oboje, jak z każdą chwilą rośnie dzieląca ich przestrzeń i cicho się nawoływali.

Pisywali codziennie do siebie listy sążniste. Oliwier sprawiał się dzielnie, usiłował nie zdradzać się ze swoim strapieniem, ale ginął z tęsknoty. Życie jego było tak nierozzerwalnie złączone z życiem siostry, że, gdy przyszło rozstanie, miał uczucie, że brakło mu drugiej połowy własnej istoty. Nie umiał użyć przechadzki, zagrać na fortepianie, ani pracować; nie chciało mu się zabrać do czegokolwiek, ani nawet marzyć, chyba tylko o niej jednej. Listy zaś Oliwiera były dla Antosi jedynem tchnieniem ożywczem, gdy nie nadchodziły o zwykłej godzinie rano, czuła się nieszczęśliwą. Raz oddano jej list dopiero na drugi dzień, dostała wskutek tego gorączki. Oliwier radził się siostry tak w pracach swych jak i zwątpieniach. Ona doradzała mu, podtrzymywała i krzepiła siły.

W listach brata przejawiał się coraz większy upadek ducha. W chwili silnego przygnębienia napisał:—„Wracaj! wracaj!”

...Wróciła w samą porę, bo właśnie zachorował... Jakże byli oboje zmienieni, jak smutnie wyglądali! Ale z chwilą, gdy się odnaleźli, wszystko inne było im obojętne! Świat stawał się jasny i promienny, nawet szpital i dzień ponury; połączyli się nareszcie, by się już nigdy nie rozłączyć. Zanim cokolwiek mogła powiedzieć, musiała mu przyrzec, że już nie odjedzie. Nie potrzebował nawet tego od niej wymuszać—wiedziała, że już nigdy go nie opuści, gdyż zanadto byli oboje nieszczęśliwi w rozłące; matka ich miała słuszość, że wszystko lepsze od rozstania, nawet nędza, nawet śmierć, byle tylko wspólna.

.....Egzamina ustne rozpoczęły się, Oliwier błagał Antosię, aby nie była przy nich obecną. Czekala więc pod drzwiami, drżąc jeszcze bardziej od niego.

Nadszedł wreszcie dzień ostatecznego wyniku. W podwórzu Sorbony podawano na afiszach nazwiska kandydatów przyjętych; Antonina nie chciała puścić Oliwiera samego. Gdy dochodzili do Sorbony, kolana się pod niemi ugięły. Antonina zawsze tak dzielna, powstrzymywała brata, mówiąc: „Nie chodź tak prędko“.

Nie znaleźli odrazu właściwej listy. Przeczytali kilka, na których nazwisko Jeannin nie było podane. Gdy je wreszcie napotkali, nie zrozumieli odrazu — odczytywali je kilkakrotnie, aby móc uwierzyć. Wreszcie gdy się już upewnili o prawdzie, że Jeannin to on sam, że Jeannin jest przyjęty, nie powiedzieli ni słowa, tylko pognali do domu; biegli nie wiedząc prawie, co się wkoło nich dzieje; omal, że nie zostali przejechani, gdy przechodzili przez bulwar. Wpadłszy do mieszkania rzucili się sobie w objęcia. Antonina ujęła brata za rękę i poprowadziła przed fotografie rodziców, które miała przy łóżku w rogu pokoju, jakby w jakiejś świątnicy, i ukląkszy przed nimi modlili się i cicho płakali.

Oliwierowi zdawało się, że nareszcie pierwszy raz oddycha. Był uratowany, ona go uratowała i dopełniła swego zadania; a on stał się godny nadziei, pokładanych w nim przez siostrę.....

(Romain Rolland: „Jan Krzysztof w Paryżu“. VI. Antonina. Nakł. księg. Czerneckiego. Warszawa—Kraków).

V

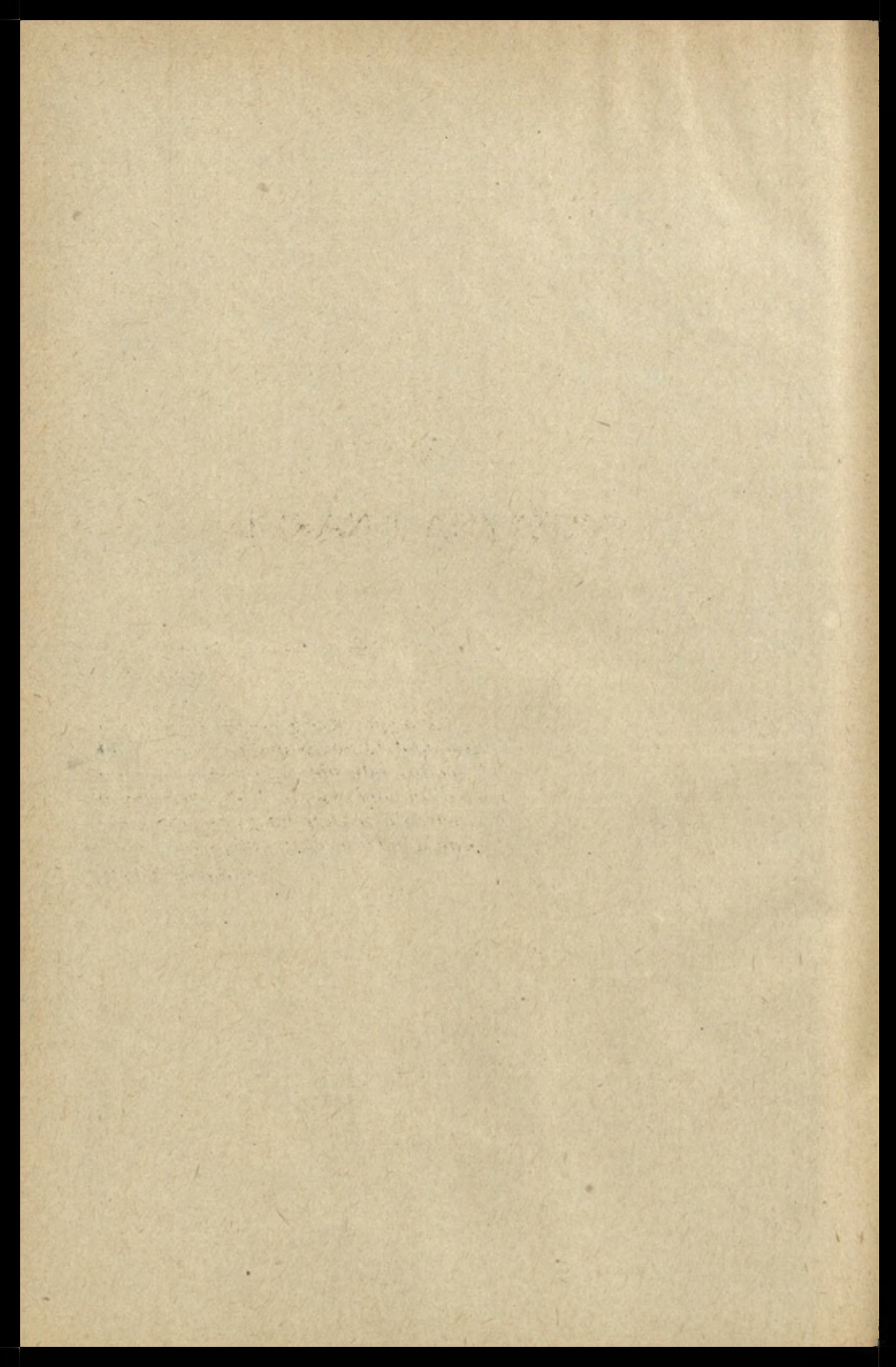
OJCZYZNA I NARÓD

„Ja i Ojczyzna — to jedno”.

A. Mickiewicz.

„Potęga, którą stwarza naród, nie jest widzialna. Kopalnie i lasy, łąki i wodospady nie czynią jeszcze narodu wielkim ani bogatym. Wielkie narody stwarzają wielcy ludzie, a zalety, które czynią ludzi wielkimi, nie są widoczne”.

Symon Abbott.



OJCZYŻNA

Wielki przestwór, blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, leżący w niżowym Europy lądzie, zajmuje Wisły dorzecze.

Ponad brzegami jej dopływów ciągną się ziemie tłuste,—proszowskie i kujawskie, urodzajne—lubelskie i sandomierskie, ziemie chude—kieleckie i radomskie, płone—mazowieckie i piotrkowskie, leżą błota i wydmy piasków bezpłodnych.

Ponad brzegami jej dopływów orze i sieje, kosi i żnie jeden jedyny lud. Nad niemym głosem jej strumieni rozbrzmiewa żywy gwar mowy tej samej przez tysiąc lat, tej samej ponad głównym ich nurtem i nad wszystkimi źródłami, tej samej w górach Śląska, w skałach Tatr, nad włóknami, które sięgają do źródeł Odry, Dniepru i Niemna, tej samej w dolinach i na płaszczyznach, tej samej nad Nogatem i nad Wisłą Śmiałą—i ponad morzem. Bo i tam, daleko w morzu, o cztery wiorsty od paszczy głównego ujścia, gdzie wynurzają się wciąż nowe wyspy, z naszych przyniesione małopolskich i mazowieckich brzegów, do których to wysp zawijają okręty,—wzdłuż martwych łożysk, w piaszczystych mieliznach i nowych bystrzyn, wyoranych w ziemi, ten, kto splata faszyny, kto przerzuca namuł, tapla się w błocie i tworzy groble urodzajnej Żułów krainy, kto najcięższe z miejsca na miejsce przenosi,—naszą mówi mową.

Świadectwa i pomniki pracy tego ludu leżą przed oczyma świata, stoją rozsypane, jak długa i szeroka ta ziemia.

Naród polski nie prowadził nigdy wojen zaborczych. Zaslaniał w ciągu wielu stuleci wolność i dobro Europy od barbarzyńców nawały.

Jeżeli szedł na wschód, to nie po dobro cudze, lecz po to, żeby ziemie niczyje, dzikie pola, w pustynie zamienione raz wraz przez tatarskie zagony, wciąż na nowo zaorywać i zasiewać, uzbrajać w zamki, zakładać miasta i siola, wznosić kościoły i szkoły. Językiem cywilizacji na wschodzie był język polski.

Litwa przez Unę Horodelską dobrowolnie przyłączyła się do Polski. Stany pruskie wypowiedziały posłuszeństwo krzyżakom i szukały łączności z narodem polskim. Inflanty uczyniły to samo.

W wieku szesnastym, gdy ludy zamierały w systematach absolutyzmu, Polska każdego monarchę, wstępującego na tron, zobowiązywała do przysięgi, iż przestrzegać będzie praw narodu.

Polska uznawała wszystkie wyznania za równouprawnione, otwierała swe granice i gościnny dom dla zbiegów z całego świata, gdy w Europie płonęły stosy herezjarchów i wyznawców wolności sumienia. Polska była ogrójcem, gdzie wykwitły najbardziej czyste kwiaty miłości ojczyzny, najżywsza żądza pracy dla bliźnich, dla dalekiej przyszłości, dla szczęścia potomnych, pracy tak bezinteresownej i ofiarnej, iż stałą za nią nagrodą było więzienie, wygnanie i samotna śmierć.

Naród polski ma w swej przeszłości szarżę najbardziej zdumiewające, szalone a owocne: pod Kirchholmem, pod Kłuszy-nem, pod Wiedniem, pod Somosierrą, pod Dębem Wielkim.

W swym przyczajonym ogromie dzisiejszym ma on naj-głębszą ze wszystkich narodów świata tęsknotę do wielkiej szarży swego ducha. Nie pragnie on, ani nie pożąda niczyjej roli, ani domu, ani siły, ani szczęścia, ani sławy. Pragnie tylko pracy na swej własnej roli, szczęścia w swym własnym domu, rozwinięcia swej własnej siły i czci dla swojej sławy.

Jakież słowo zdoła wyrazić dzieje zakucia w dyby żywego narodu, dzieje klęski rozszarpania żywej, jedynej mowy i oby-czaju i dzieje stu kilkudziesięciu lat istnienia w niewoli?

Jak rzeka Wisła, był polski lud czyjś i niczyj, nieswój, bezpański, bezużyteczny. Lecz on wtedy stuletnie swe życie w przedziwny, jedyny na ziemi sposób stworzył dla siebie.

W jamie czasu ciemnej i długiej, jak więzienny loch, ciągnął i stwierdzał swe stuletnie bezkrólewie z ducha, wypleniał i zasiliał swą jedyną na ziemi, tajną, trój-jedyną, zawsze tę samą Rzeczpospolitą.

Wielkie dzieło budowniczych i pracowników istoty, zakresu, bezgranicza bytu narodu polskiego: — Chrobrego, Krzywoustego, Śmiałego, Kazimierza, Stefana, Żółkiewskiego, Kościuszki, — po tylu zamachach, ciosach i klęskach stoi niepokonane, rozrośnięte, i młode na nowo.

O Wisło, Wisło! Żywa pieśni ludu polskiego, nigdy nieprze-rwana wieści o tem, co się dokonało za dni, które leżą w zamierzch-łej dali czasów, — i wieczny pozwie ku przyszłości bez końca!

Bądź pozdrowiona, przenajdroższa ziemió nasza, którą czi-liśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód nie-woli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą! Bądź pozdrowiona w sercu pokolenia, co się jeszcze morduje i cierpi, — oraz w sercu przyszłych, szczęśliwych i radosnych!

(Stefan Żeromski: „Wisła.“ Warszawa. 1918 r. Tow. Wydawnicze).

P O L S K A

Panna Młoda

.....
Śniło mi się, że siedzę w karecie
i pytam się, bo mnie więżą przez lasy,
przez jakiesi murowane miasta —
„a gdzież mnie biesy wieziecie“ ?
A oni mówią: „do Polski“ —
A kaz tyz ta Polska, a kaz ta?
Pon wiedzą?

Poeta

Po całym świecie
możesz szukać Polski, panno młoda,
i nigdzie jej nie znajdziecie.

Panna Młoda

to może i szukać szkoda

Poeta

a jest jedna mała klatka, —
o niech tak Jagusia przymknie
rękę pod pierś,

Panna Młoda

to zakładka gorsetu,
zeszyta trochę przyciaśnie

Poeta

..... a tam puka?

Panna Młoda

i cóż za tako nauka?
Serce — ! — !

Poeta

A to Polska właśnie.

(Stanisław Wyspiański: „Wesele“. Akt. 3-ci, sc. Kraków. 1901. Skład
w księgarni Gebethnera).

ZIEMIA — MATKA

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny...
Niechaj nas dola, jak paździerz rozprasza,
Krzykniesz?—Wnet twoje zbiorą się drużyny.
Przez imię twoje i na twe wołanie,
Lud wierny tobie u boku ci stanie.

.

...Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
Czy upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my, — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bory — dźwignące pół świata!

.

...Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyje rozluźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie oto ci oddana
Podlaska dusza... podlaska sukmana.

.

Serдца się nasze pod stopy twe ścielą,
Polsko, jaką cię nie widały duchy!...
Ty wyjdiesz srebrna—łzów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż twoich rańtuchy...
Poła się twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
...Idziemy matko! Idziemy do ciebie!

TEŚKNOTA DO OJCZYZNY

„Nastała chwila wielkiego spokoju i ciszy... Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołyszany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozplywając się łagodnie po piaskach... Wśród spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!

„Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

„Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

„Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie”...

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu, w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

„... Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem...

„Tak nas powrócisz cudem na ojczyznę łono”...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczone włosy mieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsnęło, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną zato, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz „wracaj cudem” — więc się w nim serce rwało... Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie... — Starzec oparł głowę o skałę i przyknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy” zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem”. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „Pamiętasz?”. On pamięta! On widzi!”...

(Henryk Sienkiewicz: „Latarnik”).

POWRÓT DO OJCZYZNY

Nieprzejrzany tłum płynie falami głów, jak rzeka potężna, ujęta w wyniosłe brzegi kamienic. Zwolna, uroczyście sunie pochód, mieniający się barwami, las chorągwi i sztandarów, jak wielkie kwiaty, kołysze nad głowami, migoce broń żołnierska, złotem połyskują szaty kapłanów. Czerń uroczystych strojów odbija od szarozielonych mundurów, a wszystko skrzy, migota i rozkręca się, jak olbrzymi tęczobarwny wąż.

A wysoko nad potokiem głów płynie na purpurowym rydwanie trumna, sztandarem Polski okryta. Za trumną kroczy Głowa Państwa, wodzowie, rząd, przedstawiciele narodu, jego kwiat i szczyty—cała Rzeczpospolita idzie za tą trumną.

Pogrzeb to, czy triumfalny wjazd Zwycięzcy?

Płynie trumna, wyniesiona nad nurt ludzkiej rzeki, ale miast czarnych kirów żałoby, królewska purpura uderza wszędzie oczy. Twarze tłumu skupione, lecz rozradowane, oczy ze czcią i miłością spoglądają wwyż.

A dzwony biją i zanoszą się, lecz nie żalem, nie jękiem, majestatyczny hymn triumfu zwycięstwa gra w ich śpiżowych głosach, jak w dzień Pańskiego Zmartwychwstania.

... „I moje będzie za grobem zwycięstwo“.

A dzwony grają, dźwięki, jak garście śpiżowych kwiatów, rzucając na trumnę. Wodospad brzmień wali się z błękitów, wypełnia ulice, tysiącrotnie w echach i, wyrwawszy się za mury, gra na całą Polskę.

Dzwony kołyszą się, drżą i szaleją. Chwila, a zda się, że zerwą się ze swych wiekowych łożysk na wieżycach, runą na dół i potoczą się w wielkim korowodzie.

... Na Wawel pochód zmierza, na skalistą górę, na polskie Synaj, gdzie kamiennymi runami wieki zapisały tysiącletnie dzieje lechickiego plemienia, gdzie głaz każdy woła ogromnym głosem do potomnych, a nad grobowcami królów, wodzów i proroków widoma niemal śmiertelnemu oku, jak słońce, świeci nieśmiertelna, wiekuiście żywa Sława.

I kogóż to Rzeczpospolita w całym majestacie prowadzi dziś do królewskiej siedziby?

Czy to król wraca do swej ojcowizny po złotą koronę?

Czy hetmana wiodą ze zwycięskich bojów? Czy proroka, przed którym kłonią się głowy i drżą serca milionów?

Juljusz Słowacki!

Oh tak — król-ci to wraca i hetman zwycięski i wieszcz, chryzmem natchnienia i ogniem Ducha pomazany na swe posłannictwo.

Trumna, a w niej garstka jego prochu i kości, resztki śmiertelnego zewłoku człeczego.

Ale ten ci właśnie większy jest i potężniejszy, bo oto żywy idzie wśród żywych, bo Duch Jego, jak słup światła, stoi nad tą trumną, bo myśl Jego i słowo żyją w myślach milionów, nietylko dnia dzisiejszego, ale i tych, którzy się jeszcze nie narodzili. I radość świetlista przepełnia serca ludzkie, bo rozwiewa się lęk przed nicością, bo oto widzimy, jak z czarnego mroku grobów wytryska promień żywego i twórczego Światła, jesteśmy świadkami wielkiego zwycięstwa Ducha nad ciałem— Myśli nad materją.

Wraca do nas po latach, aby dać żywe świadectwo prawdziwości swych słów, swojej wierze w Odrodzenie, Zmartwychwstanie i Nieśmiertelność.... Idzie między Władysławy i Zygmuntę, idzie między Jany i Bolesławy, świadcząc o wielkości pracy i wielkości ducha Polski. Idzie, by przedłużyć swe życie, by być nietylko z naszym pokoleniem, lecz i z temi, które nadejdą...

Zabrzmiało 101 armatnich wystrzałów, kiedy trumna schodziła do krypty podwawelskiej na wieki...

Tu—kres. Imieniem Rzeczypospolitej Wódz Polski introniował Polskiego Poetę na Wawelu, „by królom był równy”¹⁾— honorem, splendorem i chwałą!

DLA OJCZYZNY

W serce ugodzony padł w pierwszym szeregu,
krwi ciemne korale zabłysły na śniegu,
gdy bój wrzał zacięty nagle śmiercią zżęty,
osunął się martwy w śnieg biały.

I leżał wśród walki i wiru spokojny—
ponad nim wciąż pędził pocisków tłum rojny,
pędził bezlitosny, zimny, ostry, głośny,
w ponury, zimowy dzień cały.

A kiedy wieczorem wróg ucichł odparty,
na krwawem tem polu znalazły go warty—
Przyszli przyjaciele z dowódcą na czele,
i wszystkie oczy w łzach lśniły.

Był pierwszy wśród walki, był dzielny, ognisty,
ślubował ojczyźnie żołnierz hardy, czysty,

¹⁾ Słowa Piłsudskiego.

z zapalem i w wierze—oddać jej w ofierze
wszystkie młodości swej siły.

Przez pola zamglone nieśli towarzysze
martwego w ogromną, głuchą mroku ciszę...
A pieśni wciąż grały wolności hejnały,
wolności hymn dawny, prastary.

I kędy on leżał zniszczony i krwawy,
potężne te pieśni rzucały blask sławy
na martwe już czoło,—nad grobem wokoło
chylili przed nim sztandary...

Wanda Krzyżanowska.

NARODOWOŚĆ

Każdy człowiek, mający w sobie iskrę narodową, gdziekolwiek się znajduje, skoro myśli, czuje, działa, może być pewny, że w tejże chwili miliony współrodaków jego myślą, czują i działają podobnie jak on. Ta spójnia niewidoma łączy każdą narodowość. Narodowość w najwznioślejszym rozumieniu tego wyrazu, znaczy posłannictwo narodu, znaczy powołanie pewnego zbioru ludzi, wezwanych od Boga do spełnienia zamierzonego dzieła, sprzężonych obowiązkiem wzajemnego zastępowania się w pracy, połączonych prawem współżycia, które postrzegamy w historii naturalnej jestestw różnych i w historii dziejów ludzkich...

Minęły czasy, kiedy narody mówiły: każdy u siebie, każdy dla siebie. Na czemże zależałby postęp narodów, gdyby nie zmierzały do zbudowania jedności religijnej, politycznej i społecznej.

(Adam Mickiewicz: „Rzecz o literaturze słowiańskiej” wykładana w kolegium francuskim.

CO TO JEST NARÓD

Co to jest naród? Nie jest on ani wspólnotą rasy — ani religii, ani interesów, ani faktem zamieszkiwania pewnego obszaru geograficznego, ograniczonego rzekami i górami. Naród jest zgółą czem innym. Jest on *całością duchową*, wyraża duszę zbiorową i byłoby z wielkim pożytkiem dla pokoju świata, gdyby

znakomita i piękna definicja Benana utorowała sobie drogę do świadomości ludów, do mężów stanu i do biur rządowych. Naród, wedle niego, to wspólnota ludów, mających wspomnienia wspólnej sławy w przeszłości, oraz wolę dokonania wielkich dzieł w terażniejszości i przyszłości. Piękna to i wielka formuła, łącząca ludzi wolnych, zdecydowanych żyć razem, ponosić ciężary i ofiary wspólnej państwowości, świadomej służby dla interesów nie tylko własnych i bliskich, lecz i dla dobra wyższego ludzkości. Ludzie złączeni są wspólnością interesów, tradycjami, których nikt nie jest pozbawiony, ale również ideałem, jedynie mogącym nadać pełną wartość, zarówno indywidualnemu, jak i kolektywnemu życiu ludzkiemu...

Naród, to wielka jednostka moralna, to strażnik zaszczytnej przeszłości, to potężna wspólnota ludzi wolnych, pragnących żyć razem, świadomych tego, że służą wielkiej, wspólnej sprawie w terażniejszości i przyszłości. Określenie takie, będąc największą apologią narodu, stanowi jednocześnie uzasadnienie zwycięstwa zasady narodowościowej...

Ale narody są jeszcze czemś innym, niż jednostką moralną i duszą zbiorową — są one zbiornikami energii, rozpalonemi ogniskami, ośrodkami, do których zbiegają się siły dynamiczne, żądne działania, zdolne do wybuchów, podatne na wszelkie czułe drgania życia intuicyjnego i emocjonalnego zbiorowej indywidualności. Ta strona życia narodowego znajduje odbicie wewnątrz kraju w nacjonalizmie, który chociaż stanowi oblicze najczystsze i najślusniejszego ukochania swego narodu, podatny jest w pewnych chwilach do przybierania wyglądu egoizmu narodowego. Egoizm jest zawsze źle zrozumianą miłością. Nacjonalizm ma jedną właściwość: nikt z nas nie ma mu nic do zarzucenia w swoim kraju, ale jest wręcz przeciwnie w stosunku do nacjonalizmu sąsiada. Nacjonalizmy zwiększają możliwości konfliktów, pomnażają płaszczyzny tarć, nagromadzają w atmosferze narodowej denerwującą elektryczność...

Umiłowanie narodu to uczucie święte, złączone z przywiązaniem do ziemi, do wioski rodzinnej, to sentyment religijny wpływający z wiary ojców, to poezja życia wyrażona w słodkim dźwięku języka macierzystego. Umiłowanie narodu — to kult, na którego ołtarzu ludzie chętnie składają swe życie. Ale dusza człowieka współczesnego karmi się też czem innym; niezapomniane wrażenia czystości linii portyków, Parthenon odziany w nieposzlakowaną biel marmurów panhelickich — odsłaniają przed nami genjusz starożytnej Grecji; rozmyślanie w cieniu drzew oliwnych doliny Jordanu otwierają nam bramy do świata judejskiego; wtajemniczenia Sakjamuni, wizja pod witrażami ka-

tedry w Chartres wyciskają na naszej duszy narodowej stygmaty niezatarte. Czy się mniej kocha swą ojczyznę wskutek otoczenia miłością tego, co ma się wspólnego z innymi? Czy mniej kocha się ojczyznę, jeśli się drży o wspólne dobro, które nie jest wyłącznym naszym dobytkiem, ale skarbem całej ludzkości? Czy zmalałaby miłość ojczyzny, gdybyśmy doszli do przekonania, że istnieje obowiązek szczytniejszy od służenia jej — obowiązek wobec ludzkości i że między dwoma temi obowiązkami niema sprzeczności, istnieje raczej współzależność... Stwierdzono wielokrotnie w dziejach, że narody, które przestają służyć postępowi ludzkości — giną. Wielkie narody ponosiły często ofiary w obronie idei szlachetnych. Narody nie niszczeją wskutek ukochania ideału — narody giną przez egoizm...

Ludzkość w swym pochodzie ku wyżynom oddala się od kultu formy i dąży do królestwa ducha. Potrzebujemy świątyń, gdzie chwalimy Boga i ojczyznę do kochania swego narodu. Ale te przegrody, tak dostojne i konieczne, nie powinny wstrzymywać promieni ducha ludzkiego — nie chcemy, aby nasze ojczyzny zamknięte były w skorupie żelaznej, wolimy je widzieć w oponie przezrocznej, jakby rżniętej w kryształ, przez który duch narodowy promieniowałby całą swą potęgą, aby zlać się we wspólnym świetle ludzkości.

(Aleksander Skrzyński: „Nacjonalizm i internacionalizm“ — odczyt wygłoszony w kwietniu 1927 r. na posiedzeniu Instytutu Carnegie w Paryżu.)

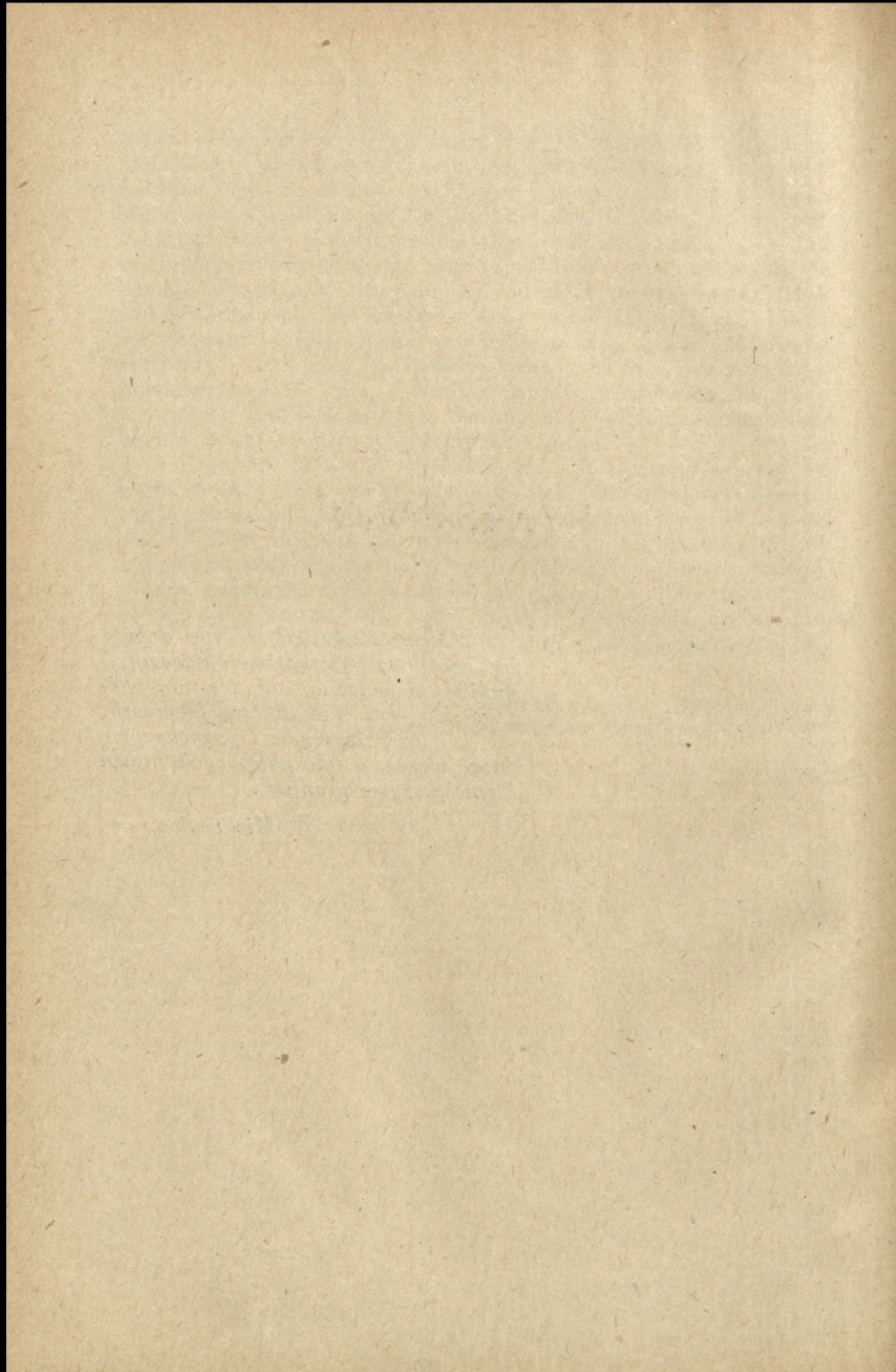
VI

PAŃSTWO

„Cycero twierdził, że ani dobrze żyć bez dobrze urządzonej Rzeczypospolitej niepodobna, ani też nic bardziej błogiego nad takową niemasz”.

„O ile polepszyć i powiększyć dusze wasze, o tyle polepszyć prawa i powiększyć granice”.

A. Mickiewicz.



PRAWO

...*Sokrates*. Gdybyśmy tak mieli stąd uciekać, czy jak tam to zechcesz nazwać, a tuby prawa przyszły i państwo we własnej osobie, stanęłyby nam nad głową i zapytały: słuchaj Sokratesie, co ty zamýślasz zrobić? Chyba nic innego tylko tym czynem, który podejmujesz, myślisz nas, prawa, zgubić i całe państwo, o ile w twojej mocy? Czy sądzisz, że potrafi jeszcze istnieć i nie wywrócić się do szczytu państwo, w którym wydane wyroki mocy żadnej nie mają, ale im ludzie prywatni władzę odejmują i ważność?

A cóż jeśliby prawa powiedziały: Sokratesie, a czy i na takie postępowanie stanęła zgoda między nami a tobą, czy też nato, że trzeba trwać przy wyrokach, które państwo wyda? A gdybyśmy się dziwili, że one tak mówią, gotowe by powiedzieć, że ty się nie dziw, Sokratesie, tylko odpowiadaj; to przecież twój zwyczaj pytania i odpowiedzi. A zatem: co masz przeciwko nam i przeciw państwu, że nas chcesz teraz wniwecz obrócić?...

...A wobec ojczyzny i wobec praw, to ma ci być wolno, tak, że kiedy my ciebie chcemy zgubić, bo to uważamy za słuszne, to ty będziesz próbował na odwet, o ile w twojej mocy, gubić nas: prawa i ojczyznę? I ty będziesz, robiąc to, mówił, że postępujesz sprawiedliwie?

Ty, który naprawdę dbasz o dzielność! Czy też taki z ciebie mędrzec, że nie dojrzałeś, że od ojca i matki i od innych przodków wszystkich cenniejsza jest ojczyzna i większej czci godna, i świętsza, i w większym zachowaniu jest u ludzi myślących, i czcić ją potrzeba, i ustępować jej, i czołem bić przed ojczyzną, kiedy się gniewa nawet, raczej, niż przed ojcem, i albo ją przekonywać albo robić, co ci każe i znosić, jeżeli coś znosić poleci, a cicho siedzieć, choćby cię bito i więziono i wiedziono na wojnę, na rany i na śmierć; masz to robić, bo tego wymaga sprawiedliwość i nie wolno ci się usuwać, ani ustępować z pola, ani rzucać szyków, ale i w wojnie i w sądzie i wszędzieindziej robić masz, co ci każe państwo i ojczyzna, albo ją przekonywać, co jest właściwie sprawiedliwe; ale gwał-

tu zadawać się nie godzi ani matce, ani ojcu, ani tem mniej ojczyźnie.

.... Przypatrz się więc, Sokratesie—powiedziałyby z pewnością prawa—czy to słusznie mówimy, że niesprawiedliwie chcesz w tym wypadku z nami postąpić? Myśmy ciebie wychowały, wykształciły, obsypały wszelkimi dobrami, i ciebie i innych obywateli, a jednak ogłaszamy wszem wobec i pozwalamy każdemu Ateńczykowi, który tylko zechce i uzyska prawa obywatelskie, przyjrzy się stosunkom w państwie i nam—prawom, a my mu się nie spodobamy, to wolno mu zabrać manatki i iść, dokąd chce. Żadne z nas, żadne prawo mu nie stoi na przeszkodzie i nie zabrania; może przecie sobie każdy z was pójść do kolonij, jeśli mu się my nie podobamy ani państwo, a jeśli by się chciał gdzieśindziej przenieść i tam pójść, niech sobie idzie, gdzie chce i zabierze ze sobą, co tylko ma.

Ale, jeśli który z was siedzi na miejscu i widzi, jak my tu sędzimy sprawy, taki już, uważamy, czynem zawarł z nami umowę, że będzie spełniał wszystkie nasze rozkazy; więc kto nie słucha, ten potrójną zbrodnię popełnia, bo nam nie jest pozwolny i umówiwszy się z nami o posłuszeństwo, ani nas nie słucha, ani rodziców, ani wychowawców, ani też nas nie przekonywa, jeśli coś niedobrze robimy.

Otóż mówimy, Sokratesie, że te zarzuty będą ciężły i na tobie, jeżeli zrobisz to, co zamyślasz. I nie będziesz ty najmniej winien w Atenach, ale ty przedewszystkiem. A gdybym ja powiedział: dlaczego właściwie? to z pewnością słusznie by się mnie uczepliły i powiedziały, że pośród wszystkich Ateńczyków, ja przedewszystkiem taką z niemi zawarłem umowę. Powiedziałyby: Sokratesie, my mamy wielkie świadectwa nato, że i myśmy ci się podobały i państwo. Bobyś przecież nie był więcej, niż każdy inny Ateńczyk, w mieście przebywał, gdyby ci się nie było więcej niż innym podobało.

Przecież nawet na uroczystość nigdyś z miasta nie chodził chyba raz na Istmus, ani nigdzieindziej, chyba gdzieś na wojnę; nigdyś żadnej podróży nie odbywał, jak inni ludzie, i nie brała cię chętka poznania innych państw i innych praw, tylko myśmy ci wystarczały i nasze państwo. Tak bardzo godziłeś się być pod naszymi rządami obywatelem. Przecież jeszcze podczas procesu, mogłeś być sobie zaproponować wygnanie, gdybyś był chciał, mogłeś to samo, co teraz myślisz zrobić, wbrew woli państwa, uczynić wtedy za jego wolą. A tyś wtedy się stawiał i wolałeś, jakieś mówił, raczej śmierć niż wygnanie. A teraz, ani tamtych słów nie szanujesz, ani na nas — prawa nie zważasz,

chcesz nas wniwecz obrócić, uciekać chcesz wbrew umowom, któremiś się zobowiązał być obywatelem.

Posłuchaj nas: myśmy cię wychowały, niczego innego nie przenieś nad sprawiedliwość, abys, i jak do Hadesu przyjdiesz, mógł to wszystko powiedzieć tamtejszym władzom na swoją obronę. Bo ani się tobie tutaj taki czyn nie wydaje lepszy, ani sprawiedliwszy, ani bardziej zbożny, ani nikomu z twoich bliskich, ani też tam, kiedy przyjdiesz, lepiej ci z nim nie będzie.

Teraz odchodzisz pokrzywdzony, jeśli odejdiesz, ale krzywdą cię nie od nas, nie od praw spotyka, tylko od ludzi; a jeżeli wyjdiesz stąd, tak haniebnie krzywdą za krzywdę zapłaciwszy i złem za złe oddawszy, jeśli umowy swoje i zobowiązania wobec nas złamiesz i źle zrobisz tym, którym najmniej należało, bo sobie samemu i przyjaciółom i ojczyźnie i nam, to my się będziemy na ciebie gniewały za życia, a tam nasi bracia, tamte prawa w Hadesie nie podejmą cię łaskawie, dowiedzą się, żeś ty próbował nas wniwecz obrócić, o ile było w twojej mocy.

(Platon: „Kriton“, przełożył Wł. Witwicki. 1923 r. Lwów-Warszawa. Wyd. Książnicy Polskiej).

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Przed wielu laty, w bogatym i ludnym mieście dalekiego Wschodu żył stary mędrzec Abon-ben. Kiedy poczuł, że zbliża się kres życia i śmierć nadchodzi, wezwał do siebie sędziego i podarował mu całe swoje mienie, w postaci małej metalowej wagi.

Weź wagi te — szeptał gasnącym już głosem — mają one moc czarodziejską, możesz ważyć na nich nie tylko ciężary wszelakie, ale także ludzkie czyny, myśli, słowa i obietnice. Nigdy się nie pomylą, trzeba tylko uważać, żeby...

Tu głos mu się załamał, urwał i w kilka chwil potem życie zakończył...

Sędzia zabrał podarowane mu wagi z uczuciem radości, ale i niepokoju i darmo odgadnąć usiłował zagadkę, którą stary mędrzec wziął ze sobą do grobu.

W kilka dni potem dwóch kupców zażądało od sędziego wymiaru sprawiedliwości. Jeden z nich, Mohammed, pożyczył drugiemu, Omarowi, 100 sztuk srebra, przed sześciu miesiącami. Omar twierdził, że oddał dług w całości, Mohammed zaś skarżył się, że otrzymał tylko sztuk 90 i domagał się reszty. Obydwaj uparcie obstawali przy swoich twierdzeniach. Sędziemu przypomniawszy się dar mędrca.

Położył z jednej strony wagi 100 sztuk srebra, z drugiej słowa Omara. Srebro okazało się cięższe. Począł tedy odejmować jedną sztukę po drugiej, kiedy odjął dziesięć, równowaga została bezzwłocznie osiągnięta. Sędzia zwrócił się do Omara z naganą i nakazem oddania 10-ciu sztuk Mohammedowi. Czarodziejska waga ułatwiła mu wymiar sprawiedliwości. Był uradowany, zyskał uznanie i sławę.

.....

Nazajutrz dwóch mężczyzn zapukało do drzwi mieszkania sędziego. Ich poszarpane odzienie, gniewne i opuchnięte twarze, krew z rany płynąca świadczyły wyraźnie o dopiero co stoczonych walce. Nawzajem wyrzucali sobie doznane krzywdy i wołali o sprawiedliwość. Jeden pokazywał otwartą ranę, drugi tłumaczył się, że zadał mu ją w słusznym gniewie, bowiem został zwymyślany i uderzony w twarz tak silnie, że aż ząb postradał.

Sędzia postawił wagę — na jedną jej szalę rzucił ząb wybity, na drugą cios zadany nożem. Cios okazał się cięższy. Próbował zastąpić go kopnięciem, uderzeniem pięści, kija, ale równowagi nie zdołał otrzymać. Osiągnął ją dopiero, gdy po obydwóch stronach wagi położył jednakie zęby.

Wyrok brzmiał następująco: „Winien jest ten, który rozpoczął walkę i wybił ząb spokojnemu przechodniowi. Nie należało jednak mścić się krwawo, przysługiwało jedynie prawo odwetu—mógł mu odpłacić wybiciem zęba”.

Przeciwnicy odeszli zadowoleni i niebawem zapomnieli o niesnaskach i bójkach. Sława sędziego rosła, napęłniała go dumą i przeświadczeniem o własnej mądrości.

Przeszło lat wiele, sędzia zestarzał się i osłabł. Dnia jednego u progu domu jego stanął piękny, o szlachetnej postawie młodzieniec i pokłonił mu się z szacunkiem. — „Bądź pozdrowiony obcy przybyszu — odezwał się doń gospodarz — kim jesteś i skąd przybywasz? Może szukasz wiedzy i mądrości na szerokim świecie, a może innym niesiesz te skarby bezcenne, dane ci przez Allaha?” — „Przyszedłem do ciebie zdaleka, aby ci podarować” — i wdzięcznym ruchem podał sędziemu skrzynkę, w której tenże ze zdziwieniem zobaczył wagi, zupełnie podobne do tych, jakie niegdyś otrzymał od starego mędrca. — „Ależ mam już takie same, te mi są zbyt cenne.” — „Zobaczmy, czy tak jest istotnie? — odrzekł cudzoziemiec.

.....

Nazajutrz był dzień targowy.

Odpowiednio do miejscowego zwyczaju, sędzia zasiadł

z wagami na progu domu swojego, wysłuchiwał skarg i żalów, ważył krzywdy, wymierzał sprawiedliwość.

Niezdługo ukazał się obcy młodzieniec i, schyliwszy się przed nim z szacunkiem, usiadł opodal ze swojemi wagami.

Przed obliczem sędziego stanęło dwóch ogrodników. Obydwaj przez cały tydzień pracowali z jednakiem natężeniem i jednaką też otrzymali zapłatę.

Sędzia na jednej szali położył ich wysiłki, na drugiej zarobione pieniądze; wagi stanęły równo, każdy też otrzymał jednaką kwotę.

Mieli już odejść, kiedy zatrzymał ich siedzący opodal młodzieniec. — „Teraz ja spróbuję zważyć, o ile sędzia pozwoli?” Ten skinął przychylnie głową w przeświadczeniu, że wyrok jego okaże się bezwzględnie sprawiedliwy.

Młodzieniec położył na jednej szali zarobek pierwszego ogrodnika, na drugiej zaś niezbędne potrzeby jego żony i trojga małych dzieci — zarobek był znacznie lżejszy. Dopiero po dorzuceniu doń kilku sztuk pieniędzy osiągnięto równowagę.

— „Czyżbym się pomylił?” — z niepokojem zauważył sędzia.

Tymczasem młodzieniec ponowił próbę odnośnie do drugiego ogrodnika. Ten żył samotnie, nie miał rodziny, zarobek wystarczał zupełnie na zaspokojenie wszystkich potrzeb — to też równowaga odrazu została osiągnięta...

Po chwili sędzia ujrzał przed sobą możnego pana z zawiązanem okiem i niewolnika, którego ręce i nogi skrępowane były grubym powrozem.

— „Żądam wymiaru sprawiedliwości — zawodził pan — nie chciałem sam karać mojego sługi, lepiej, że ty to uczynisz, o mądry sędzio!”

— „Dobrześ postąpił — odparł tenże — kara wymierzona przez sędziego jest wyrazem sprawiedliwości, przez poszkodowanego zaś wyrazem zemsty”.

— „Był zuchwałym i nieposłusznym sługą — ciągnął dalej — a kiedy go skarałem, rzucił się na mnie w gniewie i wybił mi oko”.

— „Oko za oko” — szepnął sędzia, a jednocześnie z niepokojem, jakoby z zapytaniem zwrócił się ku młodzieńcowi?

— „Waż” — nalegał tenże.

Sędzia na jednej szali położył oko pana, na drugiej oko, które wybić za karę miano niewolnikowi — szale stanęły równo — odczuwał jednak nieokreśloną trwogę i z wytężoną uwagą śledził poczynania młodzieńca.

Ten zaś na jednej szali kładł wyrok surowy, na drugiej całą nędzę niewolnika, znoszone tylokrotnie cierpliwie obelgi

i razy, długie i ciężkie, beznadziejne dni pracy i poniewierki... kara okazała się zbyt ciężką...

— „Czy widzisz?” — pytał młodzieniec.

— „Nie mogę dziś wydać wyroku — przyjdźcie za tydzień, sprawa jest trudna do rozstrzygnięcia — zawyrokował sędzia — ale, ale... rozetnijcie zaraz pęta niewolnikowi i jeść mu dajcie”...

Pierwszy to raz w ciągu swej długoletniej pracy sędzia zawahał się i odłożył wydanie wyroku — nie chciał też sądzić już nikogo i, zamknąwszy się z obcym młodzieńcem, w najzaciszejszym pokoju, rozważał przeżyte wrażenia.

— „Wagi twoje — mówił — są lepsze od moich, proszę cię, sprzedaj mi je”.

Młodzieniec roześmiał się wesoło.

— „Wagi twoje są równie dobre i w niczem się od moich nie różnią — odparł. — Wszystko zależy od tego, co położysz na szale. Tak np., jeżeli na jedną kładziesz płacę robotnika, to co należałoby położyć na drugą?”

— „Ależ... jego pracę”.

— „Czy nigdy nie pomyślałeś o dzieciach twego ogrodnika o ilości pokarmu potrzebnego im do życia, czy nie słyszałeś, jak płaczą, kiedy są głodne?”

— „Nie, nigdy...” — szeptał sędzia...

— „Kiedy na jedną szalę kładziesz karę, to cóż położysz na drugą?”

— „Winę. Oko za oko, ząb za ząb”.

— „Czy nigdy nie ważyłeś nierówności społecznych, ciemnoty nędzarzy i krzywd, jakich doznawali tylokrotnie?”

— „Nie”.

Zamilkli obydwaj i zadumali się głęboko.

— „Mniemam, że to właśnie chciał mi przed śmiercią powiedzieć Abon-ben — rzekł sędzia — wagi jego są dobre, tylko ja nie zawsze umiałem użyć ich odpowiednio”.

— „Możliwe” — odparł młodzieniec.

— „A przecież przez długie życie moje, zawsze i wszędzie szukałem tylko sprawiedliwości... i teraz, gdy nadchodzi ostatnia godzina, nie żałuję, że poświęcając temu poświęcał się całkowicie. Inni służyć jej będą może lepiej i umiejętniej i cieszyć się z tego. Allah zesłał tu ciebie, byś mnie pouczył i zastąpił, skoro umrę. Umiesz lepiej ważyć ode mnie. Proszę cię tylko, uszanuj pamięć moją, bom zawsze dążył do dobra i prawdy, na ile stać mnie było...”

— „Obiecuję ci to uroczyscie — odparł młodzieniec —

skoro kiedyś będę u kresu dni moich, może znowu przyjdzie kto zdaleka i pouczy mnie, że inaczej ważyć należy”.

— „Wierzyłem niezachwianie w to, że Sprawiedliwość jest zawsze i wszędzie jednaka, że jest wieczna, niezmienna, absolutna — słabnącym głosem skarżył się starzec — a teraz widzę niestety jej względność...”

— „Ona jest w istocie swej taką, jaką ją sobie wyobrażałeś — pocieszał go młodzieniec — tylko my powoli i stopniowo dochodzimy do jej poznania. Nie Sprawiedliwość się zmienia, ale nasze o niej wyobrażenia. To my się mylimy, nie ona”.

— „Oby tak było” — ledwie dosłyszalnym westchnieniem błagał umierający.

Głowa jego przechyliła się... chwila jeszcze a życie zakończył...

(Tłumaczenie z francuskiego „Le livre du maître pour l'enseignement de la morale” par M-me H. Waltz, Paris 1922 r., F. Nathan).

Ł A D

Znany jest przepis, co do porządku materialnego: Miejsce dla każdej rzeczy, a każda rzecz na swoim miejscu. Przepis odnoszący się do ładu społecznego jest identyczny: miejsce dla każdego człowieka, a każdy człowiek na swoim miejscu... Tak pojęty ład społeczny wymaga dobrej organizacji i dobrego doboru ludzi — każdy zajmować winien stanowisko, na którem może oddać najwięcej usług... W zastosowaniu do państwa przepis powyższy przybiera zakres niesłychanie szeroki. Jest to odpowiedzialność narodu wobec wszystkich i wobec każdego z osobna, jest to przewidziany los każdego, jest to solidarność, a zarazem cała kwestja społeczna.

(Z książki Henryka Fayola: „Administracja”. Warszawa 1926. Nakładem Instytutu Naukowej Organizacji).

WYZWOLENIE

Odwrót i klęska!... odwrót coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej pośpieszny i rozpaczliwy. Wali się niezwyciężona armja, pękają tarcze Hohenzollernów, w które niepohamowane a szybko i dźwiękliwie bije francuski miecz, pobici stary Hindenburg, uparty Ludendorff, twardy Mackensen, trzeszczą przeguby dłoni w rozpaczem załamaniu rąk... Przez „hinterland” przechodzi krótki szloch, a poza mgłą beznadziei łez palą się już złowrogie, nienawistne oczy buntu...

Kapitulacja!... Wśród ciemnej listopadowej nocy biały błysk reflektorów, pędzących ku francuskim pozycjom automobili — oświetla trupim blaskiem szare, bez kropli krwi pola i wzgórza, na których wije się długi, głęboki wąz pozycji i drutów. Biała chorągiew trzepie się i drży w powietrzu, trębacz wygrywa sygnał.

Jakże ponuro, jak złowieszczo rozlegał się ten srebrzysty ton trąbki parlamentarjuszy niemieckich, którzy wśród głuchej, listopadowej nocy wysiedli przed francuskimi pozycjami, by prosić o zawieszenie broni...

Inaczej zwały się z nóg Austro-Węgry. Raczej przegniły i rozsypały się jak zbutwiałe próchno. Ni wielkości, ni godności w upadku tym nie było, a tylko obrzydły strach, bezsilne, nieprzytomne szamotanie.

Na tle tej walącej się w gruzy niedawnej potęgi, na tle upadku zaborców, tak straszliwej pamięci dla tylu polskich pokoleń — wyrasta u nas, olbrzymieje, gigantycznych nabiera rozmiarów — postać Józefa Piłsudskiego.

Komendant wracający z Magdeburga! Entuzjazm stolicy, radość i duma rozpierająca pierś — i pochwycenie broni przeciwko najazdowi w dniu, w którym Józef Piłsudski stanął na polskiej ziemi...

W ciągu jednej nocy Niemcy wyrzuceni zostali z granic okupacji. Załadowani do pociągów, bez broni, bez sławy, z wściekłością bezsilną w duszy opuścić musieli ów tyle pogardzany a tak łakomy „Polenland“, karmiący ich swą własną, rodnią ziemią przez tyle długich miesięcy. Eskortowane przez dzieciaków uzbrojonych w ich własne, niemieckie karabiny, pociągi za pociągami przekraczały graniczne słupy...

Józef Piłsudski Dyktatorem!... Naczelnikiem Państwa i Wodzem Naczelnym!... Rada Regencyjna pośpiesznie mu oddaje całą władzę cywilną i wojskową. Rządy nad milionami, nad całym krajem, nad Polską obejmuje Wódz, nasz Brygadjer...

Gdybyście mogli doczekać towarzysze broni, którzyście padli na polach bitew, w krwawym, ostatnim dla was boju. Kości wasze rozsiane po jarach Łowczówka i Mołotkowa, nad bez szmeru płynącą „wierną rzeką“, w mrocznych głębinach dolin karpackich, w sandomierskich, urwistych wąwozach, nad Styrem, Stochodem i Bugiem.

Gdybyście mogli — powstałibyście teraz wszyscy ze swych zaklętych, opuszczonych grobów, z pod białych, brzoźowych krzyży żołnierskich i nie bacząc na swe okrutne, śmiertelne rany, raz jeszcze poszlibyście na zwycięski bój.

Nie zmarnowała się wasza krew, nie poszła na darmo, nie uronił jej Wódz ni kropli nadaremno. Użyzniliście nią zeschnięte, polskie ugory, zwilżyliście krwawą rosą swych ran i dziś możemy zbierać radosny, urodzajny plon. Białe krzyże brzozone lśnią w blaskach słonecznych, niby rycerskie miecze w ziemię po walce zatknięte, sztandar narodu spłowiwały i zblakły, zabarwiony purpurą świeżej krwi łopoce zwycięsko w powietrzu...

„Gdzie Twe sokoły, Komendancie! Drapieżce wychowałeś i na lot puściłeś — w walkach i trudzie rozkwitające dusze, hartem i pogardą śmierci opancerzone — gdzie Twój chłopcy, Wodzu! Tyłu nie wróciło do Twojej żelaznej dłoni i nigdy już nie wróca z gonitwy bitewnej, z ęgórów jałowych, nad którymi wrzask jeno ptactwa krąży!”¹⁾

Nie krążył już będzie nad nimi wrzask ptactwa — przyjacielu. Rozdzwoni nad niemi swą nieśmiertelną wiosny pieśń skowronek szaropióry. Dzwonić im będzie świegot ptaszęcy z jasnej płynącej przezroczy nieba i usłyszą go w cieniu swych dołów śmiertelnych drухowie nasi. Oraz zgrzytliwym pługiem nie zorze ich zapomnianych grobów, skiby czarnej, urodzajnej ziemi nie zawalą w niepamięć żołnierskich cmentarzysk. Biały krzyż nie zbutwieje, nie porosną zieliskiem kurhany, nie będzie szukał zapomnianych kości wnuk, ni syn, z rozpaczą duszy, w skurczu serca bolesnym, głosu pobitych ojców z za grobu słuchający...

Stanie na straży ich kości państwo polskie, Rzeczpospolita Najjaśniejsza. Szum morskich fal bijących o polski brzeg tęsknotę ich uciszy, tatrzańskich turni obejmie ich cień od południa strony. Szczęk karabinów pogranicznej straży z nad Odry i polskich błot dojdzie radosnem ich echem.

Lekką wam Polska Ziemia będzie — towarzysze bojów. Zapomniecie o krzywdach, o udrękach bolesnych, uciszą się nieukozone dotąd serca wasze. Spokój nad wami zagości i ramiona waszych krzyżów brzozowych błogosławić będą tę Ziemię Polską w jasny, słoneczny dzień i w księżycowe, srebrne noce. Na zawsze już, po wieków wiek...

Niepodległe państwo polskie, Rzeczpospolita...

Powtarzam te słowa po wielokroć, nie mogę się od ich słodkiego brzmienia oderwać. Już nie w odezwach, nie w deklaracjach, nie w postulatach i programach. Jest sobie i już. Dla siebie. Będzie miała, już ma — swe bataljony, pułki, dywizje, swe

¹⁾ Ustęp ten przytoczony został z pośmiertnego wspomnienia, napisanego przez kpt. Falkiewicza Stanisława, o oficerze I Bryg. Leg. Polsk., kapitanie Sławie - Zwierzyńskim.

sztaby, generalicję, naczelne dowództwo, ministerstwa. Działa, czołgi, aeroplany, pociągi. Radjostacje i własne urzędowe komunikaty. Rząd, Sejm, Naczelnika Państwa...

Przestaną nas wreszcie, bezdomnych dotąd żołnierzy umęczać w długie noce rozterki, odjęta zostanie udręka Wodzowi. Nie będzie już sam, na naszych tylko sercach wsparty. Wola jego ogarnie cały kraj, posłuch obejmie miliony. Nikt mu pod nogi nie będzie rzucał kłód, nikt sabotował. Spragniony naród własnej, polskiej swej władzy—radośnie spełniać będzie jej nakazy. Popłyną pieniądze do skarbowych kas, pójdzie rekrut wspaniały do szeregów, zakwitnie wszędzie praca, wysiłek radosny i twórczy. Nad podziw bujne i piękne wyrośnie zboże, dla wszystkich, którzy pragną, w nadmiarze starczy. Nikt go już nie wywiezie do niemieckich miast, zostanie złoto, ciężka pszenica, pokotem się kłască będzie młode żyto, radosny głos cepów po klepiskach omłot swój jeno Polsce zostawi...

(Wacław Lipiński: „Wśród lwowskich orlał”. Warszawa 1927 r. Wojskowy Instytut Naukowo Wydawniczy).

WŁASNE PAŃSTWO

Było polarne południe zimowe. Słońce znajdowało się u szczytu tego małego półkola, które zakreślało się teraz co dnia tuż nad samym horyzontem, zatraconym w śniegach. Dokoła białała pustynia śnieżna. Gdzieś na linii widnokregu bór, malejący wskutek oddalenia, czerniał jak wąska tasiemka aksamitu. Na dookolnym placu różowił i fiolecił się od niskiego światła słonecznego śnieg gruby na parę łokci. Odcinały się na nim czarnozielone wierzchołki świerków, zawianych prawie do szczytu. Tam i sam biegł i krzyżował się wklęsły ślad stóp ludzi, którzy tędy przebrnęli.

Wojacy uplasowali się w blokhauzie i ogarnął ich zadumany smutek, mający w sobie coś uroczystego. Przecież była dziś Wigilja. Myśli z niesfornych głów pomknęły daleko, daleko przez zaśnieżony obszar tysięcy mil, jak jaskółki rozświegotane tkliwie. W dniu powszednim mieli czas zajęty ciężką służbą lub beztróskiem próżniactwem żołnierskim i nie zabijali sobie głowy byle czem. Wieści o kraju brakło. W listopadzie dowiedzieli się wprawdzie z komunikatów angielskich, że Niemcy wojnę przegrali, ale o Polsce nie było nic. Co więcej chodziły bajędy o wielkiej anarchji i głodzie w kraju.

Przychodzi Wigilja i zachować ją trzeba jak należy. Więc wszystko ma się odbyć pod biegunem tak samo, jak pod Ino-

wrocławiem, jak u polskiego chłopca odbywało się od wieków. Stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkan pod improwizowany obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej słomy. Na okrytym stole porządnie rozłożono pożyczone od tubylców talerze i sztucce... Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na niebie zaśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda”. Wówczas Hurma wziął ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zebrał dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał pszenne okrucy i przełamał się niemi, jak opłatkiem ze swoją sekcją. Spoważnieli wszyscy; poczem zasiedli do stołu udekorowanego kulomiotem. Długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to była, lecz raczej msza dusz polskich, w pół tylko obecnych tam, gdzie ciało. Ktoby to widział, nie dostrzegłby nic, prócz pewnego skupienia na twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpieła smętna wielkość rozręsknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychwstać miała. Można było rzec słowami poety, że ich duch „po słupie jasności księżycowej odchodził na południe”... W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: „Stój! Kto idzie?”, potem chrzęst kroków na śniegu. Do blokhausu wszedł komendant oddziału. Wyglądał jak człowiek zwarjowny, lub w najlepszym razie — spity, jak bela, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał oddech. Odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zapowiedzią nie bylejak utoczonego okresu... Wtem — machnął ręką i głęboko wzruszonym głosem zawołał: „At, co tu gadać! Dajcie mi, chłopcy, lepiej pyska! Tylko co otrzymałem wiadomość. *Polska jest wolna i wielka*. Wszystko, co wiemy — łgarstwo! I, chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał w międzyczwilach słowami: — Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztubacy porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armia maszeruje na Wilno. — Poznań nasz. — Polska będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwarjuję!

I zwarjował — o ile łzy curkiem płynące po twarzy żołnierza są szaleństwem. Za przykładem dowódcy powarjowali żołnierze. Szarże w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie.

I z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się, razem u wszystkich, pieśń, zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli narodu. Jej znana melodia jest posępna, jak psalm nieszporny. Lecz pieśń oskrzydłona bezdennym zapałem młodych dusz, brzmiała fanfarami, jakich w sobie nie ma nawet Marsyljanka. A słowa: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz“! rozległy się pełnią takiego triumfu, a zarazem groźby niezłomnej, że zdało

się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego, — że tu, w tym blok-hauzie, stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewało śpiew. W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułacze wołali z całej piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść. Tą „Rotą“ żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo niezaprzysiężeni, wszystką duszą zaprzysięgali się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej na śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los.

Kiedy byli jeszcze, jak ów bezpański pies, o którego krzywdę nikt się nie upomni, — każdemu, kto chciał ich znieważyć, pokazywali wilcze kły, a na widok ręki, chcącej pogłaskać, pogardliwie się usuwali. Teraz, kiedy było wiadomo, że są *żołnierzami Państwa* — wypełniały się rogate dusze dumą, pychą, uczuciem, któremu brak wprost nazwy.

Przedtem gardzili możliwymi sprzymierzeńcami, jako wojakiem, które jest „cywil bandą“, jednak czuli respekt i zazdrość dla ich państwowości, bo sami jej nie posiadali. Lecz teraz cała Anglja, z jej Indjami, z jej wszystkimi oceanami, wydała się nowokreowanym obywatelom — żołnierzom *swojej własnej Rzeczypospolitej* jakimś niezmiernie wielkiem... ubóstwem, nędzą śmiechu wartą.

Słowem powarjowali. I warjowali tej nocy do rana, krzyżąc, śmiejąc się, płacząc, tańcząc po śniegu i chodząc na rękach, na głowach....

Była to w ich życiu — Wigilja najpiękniejsza i najpiękniejszą zostanie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza...

(Eugenjusz Małaczewski: „Koń na wzgórzu“. Warszawa. Nakład Gebethnera. Wydanie 3-cie).

ISTOTA DEMOKRACJI

Znakomity amerykański mąż stanu, C. E. Hughes, pisze o demokracji następujące słowa: „Nie należy sądzić, że obowiązki obywatela państwa ograniczają się do oddania głosu lub do udziału w politycznych walkach. Są to tylko sposoby wydobycia na jaw wyrazu opinii publicznej, na której w ostatniej linii polega władza państwa. Wpływu obywateli i ich odpowiedzialności nie można oznaczyć wyłącznie przez polityczne prawa indywidualne, lecz przez stosunek jednostki do tej siły, która w ostatniej linii nadaje lub zmienia konstytucję, stanowi prawa, określa rodzaj administracji i zabezpiecza lub tamuje jej rozwój. Obowiązki obywatela państwa obejmują wszystkie czynności, lub możliwe czynności, wszystkie jego zwyczaje i całe zachowanie, które składają się na całość jego możliwego udziału w tworze-

niu opinii publicznej. Wpływ i odpowiedzialność oceniać należy nie wedle głosu wyborczego, ale wedle tych, nie dających się określić oddziaływań, które promieniują z jednostki stosownie do jej etycznego odczuwania, jej wiedzy, bystrości i doświadczenia.“

Tak pisze prawdziwy demokratą o prawdziwej demokracji. Polega ona nie na urządzeniach politycznych, ale tkwi w duszy obywateli. Składa się nie z głosów wyborczych, ale z wartości etycznych.

Właściwy sens słów Hughesa tkwi w głębokim przekonaniu, że *jednostka musi się czuć jednością z państwem*, jeżeli mamy mówić o demokracji... Demokrację dadzą nam nie ustawy pisane, ale *przemiana dusz*, takie ich *rozszerzenie*, aby mieściły w sobie tę całość i jedność, którą nazywamy państwem. Możemy znosić tytuły, przywileje, dawać równe prawo wyborcze, składać rząd w ręce reprezentacji ludowej — wszystko to możemy robić, demokratami jednak nie będziemy, jeżeli nie będziemy się czuć jednością z państwem. Dlatego demokracja jest wynikiem długiego procesu, osiągnęło ją dotychczas bardzo niewiele państw. Niech nie mówią o niej ci, którzy pod jej hasłem swoje, a nie państwa, zabezpieczają interesy.

Jakże jest u nas? Winniśmy wszczepić dopiero poczucie państwa w przeważającą część obywateli... Od osiągnięcia stopnia kultury, w którym mówić będziemy mogli naprawdę o demokracji, dzieli nas jeszcze długi okres pracy. Praca ta musi być zwrócona ku przemianie dusz, ku wyrobieniu sposobu myślenia, czyniącego rzeczywistością najszczytniejszy postulat: jednostka czuć się winna jednością z państwem...

Najważniejszym zagadnieniem, jakim ludzkość zajmowała się ciągle i zajmować będzie dalej, jest zagadnienie, które opiewa: „ja i świat,” „podmiot i przedmiot,” „jednostka i inni ludzie,” „jednostka i państwo.” Od epoki renesansu jednostka wyzwala się coraz bardziej z naturalnych wspólnot, jak rodzina, szczerp, stan, gmina, cechy i t. d. Rewolucja francuska i racjonalistyczne konstytucje XIX wieku przeproszą zwycięstwo tej emancypacji. Miejsce tych naturalnych wspólnot zajmują związki powstające sztucznie, w postaci związków zawodowych, ekonomicznych, syndykatów i t. d. Związki te jednak to tylko zwiększenie sił jednostki, czującej się w ustawicznym antagonizmie ze światem. Tymczasem zagadnienie polega na stworzeniu syntezy pomiędzy „ja” a światem, pomiędzy podmiotem a przedmiotem, pomiędzy jednostką a innymi ludźmi, pomiędzy jednostką a państwem... Gdy powrót do przeszłości, do naturalnych urzędzeń politycznych jest niemożliwością, przeto otwiera się

tylko jedna z dwóch dróg: szukanie nowych sztucznych rozwiązań, albo *przemiana duszy*, mogąca jedynie wydać naturalne rozwiązanie pytania, od którego zależy los ludzkości a także i państwa. Z tego też powodu najważniejszym zagadnieniem naszej epoki jest: czy taka przemiana duszy jest możliwą, jaką drogą dojść do niej, jakimi środkami ją wdrożyć?

(Prof. Władysław Leopold Jaworski: „Nauka prawa administracyjnego”. Zagadnienia ogólne. Warszawa. 1924. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“.)

GŁOSOWANIE POWSZECHNE

W pewnym londyńskim omnibusie umieszczona była następująca odezwa koni do pasażerów: „Prosimy tych, którzy chcą wysiąść, by nie zatrzymywali wozu na każdym rogu ulicy i pamiętali o nas, gdyż zatrzymywanie się i ponowne wyciąganie ciężkiego wozu kosztuje nas wiele trudu i wysiłku“.

Otóż, gdybyśmy chcieli wyjaśnić komu najgłębszą i najcenniejszą treść słowa „demokracja”, wystarczyłoby wskazać na tę odezwę omnibusowych koni. Niezmienne znaczenie tego, co nazywamy „prawem głosowania“, nie tkwi bynajmniej w niedoskonałych zgółła urządzeniach, opartych na tem prawie, lecz w dopuszczeniu do głosu tych, którzy dotąd musieli milczeć. To, że ci tam siedzący wysoko na wozie przypominają sobie narzecie i o tych istotach, które ciągną wóz, że poczynają wreszcie dawać ich trudom posłuch i uwzględniać je w mechanizmie całego ruchu, może posłużyć jako obraz pierwiastka chrześcijańskiego w demokracji i najgłębszego wogóle zadania religijnego, jakie posiada każda społeczność ludzka, a wreszcie i tego także, co moglibyśmy nazwać postępek w uspołecznianiu ludzkości. Zewnętrznie bowiem wszyscy członkowie społeczeństwa już od stuleci pracują wzajem dla siebie i żyją tylko dzięki wzajemnej pracy, w istocie jednak każdy człowiek myśli wciąż tylko jeszcze o sobie i o własnej obronie, tak, że pośród całego olbrzymiego zjednoczenia rąk i dusz panuje dziś straszliwe odosobnienie i bandytyzm: społeczność ludzka zaczyna się dopiero tam, gdzie współczucie jednego człowieka wkrada się w domostwo drugiego, gdzie myśl jednego przetwarza zagadkę życia drugiego, gdzie wyobraźnia jednego nie uważa za rzecz zbyt błahą, by wzywać się i odtwarzać w sobie wewnętrzny świat drugiego,—a wreszcie tam, gdzie godność jednego człowieka staje się czemś drogiem dla czci drugiego. Myśleć o drugim, dopuszczając

go do głosu i używać mu posłuchu może wydawać się rzeczą nader prostą i oschłą, a jednak dopiero przez takie wyjście z własnego ślimaczego domku otwiera serce swoje człowiek dla prawdziwej religji. I tylko w taki sposób tworzy się, utrzymuje i rozwija także prawdziwe państwo, nie zaś zapomocą wspaniałych aktów przemocy, w których jednostka lub cała klasa, oszłamiona swą potęgą i wiarą w siebie, stara się własny swój ograniczony sposób myślenia i odczuwania czynić miarą i prawem całego życia.

(Fr. W. Förster: „Chrystus a życie ludzkie”. 1926 r. Warszawa. Nakład Gebethnera, przekład J. Mirskiego).

SŁUŻBA WOJSKOWA

Służba wojskowa jest tak twarda i nieugięta, jak maska żelazna, kryjąca oblicze bezmiennego więźnia, — odciska swe piętno na twarzach wojowników, nadając im wyraz jednostajnej martwoty. Wspólna idea nadaje temu poważnemu zespołowi znamię majestatu: a tą ideą jest wyrzeczenie się siebie. Zaparcie się wojownika jest krzyżem cięższym od męczeńskich krzyżów: ten tylko, kto go dźwigał długie lata, zna całą jego wielkość i brzemię. Poświęcenie musi być najpiękniejszą rzeczą na świecie, skoro tyle piękna wydobywa z dusz ludzi prostych, ludzi, którzy częstokroć nie zdają sobie sprawy ze swej zasługi i z tajemniczych przeznaczeń swego życia. Ono to sprawia, że z pośród tych szeregów, zgębionych nudą i przymusem, wyłaniają się wielkie charaktery, może nieco sztucznie wytworzone, ale nawskroś szlachetne i wielkością rysów przypominające starożytne medale. Przekreślenie siebie, o którym wspomniałem, spoufalenie się ze śmiercią, całkowite wyrzeczenie się swobody myślenia i działania, zhamowanie ambicji, wreszcie niemożność gromadzenia bogactw—wszystko to wyrabia cnoty, o wiele rzadziej spotykane wśród innych warstw społecznych, żyjących swobodnie i czynnie. Charakter żołnierza jest naogół dobry, cierpliwy, pełen prostoty, posiada on także dużo cech dziecińczych, gdyż tryb życia w kompanjach przypomina szkołę. Sprawowanie bezwzględnej władzy wymaga od człowieka ustawicznego opanowania. Nie może rozmarszczyć czoła w obecności podwładnych, by nie dopuścić do spoufalenia, które naruszyłoby jego powagę. Odmawia sobie przyjemności swobodnej, przyjacielskiej pogawędki, w obawie odsłonięcia jakiejś słabości lub takich stron życia, które mogłyby dać zły przykład żołnierzom. Znałem oficerów, którzy nakazywali sobie milczenie na modłę trapistów; ich su-

rowe usta otwierały się tylko wtedy, kiedy trzeba było wydać rozkaz. Armja taka, jaką jest obecnie, przedstawia dla badacza ludzkości księgę pierwszorzędnej wartości. W wojsku człowiek uczy się przykładać rękę do wszystkiego, styka się z rzeczami najniższymi i najszczytniejszymi. Najwytworniejsi ludzie muszą zbliżka przypatrywać się życiu ubogich i współżyć z nimi, muszą wydzielać im czarny chleb i odważać rację mięsa. Niejeden bogaty panicz nie domyślałby się nawet, w jakich warunkach przez rok cały żyje prosty żołnierz, który dostaje na dzień 9 sol-dów i dzbanek świeżej wody i którego naładowany plecak kosztuje ojczyznę całych czterdzieści franków. Prostota obyczajów, ubóstwo z lekkim sercem znoszone przez całe zastępy młodzieży, życie pełne zdrowia i tężyzny, bez sztucznych form ugrzecznienia i bez sztucznej tkliwości, piętno męzkości, odbite na wszystkim, wreszcie jednostajność uczuć, narzucona przez dyscyplinę, wszystko to wytwarza więzy obyczajowe szorstkie, ale mocne, więzy, którym nie brak uroku, nieznanego w innych zawodach. Znałem oficerów tak namiętnie przywiązanych do wojskowego życia, że ilekroć musieli rozstać się z pułkiem chociażby na krótko, nuda opanowywała ich natychmiast i nieprze-stawała gnębić wśród najmiłszego dla nich otoczenia. Pułki to zakony wędrowne; obnoszą one ze sobą wszędzie swoje oby-czaje, nacechowane powagą, milczeniem, powściągliwością. W tych zakonach dochowuje się wiernie ślubów ubóstwa i posłuszeństwa, piętno, jakie ludzie z nich wynoszą, jest niezatarte — jak piętno klasztorne, to też do dziś dnia, ilekroć spotkam mundur pułku, w którym służyłem, serce uderza mi żywiej w piersi.

Wielkość i piękność rycerskiego rzemiosła są dwojake zasadzają się one zarówno na rozkazywaniu jak i na posłuchu. Ta pierwsza czynność całkowicie zewnętrzna, aktywna, błyskotliwa, dumna, samolubna i kapryśna, z dniem każdym będzie się stawała rzadszą i mniej pożądaną w miarę rozwoju cywilizacji i pokojowych dążeń; druga całkowicie wewnętrzna, biedna, ukryta, skromna i wierna, z dniem każdym będzie sobie zdobywała większe uznanie. Zdaje się, że dzisiaj, kiedy w ludzkości słabnie instynkt podboju, wielkość, jaką wnoszą podniosłe charaktery do rycerskiego rzemiosła, zasadza się nietyle na chwale orężnego czynu, ile na umiejętności znoszenia cierpień w milczeniu i na wy-trwałem wypełnianiu obowiązków, często wprost odrażających. Walka jest życiem wojska. Tam, gdzie się ona zaczyna, marzenie przemienia się w rzeczywistość, wiedza w wawrzyny sławy, niewola w zaszczytną służbę. Wojna wynagradza swą świętością wszystkie męczarnie, jakie niewolnicy armji ponoszą w okresach pokoju... U żołnierzy jakże często przejawiała się chęć oddania

się duszą i ciałem idei, potrzeba spalenia się w ofierze, pragnienie krzewienia własnym przykładem trudnej nauki szlachetnego cierpienia i mężnej śmierci...

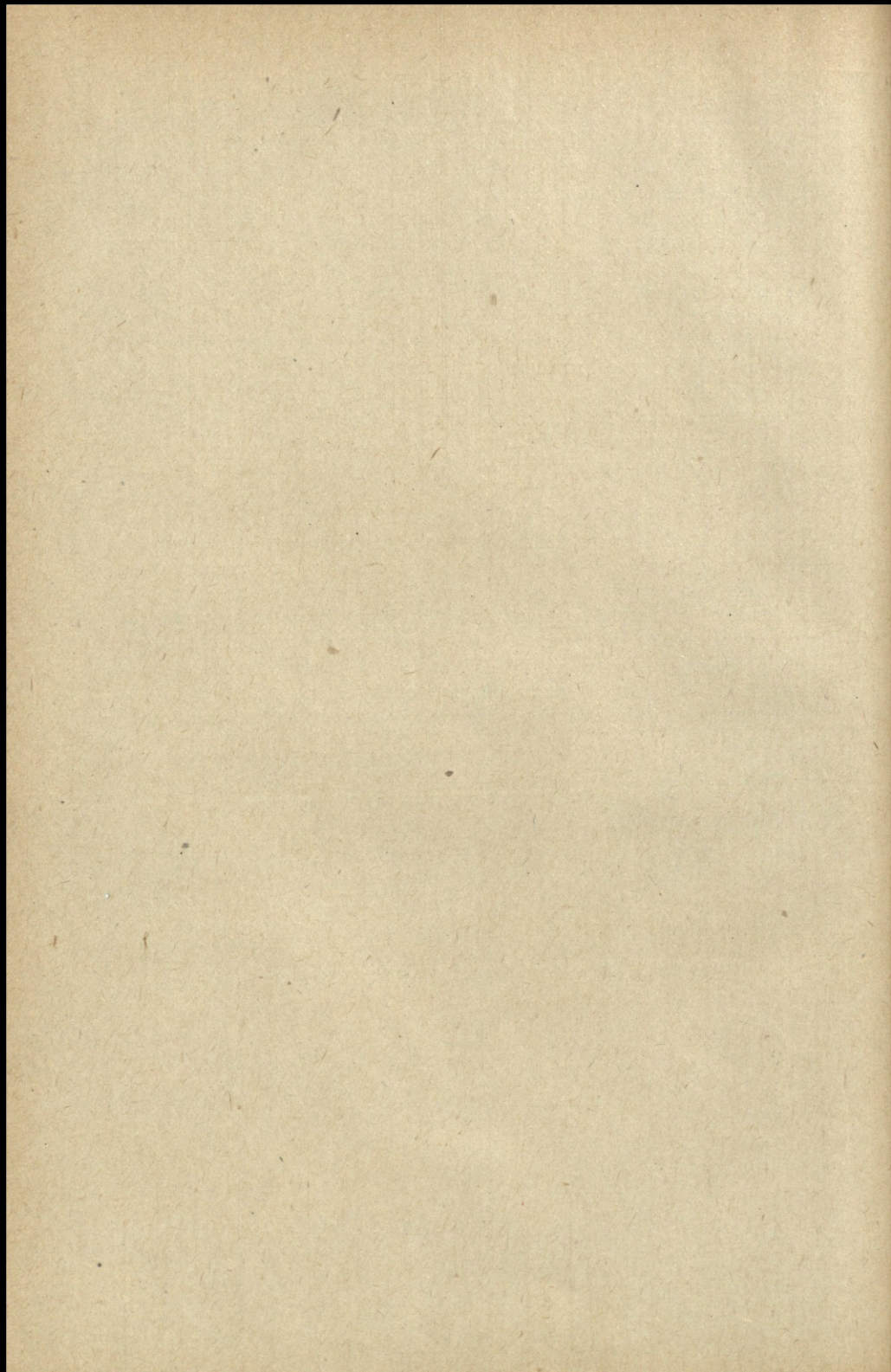
Niechże ludzkość po wsze czasy czci i uwielbia te całopalenia, składane w ofierze świętej idei;—ale czyż nie powinna ukochać także ofiar bezimiennych, ukrytych i niedocenionych, unikających nawet wzroku tych, dla których spełnione zostały i nieoczekujących nagrody żadnej, ani w niebie ani na ziemi? Wartość ich bywa tak bezcenna, że nie znam cnoty, którąbym śmiał porównać z milczącym i mężnym wyrzeczeniem się siebie.

Nim nastąpi epoka, w której ludzkość, wychodząc z okresu dzieciństwa, odrzuci od siebie okrutną zabawkę, nim się dokona to powolne a nieuniknione przeobrażenie ludzkich dusz, społeczeństwo winno wejrzeć w życie żołnierza i słodzić twardą jego dolę.

Każdy ma swoje słowo, które ceni, jak samo życie.

Ta zasada, która zdaje się być człowiekowi wrodzoną, do której nic go nie zmusza, prócz milczącego sprzysiężenia dusz, dochodzi do najwyższej potęgi, tam, gdzie ją w czyn wciela żołnierz. Podczas, gdy w ustach polityka słowo jest nieraz pustym dźwiękiem, w życiu wojskowego staje się straszliwym faktem; pierwszy rzuca je lekkomyślnie, drugi potwierdza je własną krwią: oto, w czym tkwi przyczyna powszechnej czci, jaka otacza żołnierza i bezwiednej pokory, z jaką wielu ludzi pochyla przed nim czoła.

A. de Vigny: „O niewoli i o wielkości służby wojskowej“. Lwów. Wyd. Ossolińskich. 1922 r.).



VII

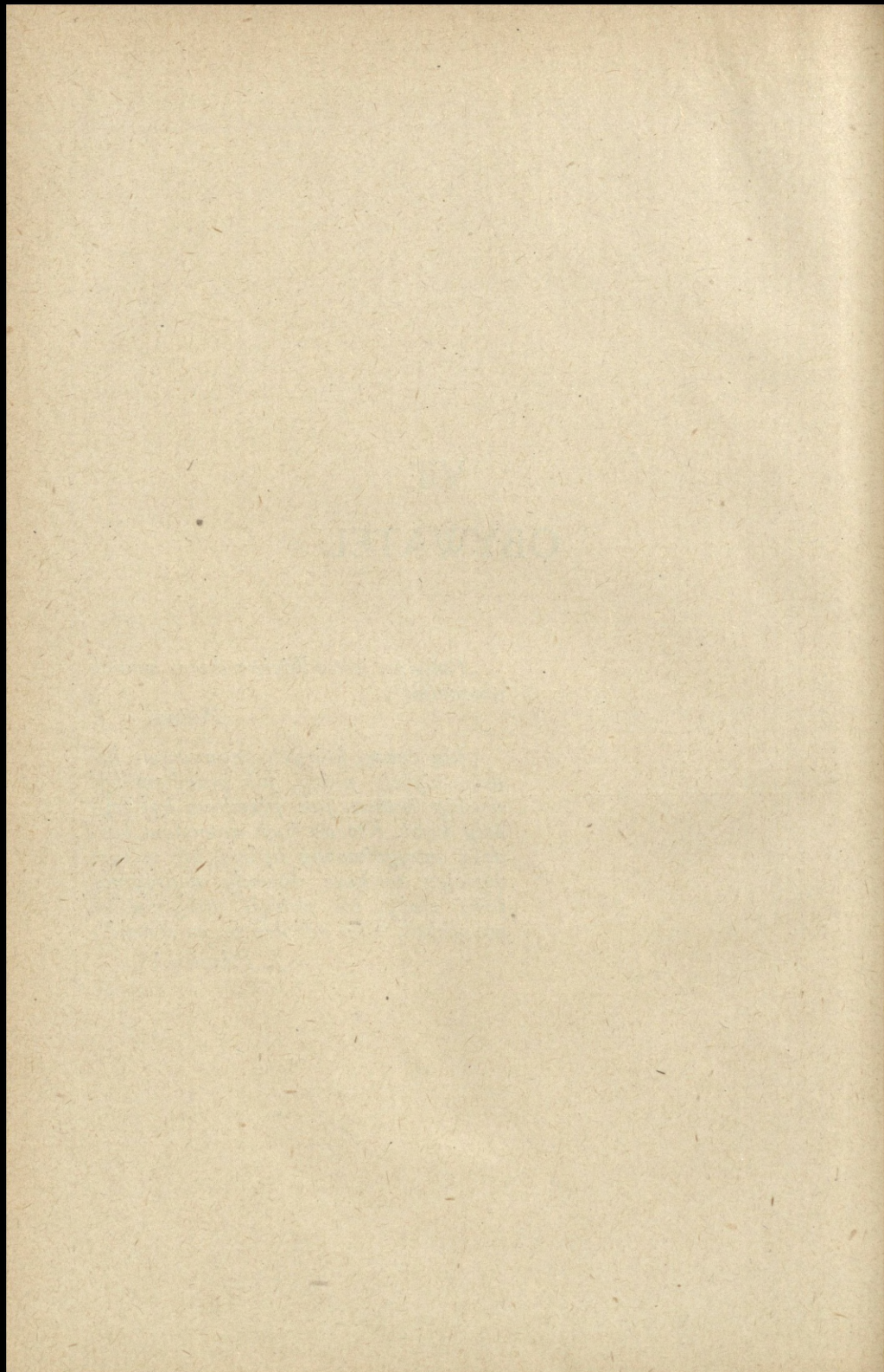
OBYWATEL

„Państwo jest odbiciem duszy swoich obywateli“.

Platon.

„Idą czasy, których znamię będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten potrafi utrzymać to, co zyskał, albo odrobić to, co stracił“.

J. Piłsudski.



OBYWATEL

...Rysowałem rozmaite fikcyjne postacie powieściowe, które zrzekają się swych magnackich fortun, ażeby uczynić dar dla narodu. Postacie te, różni Bodzantowie, Czarowice, Rudomscy, hrabiowie Wiesiołowscy, Nienascy et consortes — „wchodzili w lud, ażeby stać się ludem”. Tymczasem o miedzę od mglistej krainy wyobraźni, chodził piechotą albo trząsł się na góralskim wózku, jeździł trzecią klasą, albo biegał po Paryżu za interesami rodaków żywy człowiek, właśnie hrabia, — ba! i niebylejaki pan z panów, istny Bodzanta i Czarowic, Rudomski i Nienaski w jednej osobie, który w ciszy, w skrytości ducha przygotowywał, budował, kształtował swe wielkie dzieło przez długie — długie lata. Nikt go w zamysłach nie podtrzymywał. Przeciwnie, zrażali go wszyscy do powziętego zamysłu. Mówię o *Władysławie Zamoyskim*. Kiedy górale rąbali smreki w porębach na szczycie wysokim regli zimową porą, a było ich tam trzech, a czwarty „hrabia”, — którego rodacy z Głódówki zwali „władac polski”, gdy wszyscy czterej mieli srogą chętkę na zimnie i wietrze „zakurzyć”, hrabia nie dawał psuć zapalki, aż nadjedzie piąty gazda, co het precz, nisko w dole, ciągnął ze swemi saneczkami „do wirchu”. „Władac” żałował tego płomyczka ognia. Dopiero, gdy piąty wdarł się nierychło na górę, zepsuli zapalkę, potarli ją, rozniecili ogienek, zakurzyli. A kiedy konie dworskie wracały z Nowego Targu, dokąd papę drzewną, czy inny ciężar woziły, oglądał z latarnią, po nocy, kopyta, czy tam który gwóźdź z podkowy nie wypadł, czy lonik z osi nie zgubiony. Tysiące krążyło anegdot o tym „skąpcu” zaciekłym. Nie sypiał na pościeli, lecz zwój grubego sukna miał za poduszkę, materac i nakrycie, — mieszkał w jednej izdebce, obiadował przy stole swoich oficjalistów, jeździł trzecią klasą kolei, a w Paryżu godzinami wystawał, jako petent, u drzwi byle kogo, gdy chodziło o znalezienie pracy, zajęcia dla emigranta, robotnika, wędrowca. Ja sam, ileż to anegdot słyszałem — ach! i powtarzałem w gminnej niewiedzy o tym człowieku samotnym wśród ludzi!

A teraz się dopiero pokazało, że on oszczędzał tego płomyczka zapalki i strzegł zgubionego gwóźdź z podkowy nie dla siebie wcale, lecz dla skarbu Polski.

Teraz się pokazało, iż odmawiał sobie pościeli, wykwintnego stołu i drogich ubrań, gdyż jednego grosza ponad najniezbędniejszą konieczność nie ważył się ruszyć z majątku Polski. Mógłby był wdziać na się nie wiem jaki strój wspaniały, — mógłby był hulać, rozrzucać, używać, szastać pieniędzmi. Miał przecie skarby w ręku. Któż mu bronił owinać się nietylko w zbytek, lecz w niewidziany przez nikogo wykwint i niedostępny dla nikogo przepych.

Czemuż chodził jak góral w serdaku, a jak najzwyczajniejszy z oficjalistów w skromnem, pospolitem odzieniu? Oto dlatego, że przez całe swe życie hołdował jednej zasadzie: Polska jest w niewoli, jest uboga, przeto mnie nie wolno zmarnować jednego jej grosza. Zapomocą tej zasady służył ojczyźnie, którą pojmował, nie jako kraj zamieszkania, miejsce pobytu i teren swej władzy, lecz jako cnotę i prawo, jako niezłomną religię swej duszy. Szerzył oświatę, pracowitość, kulturę, nie zapomocą głoszenia haseł i zleceń, lecz osobiście, codziennie, nieustannie. Zalesił góry, które Niemcy opustoszyli z drzew, powiększył majątek rodowy poto, ażeby go w całości oddać krajowi, dla pełnienia tych zadań, które sam za życia praktykował. Jak za żywota hodował i miłował czyste dusze ludzkie i drzewa, taksamo hodować je będzie przez całą potomność, gdyż zmusił do tego wykonawców swego testamentu. Gdy cały świat wre od „walki klas”, gdy o posiadanie dóbr tego świata wylano w naszych oczach morze krwi winnej i niewinnej, gdy mowa jest o klasowem, towarzyskiem i indywidualnem podwyższaniu stopy życia i możliwości zażywania dosytu i zbytku, Władysław Zamoyski licytował stale swe prawo do posiadania in minus, aż doszedł do ustanowienia dla siebie takiej stopy, którą w barometrze naszego sposobu życia można oznaczyć jako 0. Nie był abnegatem, sobkiem, sknerą, zakonnikiem. Odzienie jego było czyste i porządne, — sposób życia jego był naturalny, możnaby rzec proletarjacki. Nie było zaś duszy ofiarniejszej, skłonniejszej do przyjścia z pomocą, gdy ktoś ginął, cierpiał prześladowanie, zarabiał się i upadał. Dla siebie to samego był „skapcem”.

Nie pozwolił nato, żeby jedna skaza znalazła się na czystości jego szaty duchowej, żeby jedna grudka błota ziemi przylgnęła do jego sandału. Zstąpił ze swych wyniosłych gór, od przezczystych jezior, z pomiędzy wirchów, jako ów święty Jan w zakopiańskim kościele, zwiastun Polski nowej, Polski z ducha. Przeszedł przez życie i przez góry — niziny, czysty, jak gronostaj, nie dotknięty niczem, co nasze walki, zmagania się, jady wyrzucają ze swej czeluści. Wiare swego życia, swoich pro-

stych dni zamknął w testamencie, który, jako wzór surowej cnoty polskiej, jako zwięzły akt woli, winien być czytany w szkołach narówni z arcydziełami wieszczów narodowych.

Człowiek wyzwolony z potrzeb, o które wszyscy dobijają się, a poczytujący własność swoją za własność ogółu, jest typem wyższym ponad komunizm, jest wzorem człowieka nowego, przyszłego. Odrzucił wyuzdanie motłochu, który przejada krwawicę pracowników wsi i miast, nastąpił stopą na rozpustę dorobkiewiczów, na roztrwonienie cudzego zarobku, owoców cudzego mozołu. Nie zostawił po sobie pism deklamatorskich, planów, projektów. Sam tylko nagi uczynek.

Nie widać wśród nas podobizn jego oblicza, jego oczu mądrych, przenikających, — jego twarzy i postaci, postaci hetmańskiej, wzoru i ideału szczepu Sarmatów. Spełniwszy swe zadanie, umarł niepostrzeżony, jak za życia. Ale teraz, kiedy jest mowa o unormowaniu naszego sposobu istnienia, ten człowiek i jego dzieło tak niepospolite winno być położone, jako podwalina nowego domu. Należy nam wpatrzeć się w to życie i uznać je za zasadę główną. Nie byłoby drożyzny, gdybyśmy mogli być do tego „skąpca“ podobni.

Ukazał on nam ideał prawdziwego postępu, ukazał nam w swem życiu tę bezcenną, szczerzotłą żyłę istotnego bogactwa, którem jest dobrowolne ubóstwo. Możemy wzbić się w dumę, iż taki dostojnik duchowy narodził się i przebył pośród nas, ku pożytkowi narodowej naszej kultury. . .

(Stefan Żeromski: „Bicze z piasku“. 1925 r. Warszawa. Wydawnictwo J. Mortkowicza.)

KU WYŻYNOM

.....Wszystkie obowiązki na świecie, wszelkie czynności, czy też obrzędy religijne, wszystko to jest tylko narzędziem do osiągnięcia Doskonałości, do zbliżenia się i Miłości Boga, do osiągnięcia więc jednocześnie szczęścia. W tej chwili pragnę gorąco umiłowania i zrozumienia całego powabu moich obowiązków i czynności, jakie leżą na mojej drodze, nadmiaru siły i ochoty, żeby zrobić to wszystko, co do mnie w życiu należy....

Postanowiłem sobie być wybitnym, najdoskonalszym lotnikiem. Mam do tego życzenia liczne powody. Przedewszystkiem jest to mój obowiązek wobec Boga, Polski, Matki, Ludzkości. Jeżeli co robić, to trzeba robić doskonale. A jak jeszcze czuję się daleki od mego ideału! Jednakże jestem pewny, że wszystko dobrze pójdzie. Już nieraz przekonałem się, że człowiek jest

pełen niespodzianek i wszelkich możliwości. Mój projekt życiowy na tem się zasadza: przedewszystkiem kochać Boga ze wszystkich sił i ludzi całym sercem; wszystkie moje czynności, dążenia i przekonania mają się na tem opierać. A cóż ja rozumiem przez miłość Boga i ludzi? Oprócz odpowiedniego uczucia — dążenie do doskonałości, współdziałanie w rozwoju Wszechświata, czyli wypełnianie wszystkich obowiązków,—udoskonalać się, kształcić, pomagać ludziom w dążeniu do dobra, szerzeniu rozwoju nauki, przemysłu w Polsce i na całej ziemi. Jednem słowem, że nie mogę żyć dla zmysłów, lecz dla Prawdy, dla Słońca....

Żeby spełnić moje zamiary muszę być swobodnym, wesołym. Aby być pożytecznym Polsce, muszę być doskonałym w jakimś fachu, a więc muszę być w wyższym stylu lotnikiem. Muszę odrzucić wszystkie myśli i przyzwyczajenia, które mi przeszkadzają, żeby zostać wspaniałym lotnikiem. Jest to, co prawda, rzecz ryzykowna, chodzi o życie, ale robię to dla Boga: do niego należy moje życie, nie potrzebuję się niczego bać, bo jeżeli mi się co przytrafi, to dla Boga to poniosę...

... Dla mnie miłość to potęga społeczności, rządząca całym światem i dająca wszystkiemu życie, energję i wszystko potrzebne do rozwoju. Powinienem więc być jej pomocnikiem, sługą, czerpiącym z niej całą siłę i rozprzestrzeniającym ją wszędzie, gdzie tylko można. Prawdziwa miłość odrazu dobrze wynagradza tych, którzy jej służą. Ale jak się jej służy? Przedewszystkiem muszę zawsze o niej pamiętać, zawsze ją używać i posługiwać się nią, jak bronią. A więc o wszystkich ludziach złych i dobrych, usposobionych względem mnie przyjaźnie lub wrogo, myśleć zawsze życzliwie. Dobrych poprostu kochać, mieć do nich zaufanie a niepewnym i złym życzyć z całego serca poprawy, odnalezienia właściwej drogi i zmiany warunków życia. Uczucie życzliwości wytwarza pewność siebie, swobodę w obcowaniu z ludźmi, naturalność i szczerość. Uczucie przyjaźni wytwarza przyjaźń—wobec ludzi, którzy są dla nas pełni sympatji, jesteśmy prości i swobodni. Bardzo często mi się zdarzało zbliżać do ludzi z uczuciem nieufności, uprzedzenia i ostrożności. W odpowiedzi byłem traktowany oficjalnie i nieprzychylnie, na czem dużo traciłem.

Jak chcę zachowywać się wobec ludzi:

Być zawsze sobą, pamiętać, poco się żyje, do czego się dąży...

Ludzi się nie bać, pamiętać swej niezawisłości od innych.

Być zawsze swobodnym, szczerym i pewnym siebie.

Pamiętać, że wszyscy ludzie są równi i przed nikim nie uniażać się, nie czcić i nie traktować zgóry.

Pamiętać, że nikt nie może zaszkodzić, o ile jest się samemu w porządku. Być względem ludzi śmiałym, stanowczym i energicznym. Nie liczyć na nikogo. Nie prosić o nic i jaknajmniej potrzebować...

Człowiek powinien zabierać się do każdej rzeczy z pewnością bezwzględną zupełnego zwycięstwa.

Starać się wszystko robić doskonale, myśleć o udoskonaleniu, uproszczeniu i ułatwieniu każdej czynności: Poczem poznać, czy się doskonale wypełnia „jakąś czynność”? Musi się ją kochać, musi robić ona przyjemność i budzić chęć do wykonania jej jak najlepiej. Powodzenie odpowiada ściśle energii i intensywności naszych usiłowań...

(Antoni Scheur: „Pamiętnik Pilota Polskiego“. Warszawa. Nakład Gebethnera. 1922 r.)

OBOWIĄZEK

Mając od czterdziestu lat do czynienia z wojną i morzem, ten zadziwiający człowiek nie przestawał zgłębiać swej wiedzy w obu tych zakresach. Noce spędzał w pełnym umundurowaniu, siedząc na armacie; nie odrywał myśli od zawiłych rachunków, obliczał, w jaki sposób utrzymać okręt na straży, w zupełnej nieruchomości, bez zapuszczania kotwicy, pośród burz i wichrów;— nie przestawał ćwiczyć załogi, czuwać nad nią i myśleć o jej potrzebach. Przez całe życie nie zaznał nigdy dostatku i podczas, gdy w kraju mianowano go parom Anglii, on jadał z cynowej misy, jak majtek, a w wolnych chwilach schodził do swej izdebki, by tam dać folgę ojcowskiemu sercu: pisał do córek, aby nie były „pustemi pannami”, by miasto romansów czytały opisy podróży i dzieła Szekspira. Przychodziły jednak okresy, w których czuł, że zdrowie jego słabnie, zwracał się wtedy do Anglii, prosząc o miłosierdzie, ale nieugięta władczyni miała jedną tylko odpowiedź: „Pozostaniesz na morzu”— i przesyłała mu nową godność lub medal złoty, a tych odznak miał już tyle, że pierś jego ugięła się pod ich ciężarem. Pisał jeszcze: „Odkąd opuściłem mój kraj, nie zawiąłem do portu na dłużej, jak na dziesięć dni. Wzrok mój słabnie i zanim mi będzie dane zobaczyć moje dzieci, morze wygryzie mi oczy do reszty. Czyż być może, by nie znalazł się wśród oficerów ani jeden człowiek biegły, któryby mnie mógł zastąpić?” Anglija odpowiadała: „Pozostaniesz na morzu, zawsze na morzu”. I pozostał na morzu do śmierci. To życie godne Rzymianina, życie, oparte na świadomym wyrzeczeniu się siebie, przyniatało

wprost swą wielkością, wzruszało swoją prostotą. Widok prawdziwego obywatela, oddającego swe życie obowiązkowi i ojczyźnie, daje poznać, na czym polega wielkość wojennego rzemiosła. Nie spotkałem człowieka, któryby osiągnął tak wysoki stopień wewnętrznego spokoju, wypływającego z poczucia obowiązku. Osobista sława była dla niego niczem, wszystkim zaś: powodzenie sprawy ojczystej. Kiedyś napisał te słowa: „Utrzymanie niepodległości mego kraju jest pierwszym celem mego życia — i wolę, aby moje ciało było rzucone na szaniec ojczyzny, niż obnoszone z nieużyteczną pompą pośród próżniaczego tłumu”. Wkrótce potem doszła mnie wieść o jego śmierci. Umarł na pełnym morzu tak, jak żył przez lat czterdzieści dziewięć, nie skarżąc się, ani nie chępiąc, — nie zobaczywszy już swoich dwóch córek. Odszedł samotny i posępny, podobny do tych dogów Osjana, strzegących wieczyście wybrzeży Anglii, pośród mgieł i łoskotu fal. W jego twardej szkole zmierzyłem ogrom męki wojennego wygnania i zrozumiałem, czego dokonać może w wielkiem sercu poczucie obowiązku, zrozumiałem, że jest na świecie jedna rzecz piękniejsza od rodziny i zasługująca na poświęcenie jej nawet tej ostatniej — a tą jest: Ojczyzna.

(Alfred de Vigny: „O niewoli i o wielkości służby wojskowej”. Przekład J. Sienkiewiczówny, Lwów. Wyd. Ossolińskich, 1922 r.).

NAKAZ BEZWZGŁEDNY

Idź i walcz. Życie — jeden wielki bój.
A każdy człowiek, jeśli nie swój los,
To zawsze w sercu niesie sztandar swój.

Czy śmiech triumfu sędzon ci, czy płacz,
Jaka bądź broń twa, duch, czy władna pięść,
Czyś wódz, czy żołnierz, czynem krok twój znac.

Bo kiedy domu buduje się zrąb,
We wielkiem dziele każdy ma swą część,
Czy kamień polny czy podniebny dąb.

Idź i walcz. Ziemską miarą nie mierz sił,
Ani nie pytaj, jaki kres twych dróg,
Ani się nigdy nie oglądaj wtył.

Walcz i idź naprzód, gdy każe ja, Bóg.
I co uczynić przykazano, czyn!
A gdy ci ginąć przykazano, giń!

(Jan Pascoli: Z poematu „Mazzini”).

KARNOŚĆ OBYWATELSKA

...Książę, wódz — zwycięzca, leżał w prochu, w swojej kwaterze, przed krucyfiksem i toczył jedną z najcięższych walk w swem życiu.

Straże na zamku zbaraskim obwoływały północ, a Jeremi ciągle jeszcze rozmawiał z Bogiem i z własną duszą wyniosłą. Rozum, sumienie, miłość dla ojczyzny, duma, poczucie własnej siły i wielkich przeznaczeń zmieniły się w jego piersi w zapaśników i wiodły ze sobą bój zacięty, od którego pękała pierś, pękała głowa i ból targał wszystkie jego członki. Oto wbrew woli prymasa, kanclerza, senatu, regimentarzędów, wbrew woli rządu szły do tego zwycięzcy wojska kwarciarne, szlachta, cudze chorągwie prywatne, słowem: cała Rzeczpospolita oddawała mu się w ręce, uciekała się pod jego skrzydła — losy swoje powierzała jego genjuszowi i przez najlepszych swych synów wołała: „ratuj, bo ty jeden ratować możesz”! Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, a pod Zbarażem stanie sto tysięcy wojowników, gotowych na bój śmiertelny ze smokiem wojny domowej. Tu obrazy przyszłości, oblane jakimś niezmiernem światłem sławy i potęgi, poczęły się przesuwac przed oczyma kniazia. Zadrzą ci, którzy go pominąć i upokorzyć chcieli — a on porwie te żelazne hufce rycerstwa i powiedzie je w stepy ukraińskie do takich zwycięstw, do takich triumfów, o jakich dzieje jeszcze nie słyszały. I kniaź czuje w sobie siłę odpowiednią — z ramion strzelają mu skrzydła, jakby skrzydła świętego Michała Archanioła. Oto zmienia się w tej chwili w jakiegoś olbrzyma, którego zamek cały, cały Zbaraż, cała Ruś objąć nie może. Na Boga! on zetrze Chmielnickiego! on zdepce bunt — on spokój ojczyźnie powróci! Widzi rozległe błonia, krocie wojsk, słyszy huk armat, bitwa! bitwa! pogrom niesłychany, niebywały! Krocie ciał, krocie chorągwi zaścietają step zboczony, a on tratuje po cielsku Chmielnickiego. Trąby grają zwycięstwo, a głos leci od mórż do mórż.... Kniaź zrywa się i ręce do Chrystusa wyciąga, a naokół jego głowy płonie jakieś czerwone światło: „Chryste! Chryste! — woła — ty wiesz! ty widzisz, iż ja to uczynić potrafię, rzeknij mi, iżem powinien!”...

Kto ma siłę? — On jeden — nikt więcej! — Do niego idzie szlachta, do niego ściągają wojska, w jego ręku miecz Rzeczypospolitej! Przecież Rzeczpospolita, nawet, gdy pan jest na tronie, a cóż dopiero, gdy pana niema, rządzi wola tegoż narodu. Ona — to suprema lex! A wypowiada się nietylko na sejmach, nietylko przez posłów, senat i kanclerzy, nietylko przez pisane prawa i manifesty, ale jeszcze silniej, jeszcze dobitniej,

jeszcze wyraźniej — czynem. Kto tu rządzi? stan rycerski — a oto ten stan rycerski ściąga się do Zbaraża i mówi mu: tyś jest wodzem! Cała Rzeczpospolita bez wotów władzę mu oddaje, siłą faktów, i powtarza: tyś jest wodzem! I on miałby się cofać? Jakieżże jeszcze nominacji potrzebuje? Od kogo ma jej czekać? Czy od tych, którzy Rzeczpospolitą zgubić, a jego upokorzyć usiłują?

Za co? za co? Czy za to, że, gdy wszystkich ogarnęła panika, że, gdy hetmani w jassy poszli, wojska zginęły, panowie kryli się po zamkach, a kozak postawił nogę na piersi Rzeczypospolitej, on jeden tylko zepchnął tę stopę i podnosi z prochu zemdlałą głowę tej matki — poświęcił dla niej wszystko, życie, fortunę, uratował od hańby, od śmierci — on zwycięzca. Kto zasłużeńszy, niech bierze władzę! Komu się słuszniej należy, niech w tego rękach spocznie.

Ale, gdy nie masz nikogo takiego, po dwakroć i trzykroć byłby dziecięciem, nie mężem, gdyby tej władzy, tej słonecznej drogi, tej świetnej ogromnej przyszłości — w której jest ratunek Rzeczypospolitej, jej sława, potęga, szczęście — miał się wyrzekać. I dlaczego?

Dlaczego? Bohater skronie rozpalone rękoma przycisnął... Może i jest odpowiedź. Co znaczą te głosy, które wśród złotych i tęczowych widzeń sławy, wśród szumu przyszłych zwycięstw, wśród przeczuć wielkości i potęgi, tak nieubłaganie wołają mu do duszy: „ach! stój nieszczęsny!” Co znaczy ów niepokój, który nieustraszoną pierś jego dreszczem jakiejś trwogi przejmuje? Co znaczy, że, gdy on najjaśniej i najdowodniej okazuje sobie, że władzę wziąć powinien, coś szepce mu tam w przepaściach sumienia: „sam się łudzisz, duma cię uwodzi, szatan pychy królestwo ci obiecuje!”

Co czyni szlachta, która do niego, zamiast do regimentarzów, ciągnie? Prawo depce. Co czyni wojsko? Dyscyplinę łamie. I on, obywatel, on, żołnierz, ma stawać na czele bezprawia? ma je swą powagą okrywać? ma pierwszy dawać przykład niekarności, samowoli, nieposzanowania praw? straszliwy przykład wiekom potomnym? Cóż bowiem się stanie? Dziś tak uczyni Wiśniowiecki, jutro Konięcpolski, Potocki, Firlej, Zamoyski lub Lubomirski! A gdy każdy bez uwagi na prawo i karność, gwoli własnej ambicji, działać rozpocznie? Jakaż to przyszłość czeka ów kraj nieszczęsny. Robactwo samowoli, nierząd, prywaty toczą już i tak pierś tej Rzeczypospolitej; pod siekierą wojny domowej próchno się sypie, uschłe gałęzie z drzewa odpadają — co się stanie, gdy ci, którzy chronić je powinni i strzec, jak żrenicy oka — sami ogień podkładać będą? Co się stanie?

Chmielnicki też dobrem publicznem się osłania i nie czyni nic innego, jeno przeciw prawu i zwierzchności powstaje.

Kniazia dreszcz przeszedł od stóp do głów. Ręce załamał: „Zali ja mam być drugim Chmielnickim — o Chrystel!”

A przytem, czy to Chmielnicki jest największym i najgroźniejszym wrogiem tej Rzeczypospolitej? Wszak nieraz biły w nią jeszcze większe potęgi! Wszak, gdy dwieście tysięcy żelaznych Niemców szło pod Grunwaldem na pułki Jagiełłowe, gdy pod Chocimem pół Azji stanęło do boju, zguba jeszcze bliższa się zdawała — a cóż się stało z temi wrogami potęgami? Nie! Rzeczypospolita wojen się nie lęka i nie wojny ją zgubią!

Ale czemuż to wobec takich zwycięstw, takiej utajonej siły, takiej sławy, ona, która pogromiła Krzyżaków i Turków... taka jest słaba i niedołężna, że przed jednym Krzyżakiem przyklęka? Że sąsiedzi rzną jej granice, że wyśmiewają ją narody, że głosu jej nikt nie słucha, a wszyscy zgubę jej przewidują?

Ach! To właśnie duma i ambicja magnatów, to czyny na własną rękę, to samowola tego przyczyną. Wróg najgorszy, to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, rozterki, zamęt, prywata — niekarność przedewszystkiem. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak pierwsza burza je zwali — ale parrycyda ten, kto do takiej roboty ręce przykładą, przeklęty ten, kto przykład daje, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia. Strach, rozpacz i obłąkanie wybiło się na twarzy kniazia... Krzyknął okropnie i, chwyciwszy się rękami za czuprynę, padł w proch przed Chrystusem...

...Różana jutrznia wstała już na niebie, a potem przyszło złote słońce i oświeciło salę. W gzymsach począł się świergot wróbli i jaskółek. Książ wstał i poszedł zbudzić pacholika, śpiącego z drugiej strony drzwi.

— Biegaj — rzekł mu — do ordynansowych i każ im zwołać tu do mnie pułkowników, którzy stoją w zamku i w mieście, tak kwarcianych, jak i z pospolitego ruszenia.

Dwie godziny później sala poczęła się napełniać wąsatemi i brodatemi postaciami wojowników...

Brzmiały szmery rozmów i szumiało jak w ulu, a wszystkie oczy były zwrócone na drzwi, przez które miał się książę ukazać.

Wtem umilkło wszystko. Książę wszedł. Twarz miał spokojną, pogodną i tylko zaczerwienione bezsennością oczy i ściągnięte rysy świadczyły o przebytej walce. Ale przez ową pogodę, a nawet słodycz, przebiła się powaga i nieugięta wola.

— Mości panowie! — rzekł. — Dzisiejszej nocy rozmawiałem z Bogiem i własnem sumieniem, co mnie uczynić należy: oznaj-

muję przeto waszmościom, a wy oznajmijcie całemu rycerstwu,— iż dla dobra ojczyzny i zgody potrzebnej w czasach klęski, podaję się pod komendę regimentarzów.

Gluche milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

{H. Sienkiewicz: „Ogniem i Mieczem”, t. II-gi. Warszawa, 1884 r. Wyd. Szulca i S-ki}.

O WYKSZTAŁCENIU POLITYCZNYM

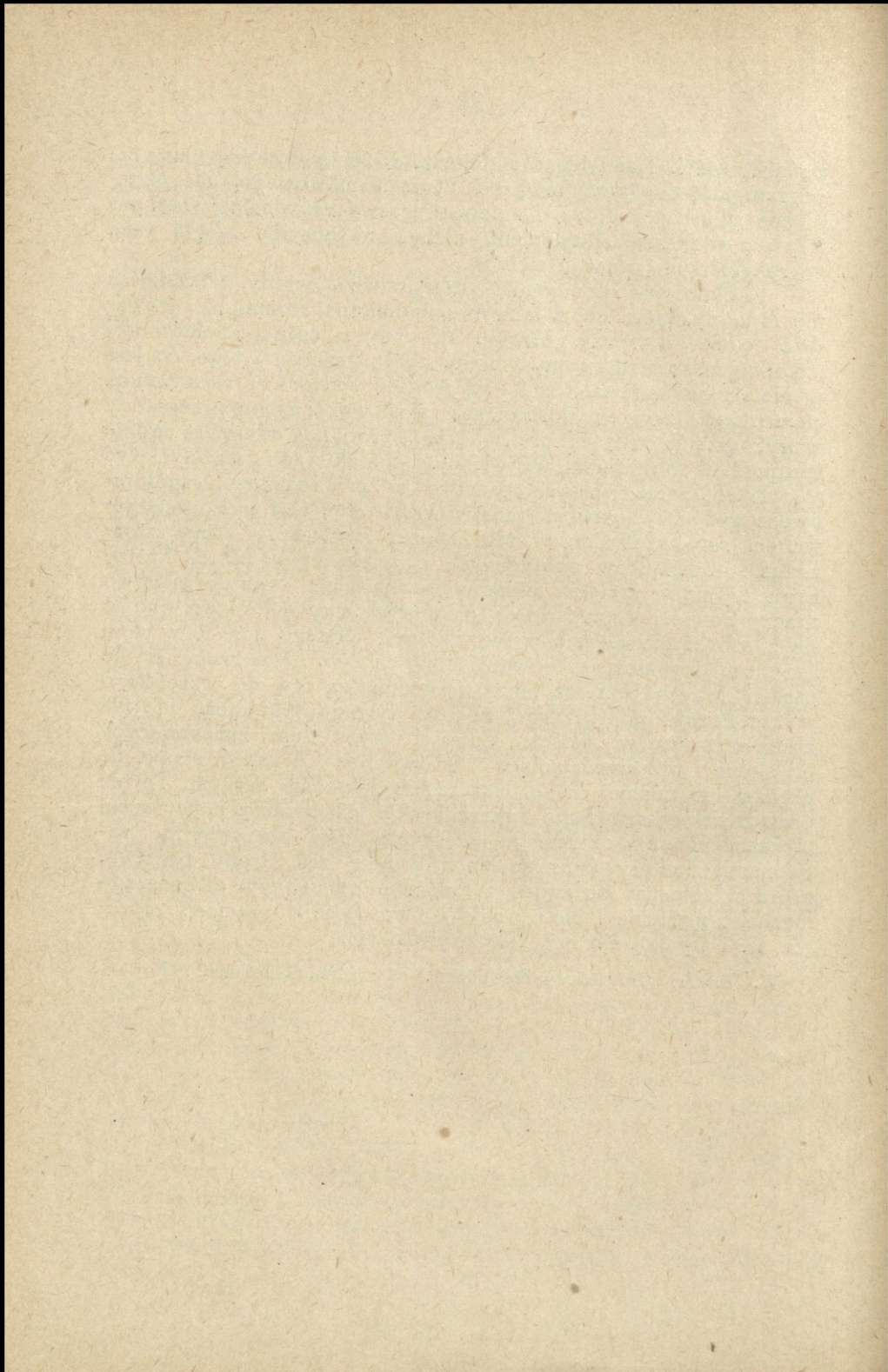
— „Co wyobrażasz sobie przez wykształcenie polityczne? Z odpowiedzi twej poznam najlepiej, w czym mogłabym cię pouczyć?”

— „Wykształcenie polityczne—odrzekła dziewczyna—sądzę, że jest to nauka o ustroju, podatkach, prawach, stronnictwach, kwestjach robotniczych, prawie i t. d.”— „Doskonale” — odpowiedziała przełożona. A teraz pomyśl, że wchodzisz naprawdę w ten wir faktów i mniemań — czy już na samą myśl o tem nie doznajesz zawrotu głowy? Wszystko to, co przytoczyłaś, należy rzeczywiście do wykształcenia politycznego, ale to tylko zewnętrzny aparat, służący żywemu życiu, życie zaś samo to owe z gruntu odmienne i rozbieżne interesy ludzkie, światopoglądy i mniemania, które wszystkie połączyć trzeba w jedną wspólność losów. To też istota państwa polega właśnie na tem jednoczeniu elementów różnych i sprzecznych. Prawdziwa zaś sztuka rządzenia państwem polega na tem, aby w należytej mierze uwzględniać każdy z tych kręgów życia, a równocześnie czuwać nad tem, by żadna z tych poszczególnych grup nie zapominała o dobru całości i o tem, że musi się starać o nieustanne godzenie własnych praw z prawami innych grup. A teraz uświadom sobie, jaką szkołę wykształcenia politycznego stanowi taki krąg zamknięty różnych charakterów i temperamentów, jaki znajdujesz tu w klasztorze. Możesz się tu nauczyć, jak żyć w prawdziwym pokoju z ludźmi o odmiennem od twego usposobieniu i możesz tu w ciszy uświadomić sobie ową bezmierną różnorodność charakterów ludzkich, możesz uprzytomnić sobie, jak wszystkie niemal właściwości ludzkiego charakteru stanowią nader cenne uzupełnienie własnej twej istoty. Im bardziej zaś uświadomimy to sobie, tem łatwiej przyjdzie nam być sprawiedliwymi wobec bliźnich i każdemu z nich oddawać to, co mu się należy w każdej chwili i miejscu, w każdym o nim sądzie i w naszych najtajniejszych myślach o nim; dopiero w ten sposób zakładamy państwo we własnej duszy, wyzbywamy się nietolerancji, która nie pozwala nam widzieć niczego poza stroną zewnętrzną, wychodzimy poza ciasny egoizm, wrogi wszelkiej

państwowości. Tak więc oto pojmujesz, że te wysokie mury nie odgraniczają cię bynajmniej od życia państwowego, ale przeciwnie zmuszają cię, byś na pewne sprawy zasadniczej wagi pa-trzyła z większem skupieniem, niżbyś to uczynić mogła tam, na rozgłośnym jarmarku świata.

A skoro już raz ujmiesz istotę rzeczy, wtedy posiądziesz nieć Arjadny, która cię z labiryntu nadmiernej różnaitości prowadzić będzie do rzeczy głównej. Tu w tej milczącej społeczności zakonnej masz przed sobą widomy obraz państwa i tego, co jest w niem najistotniejsze, t. j. ową *jedność różnych i sprzecznych elementów*, a zarazem dostrzegasz także wokół siebie przeszkody w wytwarzaniu owej jedności, a ilekroć sprobujesz odkryć te ogólne trudności w sobie samej, we własnym charakterze i przewyciężyć je, tylekroć sama tworzysz „państwo” w życiu ludzkim, współpracujesz nad zwycięstwem państwowego ładu, nad nieuporządkowaniem samolubstwem; w taki sposób wnikaś w samą istotę zadań i obowiązków politycznych o wiele lepiej, niż ci, którzy zatracają się w zamęcie aktualnych zagadnień. Tworzyć państwo znaczy bowiem: *czynić sobie wzajemnie sprawiedliwość*, godzić się z sobą i wcielać się w ład ogólny. Dlatego też cichy dom boży jest ośrodkiem wychowania politycznego. Obserwując siebie samą i innych poznasz także najważniejszą prawdę wszelkiego wykształcenia politycznego, że bez żywego Chrystusa nic nie zdoła utrzymać w miłości i jedności owych dusz, zmierzających od siebie i przeciwko sobie. Państwo bez Chrystusa stanie się prędzej lub później dziką puszczą lub zakładem karnym. To też prawdziwe wykształcenie chrześcijańskie jest zarazem najwyższem wykształceniem politycznem, wyświełlającym poszczególne zagadnienia kultury państwowej, z drugiej zaś strony państwo, które skłania nas do zgody z ludźmi o odmiennym od naszego kierunku myślenia i woli, pomaga nam dojść do samowyrzeczenia się i wychowuje nas ku Chrystusowi”.

(W. Förster: „Chrystus a życie ludzkie.” Warszawa. Gebethner. 1926 r.)



VIII

SŁUŻBA SPOŁECZNA

*„Służba społeczna, to Boża służba—
kto jej nie pełni, jest ciężarem ziemi”.*

A. Cieszkowski

*„Przy pomocy prawa wychowywać
można masy narodowe w kierunku
stopniowego powszechnego uspołecznie-
nia psychiki, wszechludzkiej solidarno-
ści i gotowości służenia sprawie po-
wszechnej bez specjalnych kar i nagród”.*

L. Petrażycki

THE
JOURNAL
OF
THE
AMERICAN
MEDICAL ASSOCIATION
PUBLISHED WEEKLY
CHICAGO, ILL.
1914

STANISŁAW STASZIC

„Przekonałem się, że tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, jest szczęściem dla ludzi, z nimi bowiem ma człowiek najmiłsze związki przez wrodzoną mu ludzkość. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi. Przeto tylko najlepiej postępuje do celu swojego — Stwórca, kto przez ciąg swego życia poprawi los, powiększy szczęśliwość drugich ludzi. Ten zaś, kto przez swoje czyny poprawi i udoskonali los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swojego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary, jakie Najwyższe Jestestwo w jego stworzeniu założyło.”

Tak pisał w swej autobiografii ks. Stanisław Staszic. Ten, który spełnił swoje przeznaczenie, jako człowiek wielki. Historia wystawia mu świadectwo wielkości dlatego, że z dzieła jego żywota po wielu latach, w innej już niepodobnej do jego czasów epoce, wciąż jeszcze bije światło myśli i uczucia, wciąż płynie nauka żywa, mądrości pełna i pokoleniom następnym potrzebna. Był wielki we wzniesieniu się ponad własne czasy. Nie cofał się przed żadnym politycznym, społecznym i obyczajowym tabu. Był płomiennym reformatorem i podważał tradycją uświęcone „w umysłach zastarzałych” pojęcia. Był apostołem postępu.

„Kto utrzymuje — pisał — że rządy, prawa, obyczaje są narodowością i przeto równie jak narodowość powinny być nieetykalne, zawsze jedne, stałe i na wieki te same, ten utrzymuje tak wielki nierozsądek, jak ów Tatar lub Turczyn, co od swych przodków wzięty oręż za swą narodowość mając, tego, by narodowości nie utracić, opornie zmienić nie chce, a tak nierozmyślnie wychodzi z łukami i strzałami na terazniejsze armaty i bomby”.

Jako siewca postępu, słusznie ojcem demokracji polskiej zwany, rozwałił twierdze przesądów stanowych, ukazując krzywdy stąd płynące. Nie cofał się przed oskarżeniem najbardziej dotkliwym. „Powiem — wołał — kto mojej ojczyźnie szkodził: z samych panów zguba Polaków. Oni to zamienili Rzeczypospolitą obywateli w Rzeczypospolitą łupieżców, zdrajców i jurgieltników.” Staszic pierwszy z mocą bronił zasady równości obywatelskiej wszystkich klas społecznych. Wynikało to z jego poglądów re-

ligijnych i etycznych. W „Uwagach nad Życiem Jana Zamoyskiego” pisze, że „człowiek względem drugiego ani samowładcą, ani niewolnikiem być nie powinien, gdyż jeden Bóg i społeczeństwo są względem człowieka samowładcami, a człowiek względem nich jest rzeczą nieskończenie małą.” Z tego stanowiska rozpatruje wszystkie zagadnienia życia zbiorowego i rewiduje poglądy panujące. Jak odważna jest ta rewizja w ówczesnych warunkach, świadczą uwagi Staszica o pojęciu własności, wypowiedziane w dziele „Przestrogi dla Polski.” I prawo własności musi się również podporządkować prawu dobra powszechnego.

„W każdym, czyli prawem, czyli gwałtownem towarzystwie dobro powszechne jest dobrem najwyższem i wszelkie partykularne dobra nie mogą zwiększać się, tylko dopokąd dobru powszechnemu nie szkodzą.” Prawdziwy przyjaciel ludzkości, z troską największą myślał przedewszystkiem o niedoli mas ludowych, o człowieku ciężko pracującym i o krzywdach społecznego ustroju.

...Gdzie ratunek? Ratunek w zrozumieniu, że trzeba powiększać dobro powszechne wszystkich warstw społecznych. Zaleca pracę wychowawczą, w której moc przeistaczającą wierzy. Sprawie wychowania wiele uwagi poświęcił, największy kładąc nacisk na kształcenie charakteru. Wychowanie nie da człowiekowi „władz genialnych” i najlepiej wychowany nie zawsze stanie się Newtonem, ale zawsze może być Tytusem albo Neronem.” Pierwszem przykazaniem wychowania nauka moralna: „Ponieważ człowiek człowiekowi najprędzej szkodzić może, dlatego edukacja obywatela najpierw dać mu poznać ludzi powinna, z którymi żyć musi. Tę naukę nazywam moralną. Nauka moralna ze wszystkich najpierwsza.”

Prócz tedy wszystkich doraźnych reform w rzeczach skarbu, wojska i gospodarki społecznej, zaleca Staszic troskę o ducha młodzieży, której powierza swoje nadzieje i rady: „Jeżeli te prawdy, ode mnie ogłoszone, padną nieużytecznie na umysły zastarzałych w złem wychowaniu, w nałogach, w bezprawiu, wytłumaczcie je, wpajajcie w miękie serca jeszcze cnotliwej młodzieży.”

Staszic zastanawiał się również nad naprawą ciał ustawodawczych. „Reprezentantów wybory — pisze on — działy się dotąd przez kupy, gminy, gromady zjazdów i rycerskie koła.” A więc do „ważnych, tyle światła potrzebujących, czynności wszędzie tłum wybierał osoby w tłumie.. Tak wybrani mieli układać zasady konstytucyjne narodu, stanowić o losie i szczęściu kraju, mieli sądzić o rzeczach, których całkiem nie znali, mieli stanowić o najważniejszych przedmiotach, do których zważania długiego doświadczenia potrzeba.” Przytem sposób ten „jest albo wypadków ślepym trafem, albo dumy lub intryg dziełem.”

By to zło usunąć, Staszic proponuje zmianę systemu wyborczego. Posłów wybierać powinny „instytucje cywilizacyjne”, by każdy poseł posiadał „swojej instytucji właściwe umiejętności.” Zaleca reprezentację interesów poszczególnych grup gospodarczych i kulturalnych.

„Naturalna dążność człowieka do łączenia się z innymi — pisze Staszic — w rozwijaniu się pierwiastkowej cywilizacji połączyła narody, połączyła też dalej pokolenia, klany i porobiła społeczeństwa większych narodów, ona w dalszej drodze, przy rozwijaniu się cywilizacji rodu ludzkiego, usiłuje połączyć i stowarzyszyć z sobą narody.”

(Józef Wasowski: „Wielkie czasy.” Warszawa 1928 r. Księg. Hoesicka).

W ZARANIU NOWEJ ERY SPOŁECZNEJ

Prawdziwe jądro życia nowego społeczeństwa tkwi w organizacjach i moralnych siłach, przejawiających się w pracy społecznej i w całości nowoczesnych usiłowań w kierunku opieki społecznej. Akcja ta wydaje się dziś jeszcze wprowadzić niesłychanie niepozorną, wszelako nie idzie tu o to, co już osiągnięto, lecz o ducha nowego, który przejawia się w tych zaczątkach, a ma spełnić największą misję dziejową w przekształceniu naszego porządku społecznego. Na czymże ten nowy duch polega? Polega on na czemś zupełnie różnem, niż owe powszechne uczucie solidarności w ruchu robotniczym — polega na owym całkiem osobistym stosunku duszy do duszy, na owym pogłębianiu poczucia odpowiedzialności, na owej przenikającej logice miłości, takiej, jak ona w nowym pojęciu „opieki społecznej” wyrazić się stara.

Tak tylko nawiążą się owe węzły między duszami, które stać się mogą zarodkiem nowego prawdziwego odrodzenia społecznego.

Słowa powyższe niechaj objaśni konkretny obraz. Gdy dziś przyjedzie się do kraju o tak wysoko rozwiniętej kulturze socjalnej jak Anglja i zapyta się, który z tych wszystkich nowych rozwojów społecznych przedstawia najwięcej nadziei rokującej początek nowej kultury społecznej, to odpowiedzieć wypadnie tak: początkiem tym nie są bynajmniej owe przepotężne organizacje robotnicze, albowiem w organizacjach tych nie żyje bynajmniej nowy duch społeczny, — widzimy w nich raczej stare jeszcze siły, stare błędy i stare cnoty walki społecznej. Jeszcze to wciąż jest stare państwo, tylko że państwo to przeszło z wyłącznej własności klas wyższych w ręce mas zorganizowa-

ných. Robotnicy stali się częścią państwa, mają w gabinecie swego ministra, stali się obywatelami, biorą żywy udział we wszystkich upojeniach narodowego ruchu sportowego, jak inne klasy; słowem widzimy gwałtowne tylko przesunięcie w ustosunkowaniu sił z góry na dół, lecz nie widzimy nic naprawdę nowego. Coś jednak zgoła nowego rodzi się w t. zw. „Homs” we wschodniej dzielnicy Londynu. Tu urzeczywistniają się owe wzniosłe i pocieszające słowa: „Patrz, oto chcę szukać tego, com utracił”. Sposób, w jaki w tych ciemnych dzielnicach zbawienna siła miłości prawdziwym cudem zaprzepaszczone dusze na światło znów wywodzi i chroni przed potęgą zgubnych środowisk, — oto coś w tej mierze zupełnie nowego i śmiało rzec można: „Tylko tu, gdzie szuka się tego, co utracone, gdzie ten, co już pewny i mocny, nachyla się ku temu, co w niebezpieczeństwie, — a wolny ku więźniowi, wychowany ku temu, co dąży naprzód, — tylko tu rodzi się nowe społeczeństwo, tu rozwijają się nowe siły duchowe, które mają w sobie istotnie moc organizującą i sprostać są zdolne ogromnym zadaniom etycznym i trudnościom społecznej reorganizacji ludzkości”.

A chociaż mała to jeszcze garstka ludzi w tym duchu pracujących, lecz stąd wydzie natchnienie do nowych stosunków ludzi między ludźmi: płynąć stąd będzie w sumienia blask nowego ideału odpowiedzialności, przenikać będzie bezustanku w rząd, pracę, życie rodzinne i z głębi dusz dostarczać będzie nowych sił we wszelkich konfliktach życia wspólnego. Armja zbawienia, opieka nad młodzieżą, organizacja wychowania, pomoc społeczna — to wszystko działać i istnieć będzie nietylko w dzielnicach ubogich — nie, każdy człowiek głębiej czujący posłyszysz stamtąd wołanie, by wszędzie, gdzie tylko może, ratował i chronił dusze, — a to wołanie użyczy całej jego działalności nowych metod i widnokręgów i ukaże mu całe jego postępowanie w zupełnie nowem świetle”.

To, co tu powiedziano o fundamentalnej misji pracy społecznej i o płynącej z niej inspiracji do odnowy całej kultury społecznej, — to ani utopja, ani złudzenie: ktokolwiek obserwował i widział, jak pracuje nowoczesne, tak wysoko rozwinięte sądownictwo dla młodocianych, jak tu w miejsce samego mechanizmu prawniczego dawniejszych czasów, coraz bardziej ów mechanizm uzupełnia coraz konsekwentniejszy system opieki, przemieniający coraz bardziej jurystę w pedagoga, albo ktokolwiek śledzi metody nowojorskiej centrali dla prywatnej opieki społecznej — ktokolwiek wreszcie weźmie pod uwagę anglosaskie settlementy, te etyczno-socjalne ogniska w zaniedbanych dzielnicach, gdzie ludzie wykształceni poświęcają część swojego

czasu wolnego na rzecz drugiej połowy ludzkości — ten nie będzie się mógł oprzeć wrażeniu, że się tam zakłada podwaliny pod całkiem nowy sposób traktowania spraw ludzkich, pod nowe zgoła metody wyrównywania różnic a strzeżenia jedności społecznej i ładu. Charakterystyka bowiem nadchodzącej kultury społecznej na tem właśnie będzie polegała, że państwo, policja, i prawo karne nie będą nas, dzięki swym karbom zależnym, uwalniały od wszelkiej odpowiedzialności za bliźnich naszych i utrzymanie jedności społecznej, lecz przeciwnie: *człowiek znów będzie dbał o człowieka*; że czysto ludzkie stosunki między poszczególnymi osobami oraz klasami będą się pogłębiać, a wola społecznego porozumiewania się praktycznie coraz bardziej będzie się objawiała; — z takiej zaś wzajemnej dbałości wynijdzie *nowy duch wspólnoty*, który z niesłychaną łatwością rozwiązywać będzie te problemy, wobec których my dziś stoimy bezradni.

(F. W. Förster „O wychowaniu obywatelskiem.“ Warszawa. 1913 r. Nakład Gebethnera, przełożył Dr. J. Kretz.)

NAKAZ SPOŁECZNY

Wojna dosięgła Warszawy i wkroczyła w ulice.

Cała młodzież i wszystko, co dzielniejsze, dawno już w polu, nieomal od miesiąca. Powiadali, że sto tysięcy ochotników wzmogło wyczerpaną armję. Stolica okryła się niezliczoną mnogością odezw, plakatów podniecających i zachęcających afiszów. Hasła, nakazy, okrzyki, pytania, nawoływania, groźby, maksymy, sentencje, wniosły bohemaży, karykatury, dowcipy i szyderstwa nastroczały się wszędzie. Napisy upstrzyły mury, drzewa, tramwaje, słupy, dachy, płoty, szyby, urzędy, lokale, teatry i kościoły. Deptało się po nich na chodnikach, ćmiło się od nich w oczach, w głowie. Uporczywie nastroczało się to na jawie i we śnie, budząc zaskrzepłe sumienia, pouczając nieświadomych, bawiąc odważnych i doostatka przygnębiając tchórzliwych. Nieprawdopodobna mnogość samorządnych komitetów, kół, sekcji, korporacji, zbiórek, związków, straży, opiek, pomocy rozpleniło się w tych dniach niewielu. Wspierając się solidarnie i straszliwie zawadzając sobie nawzajem, ciała te, o przygniatającej przewadze szlachetnych kobiet, rozwinęły po mieście gorączkową lataninę, wyłoniły kilkudziesięciu prezesów, z których nie wszyscy jednak zdołali uzyskać wojskowe samochody. Mieszało się w tem wzniosłe ze śmiesznem, pożyteczne ze zbędnem.

Obowiązywał nakaz: nikomu nie wolno być w tych dniach bezczynnym! Tak też było. Tym sposobem zagłuszono w sobie niepokoje i trwogę.

A jednocześnie w głębinie dusz niewidzialnie i nieznacznie, dzień po dniu, z godziny na godzinę, odpadała z ludzi pospolitość, małość, nikczemność. Zapalało się uniesienie. Rodziło się męstwo. Rosły serca. W grozie i burzy dokonywała się ogromna przemiana. Obok żołnierza w polu objawia się *naród walczący*. I chociaż nikt o tem jeszcze nie wiedział, w stokroć już urosły siły obrony. A gdy nikt tego narazie nie wyczuwał, natchmiast poznał to wróg, gdy dotarł nad Wisłę i osaczył Warszawę.

W tych dniach ponurych i dręczących twarzą w twarz wobec śmierci i zagłady tajemna dusza stolicy wznosiła się w tragicznem pięknie dostojna i godna wielkiej godziny dziejowej. Ludzie maleńcy, sami tego nie spostrzegając, wyrastali ponad własne głowy. Wśród nieopisanego zgiełku i zamętu każdy wysiłał się i na własną rękę czynił swoje, nie oglądając się na rząd, ani na komitety, ani na czyjaś pomoc, nie pytając się nikogo o pozwolenie. I w powszechnym chaosie nieładu sypały się nieprzeliczone okruchy pożytku, drobiny siły. Tak urósł wał, któremu sędzone było powstrzymać wroga...

W cichą noc głucho z za Wisły dochodził głos dział. Słyszały je mury i nawet śpiący. Nadchodziło nieznane jutro. Niosło nakaz ostateczny, nieubłagany i sprawiedliwy. To, co rzucił był naoslep los wielkiej wojny światowej, teraz miało być opłacone krwią i zdobyte przez męstwo. Albowiem nic za darmo, nic łatwo. Teraz dopiero miało ugruntować się i żyć szczęście wolności...

(A. Strug: „Pokolenie Marka Świdy“, 1925 r., Warszawa. Księgarnia W. Czarckiego. Str. 407.).

ZAKON BRATA ALBERTA

Był onego czasu człowiek bardzo piękny, dostojny, ogładzony w towarzystwie ludzi zamożnych. Urodził się i wychował na pana. Oprócz tego był artystą. Zdarzyło mi się widzieć jego obraz z czasów młodości. To dzieło młodzieńcze nosiło nazwę „Ogród miłości”. Kto na nie patrzył, musiał pomyśleć o swych latach szczęśliwych, o marzeniach wiośnianych, musiał ujrzeć swą młodość. Jest w tem malowidle, jakgdyby młodość wszystkich ludzi na całej ziemi, szczęście porannych dni rodu ludzkiego, w niepojęty sposób zebrane i okazane w jednym widoku. Martwe farby tchną tam widokiem kwitnących drzew, pachną kwiaty... Ow piękny młodzieniec, któremu szczęście dawało klucze od wrót do ogrodu miłości, poszedł z innymi na pole bitwy. Był ciężko poraniony, a nawet stracił nogę.

Odratowano. Rana dała się zagoić! Nikt nie wiedział, gdzie ten człowiek jest, co z sobą czyni, gdy ze szpitala wyszedł. Pewnego zaś czasu, w zimie, zjawił się w kraju i wszedł w stosunki koleżeńskie z dawnymi towarzyszami sztuki. Mieszkał po społu z nimi w malarskiej pracowni. Izba ta mieściła się na ostatniem piętrze wielkiego hotelu. Było tam zimno i pusto. W tej pustce nocował raz wraz ktoś z emigrantów bezdomnych, który wrócił z daleka, albo który z sybiraków... Malarze schodzili się do pracowni za dnia i wykrzykiwali o swoich tam mniemaniach, poglądach, walkach, starciach. Ów człowiek samotny słuchał co mówią, ale nie mieszał się do ich rozgwaru. Posłuchał, posłuchał, — roześmiał się i bez pożegnania odchodził. Na swej drewnianej nodze, w dziwnem odzieniu, jakby w żydowskim chałacie czy ukraińskiej bundzie, postronkiem przepasany, wałęsał się po zaułkach wielkomiejskich. Zarabiał na życie dźwiganiem ciężarów, noszeniem pak do sklepów, posługiwaniem na towarowym dworcu kolei. Jednakże, gdy przybył do pracowni zrana, pod nieobecność kolegów i gdy nikogo nie zastał, zamykał na klucz tę izbę, rozkładał na podłodze wielkie arkusze rysowniczego papieru, przez innych zostawione i leżąc na ziemi coś w tajemnicy rysował. Kilkakroć przez dziurę od klucza podpatrywali go przyjaciele. Nie przerywali mu, gdyż czcili jego „wielki a zmarnowany” talent. Lecz skoro tylko rozległ się szmer, dały się słyszeć stąpania, ów człowiek darł rysunek w drobne strzępy. Widywano go tylko przelotnie. Wiedzano, że „warjuje”, to znaczy, że chodzi nocami po najdalszych przedmieściach, po zaułkach, podnosi z rynsztoków nędzarzy, głodomorów, kostniejących z zimna, pijaków wyrzuconych na bruk z szynków, nędzę bez nazwy zdychającą na ziemi. Wiedzano, że zaczepia po gliniankach, cegielniach, szopach i rowach starych wałów kanalję, zmawiającą się na zbój. Widywano go w towarzystwie takich oto ludzi, prowadzącego ich dokądś, zmierzającego na ich czele w jakimś kierunku. Nie było wówczas pogotowia ratunkowego, ani przytułków noclegowych. Zrazu myślano, że może w obłądnie przystał do zbójów. Później przekonano się, że to jest tylko święty oprawca, zbierający ludzką padlinę, Chrystusowy ceklarz, który się głupim stał dla miłości człowieka. Więc też o nim zapomniano wśród długich i namiętnych sporów o rodzaje sztuki.

Tymczasem znowu zaczął się ukazywać w pracowni, ale już nie sam. Chodziło za nim dwu, czasem trzech taksamo odzianych w sukmany, jak on, przepasanych powrozami. Byli to nawróceni przezeń zbójce, odratowani samobójcy. Przesiadawali w kościołach, wspólnie zarabiali na życie dźwiganiem ciężarów i wspólnie podejmowali z rynsztoków następców swoich.

W malarskiej pracowni jeden kąt zajęli specjalnie na swój użytek. Ze starych pak po obrazach zbili gwoździami ołtarz, z dwu patyków wystrugali krzyż, a zawiesiwszy to miejsce malarskimi draperjami, ufundowali pierwszą kaplicę. Tutaj odprawiało się żarliwe nabożeństwo, brzmiały pieśni i litanje...

Tak to, w kacie pracowni zaczął się i powstał nowy zakon, związał się pierwszy klasztor. Ma on już wiele domów w każdym prawie mieście. Najgłówniejszym jego zadaniem jest walka ze złem, wydzieranie dusz ludzkich z zepsucia, a ciał z upadku.

Dążeniem głównym jest powracanie tych dusz niebu i anielstwu. Zadaniem ziemskim jest to, co czynił założyciel od początku: zbieranie opuchlaków i wyrzutków. Z darów ludzkich zakon tworzy przytułki najprostsze, szopy noclegowe i trzyma ich drzwi otworem dla każdego nędzarza i bezdomnego, kto wejść zechce. Każdy, kto wejdzie, jeśli jest głodny, dostaje miskę zupy pożywnej choć najprostszej, — i nocleg. Nocuje dopóki można bezpłatnie. Nikt go o nic nie pyta i niczego mu nie narzuca, nawet pomocy religijnej. Dopiero po kilku dniach gość otrzymuje propozycję pracy. Zakon prowadzi warsztaty: wypłata krzesła, oprawia książki, trzodzi się stolarszczyzną i malarką. Skoro przychodzić chce pracować, zarabia i ma wolę po temu, przyjmuje się go w poczet braci. Każdy człowiek może zostać bratem i niejeden, którego świat podeptał i splugawił, żyje tu w braterskim kole, a niejeden umarł „in odore sanctitatis”. Zakonnicy wierzą, że niezmierna jest moc dobrego poczynania. Przez dobre poczynanie zły świat staje się siedliskiem dobra.

(Stefan Żeromski: „Nawracanie Judasza”. Warszawa. Tow. Wydawn. 1911 r.).

G A N G A

(Legenda Arjawarty)

Daleko, daleko, pośród olbrzymich łańcuchów gór ochraniających Arjawartę od najść z północy, leżał pograżony w głębokim śnie wielki Bóg Shiwa. Dokoła niego wznosiły się niebotyczne w śnieżnych koronach szczyty Himalajów. Gdy Shiwa spał, Król Mróz bawił się jego spletaniami, wichrzonemi przez burze, czesanemi przez wiatry, włosami. A śnieżne i lodowe panny dworu Króla Mrozu porozwieszały lodowe stalaktyty na włosach, głowie i twarzy śpiącego boga. Wiele setek lat spał Shiwa, gdyż był zmęczony. A słońce póki on spał słało oślepiające promienie na rozległe równiny, stoki gór i doliny jego państwa, bez litości spalało trawy zielone, wspaniałe drzewa,

gdyż wtenczas na świecie nie było jeszcze rzek, któreby orzeźwiały spaloną ziemię. Naród gorąco błagał Shiwę o wodę, lecz Shiwa spał.

W górach żył wielki król Himawat z piękną swą żoną Meną, matką skrzydlatego Majnaka i czarującej dziewczynki, nazywanej przez nich Gangą. Pewnego razu, gdy Ganga spacerowała po śnieżnem królestwie swego ojca, zobaczyła cudowną lodową grootę, której przedtem nigdy nie widziała. Długie sople lodu zwieszały się z iskrzących ścian, lodowe kolumny podtrzymywały wysokie sklepienie dachu. Gdy dziewczę stało u wejścia i nieśmiało zaglądało włąb, nagle obok niej przesłizgnął się do groty promyk słońca i rozświetlił, roziskrzył kopułę, sklepienia i kolumny siedmioma barwami. Ganga w zachwycie klasnęła w dłonie, wbiegła do groty i pozostała w niej. Wszyscy szukali jej i w górach i w dolinach, lecz nikomu nie przyszło do głowy zajrzeć do zwichrzonych włosów Shiwy, w których utworzyła się ta wspaniała grota. Wreszcie Himawat i Mena sami zaczęli jej szukać, gdy zaś znaleźli, skarcili łagodnie, lecz, gdy ona pokazała im swą cudowną grootę, wybaczyli jej całkiem i wszyscy razem zamieszkali tam na długie lata.

Pewnego razu wrócił Himawat z podróży z ciężkiem sercem i głębokim smutkiem w oczach.

„Co ci jest, Królu i mężu mój?” cichutko szepnęła Mena, a Ganga usiadła ojcu na kolanach i zarzuciła pieścizotliwie swe delikatne ramiona na jego szyję.

I padły słowa Króla przepojone bólem: „Kraj cały sztraszliwie cierpi z braku wody, żniwa poschły, bydło marnieje, ludzie napróżno starają się uciszyć jęki swych dzieci. A Shiwa śpi i nie widzi tego, bogowie nie przychodzą ludziom z pomocą”.

Zamilkł Król i żadne słowo nie zamąciło ciszy. Lecz co to? Jakgdyby szmer lekkiego podmuchu wiatru przeleciał po grocie — to ze złotych włosów Gangi sączyła się życiodajna woda — topniał powoli lodowy wianek, w który Ganga, ustroiła swe włosy. Himawat spojrział na nią i zakrył twarz dłońmi, a ona szepnęła cichutko — „czyżby naprawdę nie było ratunku dla ludzi?”

Wtedy Król podniósł oczy pełne łez i spojrział na swą ukochaną jedynaczkę — „jest, Ganga, jest sposób uratowania ludzi, lecz strasznie trudno go urzeczywistnić — sposób ten polega na tem, że jeżeli znajdzie się dziewczę czyste jak lód, białe jak śnieg, zgodzi się porzucić swój dom i na wieki zamieszka w upalnych dolinach — wtedy jej dobrowolnie oddane życie uratuje ginący naród, a imię jej stanie się świętem i uwielbianem dla wszystkich w Arjawarcie.

Zrozumiała Ganga, że jej wielki ojciec namawia ją do podję-

cia tej ciężkiej ofiary, lecz nie odpowiedziała nic, odwróciła się i skryła się w głębi swej groty.

A jęki umierających ludzi wciąż wznosiły się ku niebu podobnego kolorem do brązu, dosięgały uszu Gangi w jej grocie, lecz ona ciągle trwała bez ruchu.

Ojciec już kazał jej, by szła spełnić ofiarę, matka z płaczem błagała, by życie swe zechciała oddać za ludzi.

A Ganga—Ganga wciąż pozostawała bez ruchu.

Pewnego razu wszedł do groty Himawat z umierającym dzieckiem na rękę, delikatna skóra maleństwa cała była pokryta od gorąca pęcherzami, drobniutkie wargi zczerniały i spiekły się, usteczka były otwarte, oczka nieruchome, szklane. Położył Himawat dziecko na kolanach Gangi i powiedział tylko tyle—„ono umiera z pragnienia“. Ganga schyliła się nad małą twarzyczką i kropla wody upadła z jej włosów na spieczone usteczka, maleństwo otworzyło oczy i uśmiechnęło się radośnie.

Zerwała się z miejsca Ganga.

— Ojczy, matko, ja pójdę, pójdę, by ratować ginących ludzi i nieść radość maleństwom, ginącym z pragnienia.

A gdy się zwróciła ku wyjściu lodowej groty, gdzie żyła dotąd w niewinnej lecz samolubnej radości, twarz jej promieniowała pięknem wielkiego samooddania. A gdy przestąpiła próg groty, wygląd jej się zmienił całkowicie: piękny stan stopniał, jasnozłote włosy i białe ramiona zniknęły, a w łóżysku z dnem pokrytem jasnozłotym piaskiem zaszemrał strumyk czystej przejrzystej wody z białymi błyskami piany. I wciąż szemrała woda biegnąc: ja Ganga, Ganga niosę błogosławieństwo pragnącym dolinom i życie tym, którzy umierają z tęsknoty za moimi źródłami.

Odtąd wszędzie, gdzie Ganga skierowywała swój bieg, wyrastały kwiaty, witając ją, wysmukłe drzewa chyliły się nad jej wodami, marnujące się bydło, stojąc po kolana w wodzie, powoli przychodziło do siebie. Dzieci bawiły się jej strumieniami, silni mężczyźni kapali się w jej nurtach, a piękne kobiety omywały swe ciała w jej zatokach. Odtąd stała się Dziewica-Ganga Gangą-Matką, dawczynią życia, radości i obfitości dla rozległych dolin Arjawarty.

Życie oddane stało się źródłem życia dla całych olbrzymich Indji. Od tego czasu, dążąc ku morzu, wiecznie szemrze Ganga: siebie innym oddać — to nasz obowiązek, szczęście po drodze rozsiewać, by inni go mogli zebrać—jedyna prawdziwa radość.

Od tego czasu Hindus, umierając zdaleka od świętej rzeki, modli się o to, by popioły jego zostały wrzucone do brunatno-

czerwonych głębin Gangi, umierające usta ostatniem poruszeniem wzywają: „Ganga, Ganga”, umierające oczy ostatnie spojrzenie skierowują na czyste, szerokie wody Gangi.

A. Besant

NA NIWIE SPOŁECZNEJ

Ludzie ci należeli do typu, który się w tłumie rozplynął, znikł, lecz nasycił sobą pokolenie. Z tych ludzi my, to jest moje pokolenie — wzięliśmy wszystko, czem żyjemy aż dotąd.

— Pierwszy z brzegu. Marjan Bohusz. Przyrodnik, który gdzieindziej zostałby znanym docentem, może nawet cenionym profesorem. Tutaj został tłumaczem i popularyzatorem filozofów i socjologów. Rozmienił się na drobne i sam się w tłum wydał. Nauczał z niewidzialnej katedry swą rzeszę inteligencją. Gdy wszystko było przed tą rzeszą zamknięte, gdy mogła ona zdziwić, dawał jej wszystko, co poczytywał za najlepsze na zachodzie. Zmuszał on pokolenie swoje do myśli, do pogłębienia uczuć społecznych, do czuwania. Inni później robili tę pracę lepiej, systematyczniej. On jednak był pierwszy. Wszystko zaś o szklance czystej herbaty i o kawałku suchego chleba. Wiecznie w dziurawych butach. Stary, pocziwy nauczyciel! Wreszcie znikł, jak cień. Gdzieś się podział. Oślepl. Więziony przez Moskali przeszedł męki duchowe. A nie chcąc ludziom zawadzać w ich bieganinie, nie chcąc przyczyniać nikomu kłopotu swoim pogrzebem — kędyś po swojemu, „altruistycznie” znikł, przepadł. Żył i umarł jak duch.

— Ten drugi — to Stanisław Krzemiński. Niegdyś członek Rządu Narodowego w roku 63-im. Historyk, bibliofil i biblioman, a nadewszystko badacz samoistny. Typ encyklopedysty. Straszna jakaś pamięć. Wszystko w głowie. Gdzieindziej byłby głośnym i uczonym pisarzem, pracowałby w spokoju na sławę i pomnik. W dawnej Warszawie był publicystą, pisarzem artykułów politycznych, niepochwytym dla wroga przemynikiem na pograniczu dawnych i nowych czasów. Sekretnie, sposobem tajnym, do ludzi, którzy go czcili, pisał o Polsce: „Pani moja, Mocarka wielka, Matka najśłodsza”. Wierzył niezmiennie i przeciw wszystkim rzeczywistości w niepodległość przyszłą narodu podartego i nieszczęśliwego, gdyż znał jego siłę w przeszłości, pomimo wszelkich tego narodu wad i win. Tę pewność swej wiary przekazywał otoczeniu przez całe swe życie. Badał przeszłość samoistnie u źródeł. Zagrzebany w „Tomicianach,” w reformie wychowawczej Konarskiego, pisał jednocześnie o najnowszych sztukach dyplomacji współczesnej. Pracował bez

przerwy, bez wytchnienia, jako kanclerz bezsensywnego państwa. Błogosławiony warszawiak. W ubogim swoim mieszkanku, wśród ukochanych książek, do ostatniej chwili nad wielką, dawną i nową Polską, zasnął na posterunku.

— Trzeci — to Edward Abramowski. Filozof i socjolog. Nowator we wszystkich dziedzinach. Główną dziedziną jego pracy duchowej była psychologia. Syn swego czasu, socjalista rewolucyjny, stwarza wreszcie naukę własną bojkotu państwa zapomocą złączenia ludzi w związki, stowarzyszenia, kooperatywy. Usiłuje wytworzyć świat nowy i nieznan, który w jego pojmowaniu będzie wielkim, powszechnym ruchem etycznym, świat przewidywany, wymyślony. Ta wymarzona za czasów rosyjskich rewolucja społeczna i moralna poprowadziła go konsekwentnie na stanowisko teoretyka kooperatywizmu praktycznego. A jego pomysł zorganizowania ludzi w sposób anti-państwowy przywiódł go w praktyce, za panowania nad Polską caratu, do uznania Polski nieistniejącej, jako realizacji jego pomysłu...

(Stefan Żeromski: „Przedwiośnie.“ Warszawa. 1925. Wydawnictwo J. Mokwiczka).

SŁUŻBA SPOŁECZNA

Kiedy Matylda Wrede była jeszcze młodą dziewczyną, śniła przez kilka nocy z rzędu o człowieku, który ją błagał o pomoc. Widziała go wyraźnie, słyszała, jak skarżył się. Ogarnęła ją litość i chciała mu biec na ratunek, ale nie mogła wykonać swego zamiaru i budziła się przerażona, z twarzą zalaną łzami. Tego człowieka, którego widziała we śnie, spotkała niebawem w rzeczywistości. Ojciec jej, gubernator w Wazie, sprowadził pewnego dnia do domu więźnia i polecił mu odświeżanie mebli. Podczas kiedy więzień pracował, przechodziła Matylda przez pokój i spojrzenia ich spotkały się. Stanęła, nie mogąc poruszyć się z miejsca; był to bowiem ów człowiek, którego widziała we śnie. I dziwiło ją tylko to, że rzuciwszy na nią obojętny wzrok pochylił się i pracował dalej, nie odzywając się ani słowem. Choć ów człowiek nic nie powiedział, nie mogła się odtąd pozbyć przeświadczenia, że trzeba dla niego coś zrobić.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zaczęła z nim rozmawiać o jego stanie duchowym. Była już wówczas głęboko religijnie nastrojona, ale z powodu nieśmiałego usposobienia, nie zdobyłaby się nigdy na nic podobnego w zwykłych okolicznościach.

Pośpiesznie zakończyła rozmowę, a potem stała milcząca,

zakłopotana. Nie pamiętała już o czem mówiła. Miała tylko bolesne poczucie tego, że dała się porwać i wyjawiała swą miłość do Chrystusa, która była dotąd pilnie strzeżoną tajemnicą jej młodego serca. Ten człowiek kpił może z niej, albo zagniewany był, że takie dziecko śmie nieść pociechę jemu — dojrzałemu mężczyźnie.

Więzień, z którym rozmawiała, milczał.

Pracował dalej powoli, jakgdyby chcąc zyskać na czasie. Wreszcie zwrócił się do niej. A wtedy spostrzegła, że nie tylko nie kpił z niej, lecz, że musiał płakać, pochylony nad swą robotą, gdyż na twarzy jego widniały ślady głębokich dopiero co przeżytych wzruszeń. Nie mówił jednak nic o sobie. Rzekł tylko z naciskiem:

— „Szkoda, że panienka nie może pójść do więzienia i przemówić tak do tych, którzy tam siedzą“.

Potem odszedł. Ale słowa jego podziały na młodą dziewczynę, jak objawienie.

Wszysto zresztą, co spotkało ją w tych dniach, wydawało jej się objawieniem wołającej ją woli Najwyższego. Czuła w sercu obecność Boga, którego kochała. Więc szepnęła w pokorze:

— „Jeśli chcesz, abym poszła do tych, którzy jęczą w więzieniach i mówiła z nimi o tobie, dlaczegożbym tego uczynić nie miała?“

... Jakże trudne było to dzieło! Marzycielskie, młode serce mogło w chwili uniesienia poświęcić się dla tych, którzy jęczą w lochach więziennych. Ale tego było za mało. Trzeba było jeszcze mieć sposobność do spełnienia swej misji. A nie tak łatwo zetknąć się z przestępcami, których rząd trzyma pod kłuczem.

Ojciec dał jej zupełną swobodę odwiedzania więzienia w Wazie, gdzie rozpoczęła swoją działalność. Stało się jednak, że ojciec porzucił swoje stanowisko, rodzina przeniosła się do Helsingforsu, a tutaj władze zabraniały jej wstępu do bram więziennych.

Po wielu daremnych próbach zdecydowała się przedstawić swą prośbę samemu generał-gubernatorowi.

Było to dla niej ciężkie przejście. Musiała pójść do rosyjskiego urzędnika, by mu powierzyć najważniejszą swoją sprawę, by go przekonać, że działa z istotnego powołania. Nagle drgnęła i oblała się rumieńcem. Uczyniła ważne odkrycie. Uczuła w tej chwili, że jej praca wśród więźniów dawała jej samej największe szczęście. Więźniowie dziękowali jej za pomoc, ale nie zasługiwała na te podziękowania, skoro czyniła to dla własnego

zadowolenia. Kochała swoją pracę i cierpiałaby, nie mogąc się jej nadal poświęcać. Okazywało się jej, że ci biedacy byli potrzebniejsi jej, niż ona im. Ta świadomość spadła na nią przytłaczającym ciężarem. Myślała już o tem, żeby rzucić wszystko i odejść, kiedy nagle woźny dał jej znak, że kolej na nią przyszła... Po niespełna dziesięciu minutach wracała z pozwoleniem od generał-gubernatora. Obiecał wydać urzędowy rozkaz wpuszczenia jej do wszystkich więzień finlandzkich. Drogę miała otwartą.

Doznała tak wielkiego wstrząśnienia, że gdy wyszła z sali przyjęć i znalazła się na ulicy, wybuchnęła płaczem.

Więc uzyskała wstęp do więzień? Jakże to się mogło stać? Tak nagle i nieoczekiwanie.

Nie powiedziała przecież gubernatorowi ani słowa z tego, co sobie układała. Słowa, któremi chciała go przekonać, ulotniły się w owej chwili, kiedy musiała przyznać przed sobą, że pracowała dla własnego szczęścia i zadowolenia...

(Selma Lagerlöf: „Wspomnienia”, przełożyła J. Mortkowiczowa. Warszawa 1922 r. Towarzystwo Wydawnicze.)

DŁUGI SPOŁECZNE

...Kiedy ujrzę ojca — myślałam — będzie pewnie siedział na bujającym fotelu przed werandą i kreślił plan ogrodu, zaś czytać będzie z pewnością ulubioną książkę, legendę o Fritjofie. Na mój widok odsunie okulary z czoła, a potem wstanie i po-dejdzie naprzeciw mnie. — „Szczęść Boże” i „Witajże”! — powie tak, jak dawniej zwykł był mnie witać.

— „Przyszłam poprosić cię, ojcze, o radę — mówię ze stro-skana miną — wpadłam w wielkie długi”.

— „Boję się, że w tej sprawie nie będę ci mógł pomóc — mówi ojciec. — O tej krainie daje się to samo powiedzieć, co o starych dworach w Wärmландzie, że znaleźć tam można wszystko, prócz pieniędzy.”

— „Ależ właśnie moje długi nie są wcale pieniężne” — odpowiadam.

— „To jeszcze gorzej — mówi ojciec. — Opowiedz mi całą historję od początku”.

— „Przekonasz się, ojcze, że właśnie tylko ty możesz mi przyjść z pomocą — zaczynam opowiadać — bo przecież zaczęło to się z twojej winy. Czy pamiętasz, jak to w zimowe wieczory czytywałeś z nami ulubionych twoich pisarzy — Tegnera, Runeberga i Andersena? Z tych czasów pochodzi pierwszy mój dług. Powiedz, ojcze, czemu mam im zapłacić zato, że

mnie nauczyli czcić podania i legendy o bohaterach, kochać ziemię ojczystą i życie ludzkie w całej jego wielkości i małości?"

A gdy tak mówić będę, ojciec poprawi się w fotelu, a oczy jego zabłysną pięknym spojrzeniem: „Rad jestem, że ci dopomogłem do zaciągnięcia takiego długu” — powie.

„Może masz i słusność, ojcie — będę dalej ciągnęła — ale pomyśl, że nie na tem koniec. Nie zapominaj, że mam mnóstwo podobnych wierzycieli. Przypomnij sobie tylko tych wszystkich bezdomnych młodzieńców, którzy w czasach twojej młodości wędrowali w naszych stronach, śpiewali pieśni i bawili nas swemi opowiadaniem. Ileż to szalonych przygód i pomysłów im zawdzięczam! A potem przymonij sobie te wszystkie staruszki, co to mieszkały na skraju lasu w zapadłych chatach i opowiadały nam o duchach i czarownicach. One to przecież nauczyły mnie tego, jak to się owiewa poezją twarde skały i czarne bory. A potem przypomnij sobie, ojcie, wszystkich tych mnichów i mniszki o bladych twarzach, którzy siedzieli w mrocznych klasztorach i rozmawiali z niewidzialnymi duchami. U nich zaciągnęłam dług z wielkiego skarbcza legend, jaki zdołali zebrać. A teraz przypomnij sobie tych chłopów z Dalekarji, którzy wędrowali do Jerozolimy! Czyż nie jestem im winna wdzięczność zato, że dali mi wzór wielkiego czynu, który mogłam opisać. I wiesz, nie koniec na tem, że zadłużyłam się u ludzi, ojcie, wszak stałam się dłużniczką całej przyrody. Przecież zwierzęta i ptaki, kwiaty i drzewa — wszystko to zwierzało mi się ze swoich tajemnic!”

Ojciec uśmiecha się do mych słów i nie zdaje się wcale martwić niemi: „Musisz przecie przyznać, że to są wielkie długi, ojcie — mówię i coraz bardziej poważnieję. Nikt u nas na ziemi nie wie, jak się takie długi spłaca. Zdawało mi się, że tutaj w niebie będziecie mi mogli poradzić”.

„Rozumie się, że poradzimy — odpowiada ojciec. Tylko się nie martw, dziecińo. Znajdziemy radę na twe troski”.

„Tak, ojcie, ale to jeszcze nie wszystko — mówię. Winna jestem wszak i tym wszystkim, którzy wzbogacają język, którzy wykształcili to piękne narzędzie i nauczyli mnie posługiwać się niem. A czyż nie jestem dłużniczką tych wszystkich, co przede mną tworzyli i pisali, którzy uczynili piękną sztukę z opowiadania o losach ludzkich? Czyż nie zadłużyłam się u wielkich pisarzy norweskich i rosyjskich? Wszyscy ci wielcy pisarze, którzy karmili moją wyobraźnię, są dziś moimi wierzycielami. „Tak, tak — mówi ojciec. — Masz słusność, zaciągnęłaś wielkie długi, ale znajdzie się na to rada”. „Zdaje mi się, że nie zdajesz sobie dokładnie sprawy z tego, co to dla mnie znaczy,

ojcze,— mówię dalej.— Nie pomyślałeś o tem, że mam także długi u moich czytelników. Za ileż to rzeczy mam im dziękować! Od starego Króla i jego najmłodszego syna począwszy, którzy mi ułatwili podróż po Włoszech, aż do najmniejszych dzieci szkolnych, które nabazgrały do mnie podziękowanie za „cudowną podróż Nilsa Holgersona? Cóżby się ze mną stało, gdyby nie chciano czytać moich książek? I o tych wszystkich nie wolno ci zapominać, ojcze, którzy pisali o mnie. Przypomnij sobie tych wielkich krytyków duńskich, którzy kilkoma słowami zyskali mi przyjaciół na całe życie! Jestem dłużniczką zarówno tych, którzy mnie chwalili, jak i tych, którzy mnie ganili.

„Tak, tak” — mówi ojciec i wydaje mi się, że nie jest już taki spokojny. Zaczyna widocznie przyznawać, że nie tak łatwo będzie spłacić moje długi.

„Pomyśl o tych wszystkich, którzy mi pomagali — ciągnę dalej.— Pomyśl o mojej wiernej przyjaciółce Eseldzie, która starała się o torowanie mi drogi wtedy, kiedy jeszcze nikt nie wierzył we mnie. Pomyśl o tych wszystkich, którzy czuwali nad moją twórczością i otaczali opieką moją pracę. I pomyśl o mojej dobrej towarzysze podróży, która zawiozła mnie na południe i pokazała mi cuda sztuki, rozjaśniła i wzbogaciła moje życie. Pomyśl o miłości, którą mnie darzono, o sławie, o zaszczytach! A wtedy zrozumiesz, że musiałam przyjść do ciebie, aby się dowiedzieć, jak się za takie długi płaci”.

„Zdaje mi się, że nie tak łatwo będzie dopomóc ci—mówi ojciec.— Ale na tem chyba już koniec?”

„Teraz muszę ci powiedzieć o najcięższym moim długu” — odpowiadam.

„Nie rozumiem, jak mogłaś wpaść w jeszcze większe długi” — zaniepokoił się ojciec.

„A jednak — i zaczynam mu opowiadać o „tem”...

„Nie mogę temu uwierzyć, szwedzka Akademia” — zaczyna ojciec. Ale patrzy na mnie i poznaje, że „to” jest prawdą. Wtedy każda zmarszczka jego starej twarzy poczyną drgać, a łzy napływają do oczu.

„Cóż mam powiedzieć tym, którzy przedstawili mnie do nagrody? — pytam. Bo to nie tylko pieniądze i zaszczyty, jakimi mnie obdarzyli. Ale i to, że odważyli się wyróżnić mnie przed całym światem. Jakże ja się wypłacę z takiego długu wdzięczności?”

Ojciec rozmyśla przez chwilę, ale potem ociera łzy radości z oczu, prostuje się i mówi: „Nie będę sobie łamał głowy nad rzeczami, których nikt nie rozwiąże. Jeśli dostałaś nagrodę Nobla, to nie chcę o niczem innem myśleć, tylko się cieszyć”.

ZWIĄZKI PRZYJAŹNI

Ci, którym nie daje spokoju nędza ludzka, stoją często wobec pytania, gdzie i czym jest ta potęga wybawicielska, za pomocą której możnaby życie uczynić lepszem i szlachetniejszym. Szukamy jej na wszystkich polach pracy, a zarazem czujemy instynktownie, że jest jakaś jedna najważniejsza rzecz, podstawowa, która, gdyby została znaleziona, rozstrzygnęłaby wszystkie zagadnienia i dała oręż prawdziwy do zwalczania zła. Instynkt ten nie jest złudzeniem naszym. Taka potęga jest do wzięcia i jest pośród nas, a nazywa się przyjaźnią.

Naród, w którym uczucia przyjaźni są rozwinięte, gdzie zamiast egoizmu panuje przyrodzona potrzeba wzajemnej pomocy, bezinteresownego wspomagania się na wszystkich polach życia — naród taki znalazł już moc niezwykłą, rozwiązał zagadkę wolności i dobrobytu. Tak samo i pojedynczy człowiek. Jeżeli biadamy dzisiaj nad upadkiem moralności, nad znikczemieniem serc i umysłów, nad zanikiem szlachetności duszy, nad upadkiem żywej religii — to wiedźmyż o tem, że to wszystko stąd tylko wynika, że dzisiejszy człowiek jest tak mało uzdolniony do przyjaźni, że walka o chleb i cała atmosfera kapitalizmu, wśród której żyje, robi go egoistą i tłumi w nim miłość ludzi. Nie będzie to żadną przesadą, jeśli powiemy, że tylko samolubstwo zabija religię i, że dla odnalezienia Boga w sobie, trzeba przedewszystkiem kochać ludzi. Jest to odwieczna, lecz zbyt zapomniana dzisiaj, idea Chrystusa, jego jedyne przykazanie społeczne, które nam zostawił. Jakie spustoszenie w życiu i w ludziach sprawia zanik przyjaźni, to możemy zobaczyć wszędzie naokoło siebie, patrząc na nędzę, wyzysk, ciemnotę i krzywdy, do których tak przyzwyczailiśmy się, że prawie nie zwracamy na nie uwagi. I może zbyt często zapominamy także, że z tych małych bied ludzkich, które spotykamy na każdym kroku, tworzy się ta wielka rzecz, którą odczuwamy, jako upadek i poniżenie Ojczyzny i że z tych małych krzywd, które sobie nawzajem wyrządzamy, powstaje owa wielka krzywda całości — bezsilność narodu. Niech tylko gdzie ożywią się i poczną działać uczucia przyjaźni, ta ciemna zmora nędzy ludzkiej ustępuje i słabnie. Wtedy zjawiają się związki dla obrony przed wyzyskiem, zjawiają się kooperatywy spożywcze, spółki włościańskie, kasy wzajemnej pomocy, towarzystwa opieki nad dziećmi i t. d. Wykwitają one jasne i silne wszędzie, gdzie tylko w samolubstwie ludzkim uczyniony został choćby najmniejszy wyłom. To, co kapitalizm i niewola niszczy, mianowicie dobrobyt i szlachetność życia — to ratuje i buduje nanowo kooperatyzm,

współdziałanie przyjaźni ludzkich; tworzy ono nie tylko nowe warunki społeczne, ale usiłuje także stworzyć i nowy typ człowieka wolnego i silnego przez to, że jest w gromadzie, że rozumie i odczuwa przyjaźń. Są to dwie potęgi, dwie moce zła i dobra, które zmagają się ze sobą o panowanie nad światem. Jedna — przez egoizm — szerzy ciemnotę i nędzę, druga — przez przyjaźń — szerzy wolność i siłę.

Jeżeli zrozumieliśmy, jak ważną rzeczą jest uzdolnienie ludzi do przyjaźni; jeżeli zobaczyliśmy, że od tego głównie zależy nie tylko dobro jednostki, ale i potęga narodu — to musimy przede wszystkim postawić sobie pytanie — jak uczynić przyjaźni, jakimi drogami można ją szerzyć i rozwijać wśród ludzi?

Nie będziemy zastanawiali się tutaj, czy człowiek z urodzenia jest egoistą czy też nie; jest to kwestja jałowa. Możemy natomiast przyjąć jako zasadę to, co doświadczenie życiowe nasuwa, że są egoiści z urodzenia, dla których odczuwanie przyjaźni jest bardzo trudne, tak samo, jak są ludzie z natury uzdolnieni do niej. Egoizm jest ludziom szczepiony w ciągu całego życia, począwszy od dzieciństwa, szczepiony przez wychowanie i przez warunki społeczne, przez ciężką walkę o byt, przez panowanie pieniędzy. Jest to ogromna szkoła i hodowla egoizmu, w której kształcą się wszyscy; a pod te wpływy dostają się nie tylko egoiści z urodzenia, ale i przeciwne im typy; i trzeba wielkiej mocy przyrodzonego uczucia przyjaźni dla ludzi, ażeby ono nie uległo tym wpływom. Otóż tej hodowli egoizmu trzeba przeciwstawić życiową szkołę przyjaźni; trzeba stworzyć takie ogniska, któreby w ludziach od dzieciństwa rozwijały przyjaźń, uczyły jej praktycznie, wpajały niepostrzeżenie, ale też mocno, by to uczucie stawało się jego własną naturą. Podobnie jak warunki społeczne dzisiejsze stwarzają atmosferę moralną taką, w której człowiek żyjąc uczy się egoizmu, oszukiwania i krzywdzenia, często nawet bezwiednie, — podobnie muszą powstać instytucje, rodzaj wielkiego zakonu ludzi dobrej woli, któryby dał społeczeństwu nową, odradzającą atmosferę przyjaźni i w niej wychowywał ludzi od dziecka, walcząc z tamtą. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie towarzystwa dobroczynne są taką szkołą przyjaźni: że ludzie uczą się w nich, nie wiedząc często o tem, nowego życia moralnego, w którem myśli się nie tylko o sobie, ale i o innych. Ale stowarzyszenia te nie wystarczają jeszcze. W kooperatywach bowiem interes ekonomiczny musi z konieczności grać główną rolę i często idea moralna kooperatywizmu jest zapomniana. Człowiek wstępuje do kooperatyw dla własnego interesu i tylko niektórzy robią w niej więcej, niż własny interes wymaga. Kooperatywy są to instytucje ekonomiczne i dbać muszą

przedewszystkiem o potęgę finansową, bo inaczej nie spełnią swego społecznego zadania. Ale obok tego musi być i ognisko moralne, gdzie dokonywa się odrodzenie moralne człowieka, gdzie kształci się człowiek nowy. To jest zadanie instytucyj, którebym nazwał „związkami przyjaźni”.

„Związki przyjaźni” wyobrażam sobie, jako związki sąsiedzkie, których zadaniem jest pomoc wzajemna. Dla człowieka, który doń należy, związek powinien stać się jakby wielką rodziną. Uprzytomnijmy sobie, wiele zdarza się w życiu wypadków, kiedy pomoc ludzi otaczających rozstrzygać może o losach całego istnienia jednostki lub rodziny; pomoc gospodarska, w wypadkach choroby, pożaru lub innej klęski, zaopiekowanie się dziećmi opuszczonemi, ochrona moralna przed nałogiem pijaństwa, pomoc prawna, ratowanie przed lichwą, ujęcie się w razie krzywdy ze strony pracodawcy i t. d. Zadania czynności obrończej i pomocniczej Związku trudno jest nawet wyliczyć, gdyż samo życie człowieka nasuwa jak najbardziej różnorodne okoliczności, kiedy pomoc innych ludzi byłaby często decydująca i zbawienna.

Związki przyjaźni do swej pomocy musiałyby mieć instytucje kooperatywne i dobroczynne, rozporządzające odpowiedniami środkami. W wielu razach uratowanie człowieka przez Związek zasadzałoby się właśnie na umożliwieniu mu korzystania z kooperatywy pożyczkowej, albo z towarzystwa dobroczynnego, albo z instytucyj szkolnych. W tych razach Związek spełniałby rolę doradcy i pośrednika. W tych zaś wypadkach, gdzie pomoc musi być natychmiastowa, Związek działałby własnymi siłami, jako instytucja, stojąca najbliżej osoby wspomaganej. Tym sposobem Związek spełnia potrójne zadanie: osobiste, społeczne i moralne. Pod względem osobistym — przeprowadza reformę zasadniczą w życiu człowieka, czyniąc to, że człowiek przestaje być osamotniony i bezbronny w ciężkich dniach życia, że znajduje gromadę przyjaciół, która udziela mu rady i pomocy.

Pod względem społecznym — Związek staje się krzewicielem kooperatywizmu we wszystkich dziedzinach, gdyż w działaniu swem musi korzystać z jego instytucyj, a nawet sam stwarzać kooperatywy, których w danej miejscowości nie ma. Pod względem moralnym wreszcie — Związek, przyzwyczajając ludzi do czynów przyjaźni bezinteresownej, do życia dla innych, reformuje nie tylko samo życie na bardziej sprawiedliwe i bardziej pogodne, ale i duszę człowieka; stwarzałby on atmosferę moralną, w której ginie samolubstwo, bezreligijność, służalczość, karierowiczowstwo, a w której rozwijają się uczucia przyjaźni i godność ludzka, Chrystusowa religja miłości i woli.

(Edward Abramowski „Pisma” t. 1-szy).

SPISEK

— Czy wiecie, o czem myślę? — zapytał towarzyszków Piotr Rozłucki.

— Bodaj, że wiem... — mruknął Wolski.

— A więc?

— Czas wracać do kraju.

— Wracać! — rzekł Bezmian.

— Wracajmy „tułacze... emigranci”...

— Nie!

— I cóż komu z nas? Cóż my jesteśmy? Trzej poddani, trzy jednostki...

— Każda jednostka może być potęgą, jeśli się schyli, rozmnoży swą duszę i siłę.

— Do pracy istniejącej biernej dołączmy pracę nową.

— Słuchajcie, wy dwaj... — mówił Rozłucki — widzieliśmy przecie świat. Wiemy wszyscy trzej, jak się z niczego stwarza wszystko. Zawrzymy tutaj we trzech, w tem milczeniu, wobec tych drzew, które tyle widziały, spisek. Przysięgnijmy tutaj, wobec tego Londynu, który tam huczy, że pomnożymy do najwyższej granicy moc polskiego ducha...

Władzę polską...

Pracę polską...

Dobro w Polsce...

— Trzeba Królestwo Boże w Polsce osadzić! Trzeba podnieść ręce tego ludu do Boga. Trzeba wskrzesić ducha bożego w tym rolnym tłumie... — mówił Wolski.

— Trzeba nauczyć ich dyscypliny ducha, przemienić wszystkich w żołnierzy. Niech raz wiedzą, że bez pozwolenia władzy z ducha, bez rozkazu z urzędu najwyższej myśli, nie wolno nic, nie wolno nawet za Ojczyznę i lud umierać! — mówił Rozłucki.

— Nie! Trzeba najprzód zwalić od przyciesi gwałt brata nad bratem. Nie oszczędzać krzywdy, palić ją żagwią, oddać dla jej zniszczenia wszystko do ostatniej koszuli i do ostatniego marzenia... Wtedy dopiero w weselu duszy trzeba rozpocząć pracę od nowa — mówił Bezmian.

— Pamiętajcie na ten nasz spisek.

— Ktoby ustał w pracy, albo się wrócił, albo zaniechał dla bezwładu, — temu pogarda pozostałych dwu!

— Kto wytrwa i wypełni, temu pochwała pozostałych dwu!

(Stefan Żeromski: „Uroda życia“ t. 2-gi, Kraków, 1911 r. „Książka” sp. nakł.).

DWUNASTU BOHATERÓW.

W Ameryce rozstrzygnięty został ciekawy konkurs, w którym brała udział młodzież 17-stu państw europejskich i 10 pozaeuropejskich. Nadesłano pół miljona list z nazwiskami dwunastu osób, które „najbardziej przyczyniły się do postępu i uszczęśliwienia ludzkości”. Twórcy konkursu chcieli zwrócić uwagę na to, co tworzy prawdziwą wielkość, a także zachęcić do studentów nad życiem i dziełami najwybitniejszych postaci historycznych. Wybrani bohaterowie, zarówno mężczyźni jak i kobiety, winni odznaczać się szlachetnością charakteru, poświęceniem dla umiłowanej sprawy, a także tworzyć dzieła wielkie i trwałe dla dobra ludzkości. Wybrane jednostki winny być zarówno szlachetne jak i genialne. Dzieła ich mają być twórcze i dobroczynne, włożyć w nie winni całą swą istotę aż do zupełnego zapomnienia o sobie. Wyłącza się z konkursu tylko założycieli religij, których wyznawcy uważają za bóstwa, a także ludzi żyjących jeszcze, o których wypowiedzieć nie można ostatecznego sądu.

Lista, która otrzymała największą liczbę głosów przedstawia się następująco: 1) Ludwik Pasteur, 2) Abraham Lincoln, 3) Krzysztof Kolumb, 4) Jerzy Waszyngton, 5) Benjamin Franklin, 6) Woodrow Wilson, 7) Florentyna Nightingale, 8) Joanna d'Arc, 9) Sokrates, 10) Jan Gutenberg, 11) Dawid Livingstone, 12) Jerzy Stephenson.

Bohaterstwo, w ujęciu powyższego konkursu, usuwa z widowni wodzów zwycięskich na polach bitew, a na ich miejsce stawia odkrywców, wynalazców, filozofów, oswobodzicieli ujarzmionych przemocą narodów, mężów stanu, którzy walczyli o zniesienie niewolnictwa, o zbieranie poważnionych państw i ludów, śmiałych podróżników i serca współczujące niedoli drugich, jak owa Florentyna Nightingale, którą zwano „genjuszem dobroci”. Za największego dobroczyncę ludzkości młodzież całego świata uznała francuskiego bakterjologa, Pasteura. „Uratował on więcej ludzi, pisze jeden z chłopców, niżli Napoleon uśmiercił we wszystkich swych wojnach”.

A o Kolumbie pisze inny: „Zniweczył on przesady i lęk przed morzem; przez ożywienie komunikacji morskiej zbliżył do siebie kontynenty. Nie wiedząc sam o tem, stał się zwiastunem czasu, w którym świat zespoli się ściślej”.

O dziewicy Orleańskiej mówi nagrodzona odpowiedź: „Joanna d'Arc, bohaterka, męczennica, święta — dziewczyna wiejska, która widziała swój kraj w mocy nieprzyjaciela, w chwili obezwładnienia i martwoty... A kiedy ona swe ręce na martwe ciało narodu złożyła, podniosło się ono i szło za nią”...

MŁODY ŻOŁNIERZU

.....
Młody żołnierzu, młody żołnierzu,
Za co ty idziesz w bój?

.....
— Za wszystko dobre idę w bój!
Za ideałów ołtarz mój,
Za życia moc,
Za życia zdroj,
Co dla milionów niezrodzonych płynie
W tajemnej wieków głębinie,
W bój idę, wierny przymierzu,
Co duchy w ogniwa sprzęga...
Na śmierć! — jest moja przysięga,
Na śmierć — mej tarczy znak.

W bój idę za bratni rój,
Za ciszę i plenność pól,
Za ciszę i światło chat,
Za borów szum, za łązny kwiat,
Za mogił zapomnianych tajemniczy ból,
Ja, traw podolnych, podeptanych brat,
W odkupień idę bój!
Idę, by na swem gnieździe mógł śpiewać wolny ptak,
By ziemia rodzić mogła dla łąknych kłosy,
By usłyszane były jutra tajne głosy
W pustym, bezdusznym dnia gwarze...
Za podniesienie pochylonych głów
W promiennosc słońca...

Za wielką pieśń bez słów,
Którą na dziejów cytarze,
Co świeci chwałą złota,
Na strunach czynów,
Z ojców na synów,
Nieśmiertelny hymn żywota
Naród — od lat tysiąca —
Sam sobie gra!

Ja skra,
Ja ruch,
Ja młodość świata,
Ja życia duch,
Co z grobów wzlata,
Ja życia zdroj,
Za wszystko dobre idę w bój,
W śmiertelny bój!

Marja Konopnicka

TWÓRCZOŚĆ I PRACA W SŁUŻBIE SPOŁECZNEJ

Urodziłem się 30 lipca 1863 r. na farmie w Dearborn, w stanie Michigan, a mojem najwcześniejszem wspomnieniem jest to, że, biorąc pod uwagę wyniki, zawiele tam było roboty. Dziś jeszcze tak samo myślę o rolnictwie. Nawet będąc bardzo młodym, przypuszczałem, że wiele możnaby zrobić jakimś lepszym sposobem. I to dało mi pōchop do mechaniki. Pierwszą wogóle rzeczą, jaką miałem w życiu, było coś niby warsztat z kawałkami i kawałeczkami metalu zamiast narzędzi. W owych czasach nie mieliśmy dzisiejszych zabawek; cośmy mieli, robiono w domu. Zabawkami mojemu były same narzędzia — i są niemi dziś jeszcze! A każdy odłamek maszyny był skarbem. Najważniejszym zdarzeniem wczesnych lat moich było spotkanie pewnego dnia, kiedy jechaliśmy do miasta, „lokomotywy drogowej”. Miałem wtedy lat dwanaście. Drugiem najważniejszym zdarzeniem w tym samym roku było otrzymanie pierwszego zegarka. Przypominam sobie ową lokomotywę, jakgdybym ją widział dopiero wczoraj, bo był to pierwszy wehikuł bez koni, który widziałem. Próbowałem robić jej modele i w parę lat później zrobiłem model, który szedł bardzo dobrze. Od czasu tego, gdy jako chłopiec dwunastoletni zobaczyłem tę lokomotywę drogową, aż do dnia dzisiejszego, interesowało mnie wielce budowanie maszyn do jazdy po gościńcach. Jadąc do miasta, miałem zawsze kieszeń pełną rozmaitości — śrubek, krążków uszczelniających, kawałeczków maszynowych. Często brałem połamany zegarek i próbowałem go zestawić. Gdy miałem lat trzynaście udało mi się po raz pierwszy złożyć zegarek tak, że chodził regularnie. Mając lat piętnaście mogłem już podjąć się prawie każdej naprawy zegarka, pomimo, że narzędzia moje były najpierwotniejsze. Można się niezmiernie wiele nauczyć przez proste łątanie rzeczy. Niemożliwą jest rzeczą dowiedzieć się z książek, jak wszystko się robi, a jednak, jak wszystko się robi, prawdziwy mechanik wiedzieć powinien. Maszyny są dla mechanika tem, czem książki dla pisarza: z nich bierze pomysły, a jeśli ma mózg, to pomysły te zastосуje. Od samego początku nie mogłem wzbudzić w sobie zainteresowania dla pracy na roli; ciągnęło mnie koniecznie do maszyn. Mając upodobanie do roboty delikatnej i skłonność do zegarków, pracowałem nocami w sklepie jubilerskim. Myślałem wtedy, że potrafię zestawić przydatny zegarek i omal nie rozpocząłem takiego przedsięwzięcia, ale nie zrobiłem tego, bo obliczyłem sobie, że zegarki nie są artykułem powszechnej potrzeby i że dlatego ludzie nie będą ich kupowali. Jak doszedłem do tego niespodziewanego wniosku, nie mogę już sobie przypomnieć. Chciałem robić coś w wielkich ilościach.

Będąc wykwalifikowanym mechanikiem i mając bardzo przyzwoity warsztat na farmie, nie miałem trudności przy budowie wozu parowego lub traktora. Podczas budowy przyszło mi na myśl, że może dałby się użyć na gościńcu. Byłem najzupełniej pewny, że konie, biorąc pod uwagę cały kłopot chodzenia koło nich i wydatek na ich wyżywienie, nie zarabiają na swe utrzymanie. Narzucała mi się myśl zaprojektowania i budowy maszyny parowej, dość lekkiej do pędzenia zwykłego wozu, albo do ciągnięcia pługa. Stała moją ambicją było *zdyćcie mozołu z ciała i krwi, a przerzucenie go na stal i motory*. Zbudowałem wóz parowy, który jechał. I ogłosiłem rzecz następującą: „Będę budował samochód dla milionów. Będzie on dość duży do jazdy z rodziną, ale dostatecznie mały do obsługi przez jednego człowieka. Będzie zbudowany z najlepszego materiału, przez najlepszych ludzi, jakich znaleźć można, według najprostszych rysunków, jakie współczesna technika zdolna obmyśleć. Ale będzie tak tani, że żaden człowiek z dobrym zarobkiem nie będzie w niemożności posiadania go—i używania ze swą rodziną błogosławieństwa godzin przyjemnych na otwartym szerokim Bożym świecie.

Zadziwiającą cechą ówczesnego prowadzenia interesu było to, że poświęcano wiele uwagi finansom, niewiele troszcząc się o obsługę publiczności. Wydawało mi się to odwracaniem naturalnego biegu rzeczy, według którego pieniądze powinny przychodzić, jako wynik pracy, a nie przed pracą. Drugą cechą była powszechna obojętność wobec lepszych metod fabrykacji, dopóki to, co się robiło, przynęcało i zagarniało pieniądze. Innemi słowy: towar najwidoczniej nie był robiony z oglądaniem się na pożytek, jaki będzie z niego miała publiczność, ale z oglądaniem się na pieniądze, jakie można zań dostać—i to bez żadnych szczególnych starań o zadowolenie klienta. Wystarczyło, że się sprzedało.

Widziałem, jak wielkie przedsiębiorstwa stawały się tylko cieniem imienia, bo ktoś myślał, że można je prowadzić tak, jak były zawsze prowadzone, a jakkolwiek kierownictwo mogło być kiedyś doskonałe, jego doskonałość polegała na jego ruchliwości w danej porze, nie zaś na niewolniczym naśladownictwie dni wczorajszych. Życie w moich oczach nie jest postojem, lecz podróżą. Nawet człowiek, który najsilniej czuje się „osiadłym”, nie jest osiadłym: najprawdopodobniej zapada się w grunt. *Wszystko jest płynne* i takie być powinno. Życie płynie. Możemy stale mieszkać pod tym samym numerem ulicy, ale nie mieszka tam stale taki sam człowiek...

Konkretnie ujęte, to, co uświadomiłem sobie w businessie, przedstawia się następująco: 1) że ludzie dają finansom miejsce

przed pracą i dlatego finanse dążą do zabicia pracy i zniszczenia podstaw użyteczności społecznej; 2) że skierowywanie myśli wprzód ku pieniądзом, zamiast ku pracy, przynosi za sobą obawę niepowodzenia, a ta obawa zamyka każdą drogę businessu — napęłnia człowieka strachem przed konkurencją, przed zmianą metod i przed uczynieniem czegokolwiek, coby zmieniło jego położenie; 3) że droga wolna leży przed każdym, kto myśli przede wszystkim o obowiązku — o wykonaniu pracy w możliwie najlepszy sposób...

Chwila zastanowienia się starczy, by się przekonać, że wielkie nagromadzenie pieniędzy nie daje już osobistych korzyści. Człowiek jest tylko człowiekiem i dla swego wyżywienia i ogrzania potrzebuje tej samej ilości i takiej samej jakości strawy i odzieży, czy jest biedny, czy bogaty. A nikt nie może zamieszkiwać równocześnie więcej, niż jeden pokój. Ale jeśli kto ma *wizję służby społecznej*, ma szerokie plany, których zwykłemi środkami nie wykona, ma ambicję życiową doprowadzenia pustyni przemysłowej do rozkwitu bujnych róż, a pracę codzienną do osypiania pękiem świeżych, podniosłych pobudek, wyższych porывów i działań — wtedy w wielkich sumach pieniężnych widzi to samo, co rolnik w swoim siewie: zaczątek nowych i bogatszych żniw, których pożytku, tak samo, jak promieni słońca, nie zdoła ograniczyć samolubstwo. Dwa są na świecie rodzaje ludzi niemądrych. Jednym jest milioner, — wyobrażający sobie, że gromadząc pieniądze, skupia w swem ręku jakąś prawdziwą władzę — a drugim reformator bez grosza, wierzący, że gdy tylko uda mu się odebrać pieniądze jednej klasie, by je dać drugiej, uleczy wszystkie bolączki świata. I jeden i drugi na fałszywym są tropie.

Niektórzy z groszorobów naszych czasów, którym najwięcej się poszczęściło, bogactwa ludzkiego nie pomnożyli ani o wartość jednego grosza. Bo czy karciarz pomnaża bogactwa świata?

Gdybyśmy wszyscy tworzyli bogactwo tylko do granic swojej twórczej zdolności, wtedy byłoby poddostatkiem dla każdego i każdy otrzymałby poddostatkiem. Wszelki prawdziwy brak artykułów pierwszej potrzeby wynika tylko z niedostatecznej wytwórczości, a ta znów bywa zbyt często następstwem niedostatecznej wiadomości, jak i co wytwarzać.

Ziemia wytwarza, albo może wytwarzać poddostatkiem na przyzwoite utrzymanie wszystkich ludzi — nietylko poddostatkiem żywności, ale wszystkiego, czego nam potrzeba. Bo *wszystkiego wytwórczynią jest ziemia*. Cała moja działalność była wysiłkiem, by udowodnić czynami, że *oddawanie usług klasie należy przed zyskiem* i że takie prowadzenie interesów, które podwyższa do-

brobyt świata, jest zawodem zaszczytnym. Rozpoczynaliśmy, nie mając prawie nic, a co dziś mamy, zarobiliśmy sami, zarobili niestrudzoną pracą i wiarą w swoje zasady. Wzięliśmy przedmiot zbytku i przemieniliśmy go na przedmiot codziennej potrzeby.

Wiele, wiele rzeczy się zmieni. Nauczymy się być panami, a nie sługami natury. Bo przecie, mimo całej swojej urojonej zręczności, polegamy jeszcze w wielkiej mierze na zasobach przyrody i myślimy, że nie dadzą się one zastąpić. Kopiemy węgiel i rudę i ścinamy drzewa; zużywamy węgiel i rudę i nie ma ich; drzew nie można zastąpić w okresie jednego pokolenia ludzkiego. Przyjdzie czas, kiedy zdołamy ujarzmić ciepło, wszędzie nas otaczające i nie będziemy już zależni od węgla; już dziś uzyskujemy ciepło przez elektryczność wywołaną siłą wodną. Ulepszymy tę metodę. Z rozwojem chemii, znajdzie się metoda przemiany żywych, rosnących tworzyw w substancje wytrzymalsze od metali. Dotychczas nie dotarliśmy do pełni użyteczności bawełny, a można pewno wyrabiać drzewo lepsze, niż to, które rośnie. Duch prawdziwej służby będzie dla nas duchem twórczym, byle tylko każdy z nas szczerze spełniał tę część, która mu przypadnie.

Wszystko jest możliwe... „Wiara jest rdzeniem rzeczy spodziewanych, świadectwem rzeczy niewidzianych...”.

(Henryk Ford: „Moje życie i dzieło”. Warszawa. Instytut. Wydawn. Biblioteka Polska. 1925.)

POTĘGA POLITYCZNA W SŁUŻBIE LUDZKOŚCI

W trzy tygodnie i trzy dni po ostatnich zwycięskich strzałach wielkiej wojny przepłynęło amerykańskie Argo pokoju — „George Washington”, w towarzystwie okrętów wojennych — przez strojny, flagami ubrany port nowojorski, nowa „Santa Marja”, puszczająca się w nadzwyczajną podróż odkrywczą, w nieznaną świat. Wielki statek majestatycznie przepłynął przez cieśniny — na niebie w górze krążyły aeroplany, a forte stronne ryczały nieznanymi dotąd pożegnalnymi salwami dwudziestu jeden dział, gdyż nigdy dotychczas Prezydent Stanów Zjednoczonych nie puszczał się morzem w drogę do obcego kraju. Działo się to w czasie, zanim jeszcze potęga i chwała, uniesienie i wzruszenie zwycięstwem nie zagasło i było coś triumfalnego w wyruszeniu tego amerykańskiego statku. Niósł on przywódcę, który więcej niż ktokolwiek inny w tych ostatnich strasznych latach światowej wojny przemówił do wyobraźni ludz-

kości i podniósł słabnącego ducha sprzymierzonych szermierzy dając im nową wizję tego, co okupić miało ich cierpienia. „W czasie tej wojny — powiedział pewien pisarz w paryskiej *L'Illustration*, a mówił to przed końcem wojny — „ku Wilsonowi przewodnicy nasi zwracali się najczęściej i patrzyliśmy na niego tak, jak się patrzy na zegar. Co Wilson mówi? Co myśli? Co robi? — Takie były codzienne pytania ludów?”...

W okresie rozegzaltowanego uczucia przyjęły go narody, jako prawdziwego proroka, a słowa jego stały się żywą siłą „wartą tyle, co armja” w świecie. „W oczach milionów ludzi” — pisał austriacki hrabia Czernin, — „program jego stworzył cały świat nadziei”. Sprawę sprzymierzonych postawił na nowym, *moralnym poziomie*. Mężowie stanu sprzymierzonych narodów, uznając potęgę tej fali idealizmu, chwycili się jej skwapliwie, jako środka „unifikacji” i „remoralizacji”, a wielkie amerykańskie agencje prasowe dopomogły do przeobrażenia jej w legendę. Zwłaszcza tak silne było dla niego uczucie, jako dla „oswobodziciela Polski”, że gdy się studenci spotykali — mówił mi to jeden z nich — witali się uściskiem dłoni i okrzykiem „Wilson!”...

„Mówcie mi, co jest słuszne” — powiedział — „a ja walczyć za to będę; dajcie mi mocno obwarowaną pozycję”. Nie tań także, że nie ma złudzeń co do czekającej go walki. Przewidując trudności na konferencji w sprawie uczynionej przez siebie propozycji, dotyczącej tęsknoty ludów świata za nowym porządkiem rzeczy, zauważył: „Jeżeli nie będzie chciała działać, trzeba ją zmusić do działania, ponieważ świat stoi przed zadaniem straszliwych rozmiarów i tylko godząc się na proces oczyszczenia go, można go będzie odrodzić. Trucizna bolszewizmu, mówił, dlatego chętnie została przyjęta, gdyż „jest to protest przeciw kolejom, jakimi poszedł świat”. Dwie były wielkie centralne idee w jego programie. Jedna dotyczyła politycznych praw i swobód ludów, druga zobowiązań i kontroli ludów. Były to: 1) Prawo „*samostanowienia narodów*”; rząd musi się opierać na „zezwoleńiu rządzonych”. 2) Zobowiązanie do współpracy w światowym zrzeszeniu dla wzajemnej pomocy i ochrony, jednym słowem: *Liga Narodów*.

Prezydent przeciwstawił płomienną wizję Ameryki, jako potężnego państwa, mającego misję, nietylko dbać o własne powiększenie, ale *służyć światu*. Tu wznosił się do szczytnych wyżyn proroczej wymowy. Jego wizja Ameryki była odległa o światy całe od niemieckiej idei państwa, szukającego tylko własnego bezpieczeństwa i własnego powodzenia. Miał w oczach obraz wielkich stanów, na podobieństwo największych mężów, poszukujących nie własnych celów, ale służących ludzkości i w tym duchu za-

kładających nowy porządek międzynarodowych stosunków. Zagraniczni pisarze jaśniej, zdaje się, pojęli istotną naturę i znaczenie wizji Prezydenta, niż wielu z jego ziomków, lepiej spostrzegli, jakie ma znaczenie dla świata, jakim natchnieniem czy udręczeniem będzie dla przyszłych pokoleń. Pisze w „Hibbert Journal” profesor L. P. Jack: „Kiełkującą ideą w polityce Wilsona jest, że Ameryka jest sługą wpośród narodów, nie panem. Jest to szlachetna koncepcja i zdolna natchnąć młody i potężny naród wizją swego przeznaczenia i wykreślić dla niego na przyszłe wieki drogę rozwoju różną, ale wyższą, niż te, które starsze państwa świata szły dotąd. Jakkolwiek *idea wielkości w służbie* oddawna była znana, prezydent Wilson jest pierwszym mężem stanu, który wprowadza ją w życie, jako przewodni pierwiastek polityki międzynarodowej -- i to jedno zapewnia mu wybitne miejsce we wdzięcznej pamięci ludzkości. Zbyteczne jest mówić, że ta idea — że największy naród musi być służącym narodem — stoi w biegunowym przeciwieństwie do pojęcia o wielkości narodowej, jak ją rozumieją władcy i ludy germańskie”. Jednym słowem Prezydent *stosował do stosunków międzynarodowych najwyższe zasady moralności chrześcijańskiej*. „Kto z was będzie najprzedniejszym, niechaj będzie sługą wszystkich”. Pojmował Amerykę nie w charakterze wielkiej politycznej potęgi, ani bogactwa, ani wielkiego handlu, ale w duchu moralnego przodownictwa i międzynarodowej służby. Raz poraz, zarówno przed wojną, jak i podczas konferencji pokojowej, Prezydent powtarzał: „Ameryka stworzona jest poto, by jednoczyć ludzkość”. „Mojem marzeniem jest, by świat zwrócił się do Ameryki po te moralne natchnienia, które leżą u podstaw wszelkiej wolności i by wiedział, że sztandar jej jest sztandarem całej ludzkości”...

W listopadzie 1918 r. w mowie swej w Izbie Deputowanych w Rzymie przedstawiał stanowisko Stanów Zjednoczonych: „Ten problem nie tyle jest problemem znalezienia nowej formy społecznego życia, ale raczej problemem czucia i życia w myśl tej zasadniczej prawdy, że *w świecie etyki potęga nie jest źródłem większych praw, ale szerszych odpowiedzialności i stąd większych obowiązków*. Uznając to, prezydent Wilson zaszachował niemiecką imperjalistyczną teorię „siły przed prawem” zasadą „obowiązków najsilniejszego” — i tej zasadzie dał najszlachetniejszy wyraz, stawiając autorytet prawa moralnego ponad potęgę Stanów Zjednoczonych”. Ta to myśl wielkiego narodu, działającego w służbie ludzkości, ku ochronie słabych, ku podniesieniu uciśnionych i deptanych, ku ściągnięciu na świat sprawiedliwości — to właśnie poruszało te potężne, okrzykujące

tłumy w Rzymie, w Paryżu, w Londynie. To właśnie — światu nędzy „otwierało świat nadziei”. Te idee przedstawiały nie tylko głębokie przekonania Prezydenta i Amerykanów, ale również wyrażały dążenia i przekonania szerokich mas ludów wszystkich krajów. Liga Narodów była logiczną konsekwencją tej idei Prezydenta o służbie, jako o obowiązku narodowym. *Narody świata winny się wiązać w duchu wzajemnej usługi*. Znamiennym jest objawem, że ze wszystkich przywódców sprzymierzonych Wilson jedyny wywołał wielkie ludowe powitania w stolicach Europy...

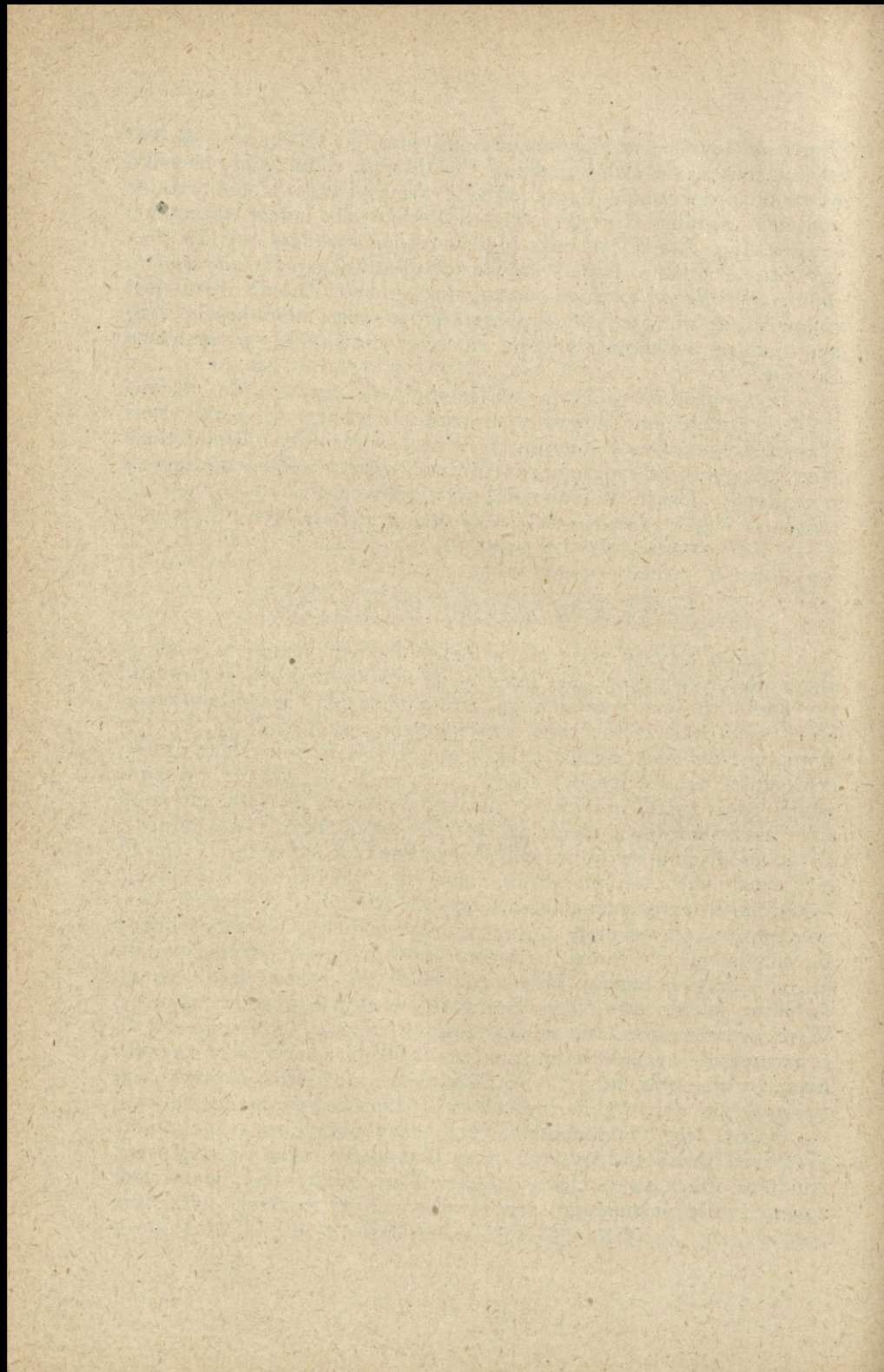
... 13 grudnia „George Washington” przybył do Brestu, a 14-go przejechał Wilson z prezydentem Francji przez Pola Elizejskie — „Vive l’Amerique! Vive le Président!” wołał tłum. Nad ulicą, którą przejeżdżał orszak, wisiała wielka chorągiew z napisem: „Cześć Wilsonowi Sprawiedliwemu”!..

(Woodrow Wilson „Kształtowanie losów świata”. t. 1-szy. Wydał St. Backer. Warszawa, Instytut Wydawniczy. Bibl. Polska 1924 r.).

SZTUKA W SŁUŻBIE SPOŁECZNEJ

Dzieło artysty staje się w pełni dziełem sztuki w wielkim akcie dokonywującego się między jednostką twórczą a gromadą czy społecznością wzajemnego wtajemniczenia, współtworzenia, jedni mistycznej... Bez tego wzajemnego współdziałania, bez tej *Komuny Duchowej*, dzieło sztuki jest biurowym pomysłem, czemś, co łaknie tchu Bożego, rzeczą martwą, bezwładną, pozbawioną cech życia, prawdy i działania. Niech artysta udostojni się i uprzedmiotowi, niech na ołtarzu sztuki złoży swą jednostkową materialną odrębność, by ożyć i ocknąć się w sercu wszystkich czujących, jak pierwotni, najwięksi bezimienni bardowie... Prawdziwie artystyczną stanie się kiedyś tylko twórczość bezimienna, ta, co się staje dobrem powszechnem, po które każdy się schyla, jak po wodę ze źródła, jak po kłos pszeniczny, do której każdy w każdej chwili przyznać się może, jak do swego dorobku, jak do swojej ucieleśnionej w słowie żywej tęsknoty. W mistycznym procesie społecznego tworzenia, łączącego artystę z narodem — współtwórcą, należy szukać rozwiązania zagadki homerowej i tylu innych bezimiennych rapsodów, którzy wyzbywszy się naiwnej żądzy sławy jednostkowej, może śnili jak Kordjan o tem bezimienem „On”, co z pokolenia w pokolenie przejdzie, rozebrzmi tysiąca dusz ludzkich i światów odgłosem, zbuduje ołtarz swej chwały bezcielesny, podniebny, we wzmożonem tętnie pulsującego serca wzbogaconej na duchu ludzkości.

(J. N. Miller: „Zaraza w Grenadzie”).



IX

CHOROBY SPOŁECZNE

*„Kto nie wyjdzie z domu, aby zło
znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić,
do tego zło samo przyjdzie i stanie
przed obliczem jego”.*

CHURCH OF THE PROTESTANT

The Church of the Protestant
is a body of Christians who
believe in the Bible as the
Word of God and in the
Saviour Jesus Christ.

O ZWROTNICY ŻŁE NASTAWIONEJ

Te wszystkie powszednie sprawy,
czy to będzie walka o chleb,
czy zabawy,
czy przemysł, czy sklep,

czy rząd,
czy wojna,
czy rewolucja — skąd
rzekomo przyszłość ma wyrósć spokojna,

różnice narodów,
nienawiści ras —
jakże temu wszystkiemu daleko do godów,
które zostawił Chrystus w nas.

Dziwnie opacznie
układamy sprawy nad wyraz kłamliwie —
i oto pytania! kiedyż zacznie
człowiek w Panu i Łasce — w sobie żyć szczęśliwie?!

(Emil Zegadłowicz: „Dom Jałowcowy”. 1927 r. Warszawa. Nakładem Księgarni
Hoesika).

N Ę D Z A

Zaczęło się od starego łóżka, cośmy na niem we trzech
sypiali.

Tego dnia ojciec, zły czegoś, z rzeki wrócił i, siadłszy na
ławie, ręką głowę podparł. Pytała się matka raz i drugi, co mu,
ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota
koło żwiru skończyła, i że szkapa tylko piasek teraz wozic bę-
dzie. Zaraz mnie Felek szturchnął w bok, a matka jęknęła zcicha.

Miał ojciec wieczorem po doktora iść, ale mu jakoś nie-
sporo było. Chodził, medytował, po kątach pozierał, aż stanął
przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łóżku, Anulko? Sypiam ja na ziemi toż i oni mogą.

Spojrzelśmy po sobie. Dwie złote iskry zabłyśły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łóżku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadł.

— Dalej! Jazda! — krzyknął Felek i zanim matka odpowiedzieć zdążyła, jużemy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły wywracać na nim zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łóżku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkiem odłazi. Nie chciał tedy „handel”, którego mi ojciec zawołać kazał, o łóżku ani gadać, pieniądze naliczone miedzakami zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi zasunął. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale się handlarz uparł. Z sieni dopiero brodę do izby wsadził, postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrzał na nas, spojrzał na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— Ojej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, a nie zmieniając pozycji, poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił, Felek znów na mnie, aż nam ją „handel” z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarпали.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy „handlowi” poduszkę, którą już pod pachą trzymał, i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta, i że się z niej pierze sypie. Znów tedy „handel” jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziewięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, ale żeby mu kołdrę naszą jeszcze dodać.

Ojciec spojrzał na matkę. Była tak osłabiona i blada, że wyglądała jak martwa, leżąc nawznak, z głęboko zapadłymi oczami.

— Anulka? — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam kołdry proszę ojca nie chcemy! — krzyknął Felek. — My się tylko o tę kołdrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie.

— Prawda, proszę ojca; — potwierdziłem gorliwie. — Co noc się bić musimy, bo spada.

„Handel” już kołdrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z triumfem w podwórkę.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom, co tam w klipę grali — „handel” kupił nasze łóżko, kołdrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali!...

— Wielka parada! — odkrzyknął blady Józiek od krawca z lewej oficyny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sypiam i bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Spanie takie nie było więc już widać naszym wynalazkiem.

(Marja Konopnicka: „Nasza szkap”, nowele i obrazki. Nakład Gebethnera. Warszawa—Kraków. 1893 r.).

BEZROBOTNI

Co rano—w deszczowej tej porze ranki były zupełnie ciemne, zjawiały się masy bezrobotnych przed biurami pośrednictwa pracy. Całe oddziały, pułki, armje zalewały ulicę. Zmarznięte, kaszlące wyłaziły co rana z nor, które służyły im za nocleg. Obuwie miały rozmiękle i podarte, łachmany, okrywające ciało, mokre były od deszczu. Wielu nie miało na sobie nawet koszuli. Byli bladzi, brudni, zaniedbani; większość z nich kaszel chylił wprost ku ziemi. Stali cierpliwie w ulewnym deszczu, czerwone ręce włożywszy do kieszeni; przestępowali z nogi na nogę — czekali. Mówili niewiele. Niektórzy tylko krzyczeli coś w podnieceniu, opowiadali o głodujących kobietach i dzieciach, przeklinali rząd, związki zawodowe, kapitalistów.

Po upływie pół godziny, zapotrzebowanie pracodawców pokrywało się; posad było tak niewiele!

Dzień się zaczynał i pułki nieszczęśliwych rozpoczynały znów wędrówkę po tysiącznych ulicach miasta. Chodzili z rozpaczą w sercu. Jakąż zbrodnię popełnili, że skazano ich nato, aby się przez dwanaście godzin tłukli po twardym bruku?

Ciężki kryzys gospodarczy zwałił się na świat cały. Rynki były przepełnione, składy pękały wprost od towarów, które wypływały bez przerwy fabryki wszystkich kontynentów. Towary zawieziono aż do rzeki Jantsekiang, do Amazonki, dotarły do dalekich kontynentów, zamieszkałych przez kolorowe plemiona. A handlarze siedzieli i czekali. Można będzie mówić o poprawie stosunków dopiero wtedy, gdy olbrzymie składy towarowe całego świata zaczną się przerzedzać...

Tymczasem floty okrętów handlowych leżały spokojnie

w przystaniach. Gromadziły się olbrzymie stosy węgla, a równocześnie armje bezrobotnych rosły z dnia na dzień...

Zdawało się, że wszelka nadzieja stracona...

Dzień w dzień, w przeciągu dwóch tygodni, zjawiał się Jerzy o świcie przed kantorami pośrednictwa pracy. Bez rezultatu! Marszczył czoło, tracił równowagę. Chwiał się na nogach. Często bywał zmuszony do spędzania nocy na wolnem powietrzu. Chwała Bogu, ciepło jeszcze było. Przypadkowo odkrył pewien placyk, świetnie odsłonięty przed wiatrem. Tutaj skulony, owinięty płaszczem, siedział na ławce. Na innych ławkach kuliły się inne cienie.

Automobile ryczą, wokoło śmiech, krzyk, kłótnie. Przecho-dzą pijacy, głośno ze sobą rozmawiając. Miasto przez noc całą nie usnie ani na sekundę. Woddali słychać szum pociągów, raz głośny, hałaśliwy, to znów zupełnie delikatny.

Siedzi na ławce, sam w tém olbrzymiem mieście. Zobaczył nagle matkę: pierze i szoruje w kuchni, oświetlonej zakopconą lampką, od czasu do czasu zaczerpnie z niebieskiego garnuszka łyk mizernej kawy, oczy jej się kleją do snu ze zmęczenia. Napisał do niej, że czasy są teraz ciężkie i że wskutek tego nic jej posłać nie może.

Wróciły sny młodzieńcze, wróciły dawne marzenia o sła-wie. Całą noc siedzi skulony na ławce, serce mu bije, jak młot.

(B. Kellermann: „Bracia Schellenberg” t. 1-szy, przekład J. Frühlinga, War-szawa 1926 r. Warszawska Spółka Wydawnicza).

DZIECKO W FABRYCE

Odległy gwizd przeciągły i przejmujący porwał ich oboje na nogi. Kobieta spojrzała na blaszany budzik na półce. Strzałki wskazywały wpół do szóstej. Świat fabryczny budził się dopiero teraz. Narzuciła chustę na ramiona, głowę zaś nakryła staromod-nym kapeluszem, spłowiałym i niekształtnym:

— Musimy pędzić—rzekła, przekręciwszy knot lampy i uga-siwszy ogień na kominku.

Omackiem zeszli na dół. Było ciemno i chłodno. Janek wstrząsnął się dreszczem przy pierwszym zetknięciu z mrozem. Gwiazdy jarzyły się jeszcze na niebie, miasto było pogrążone w ciemnościach. Syn i matka szli, powłócząc nogami.

Po kwadransie milczącego marszu kobieta skrzyła w prawo.

— A nie spóźnij się—brzmiało jej ostatnie polecenie, rzucone ze skrywającego ją mroku.

Nic nie odpowiedział, krocząc wytrwale swą drogą. W dzielnicy fabrycznej, co chwila otwierały się jakieś drzwi. Janek niebawem zmieszał się ze śpieszącym w powrocie tłumem. W chwili, gdy mijał progi fabryki, rozległ się powtórny głos syreny. Janek spojrzał ku wschodowi. Skroś na horyzoncie, poprzeryzanym szczytami domostw, zaczynało się przesączać blade światło. To było wszystko, co Janek zobaczył ze światła dziennego, do którego odwrócił się plecyma, by złączyć się z towarzyszami pracy. Zajął swoje miejsce przy jednej z licznych maszyn, w długie ustawionych szeregi. Przed nim stała skrzynia napełniona małymi szpulkami, nad którą szybko obracały się wielkie walce. Na owe walce nawijał przędzę konopianą ze szpilek. Robota była prosta, wymagała jedynie pośpiechu.

Drobne szpuleczki opróżniały się tak chyżo, skuteczniało to tyle dużych szpul, że nie było czasu na próżnowanie.

Janek pracował jak maszyna. Skoro szpulka wyskakiwała, używał lewej ręki jako hamulca, zatrzymywał walec, chwytając między palce, duży i wolny koniec nici. Rozmaite te ruchy obu rąk wykonywał zwinnie i sprawnie. Zaczem błyskawicznie zaciskał węzeł tkacki i puszczał walec. Węzły tkackie — to nie trudnego. Janek chwalił się kiedyś, że potrafiłby wiązać je — nawet przez sen. Niektórzy z chłopców marnowali czas i niszczyli maszyny, zaniedbując wstawić na miejsce szpulki, skoro wyskakiwały. Gwoli baczenia na to był specjalny nadzorca. On to właśnie przyłapał sąsiada Janka na tej szacherce i wytargał go za uszy.

— Spójrz tam, na Janka, czemu nie robisz, jak on?... mówił zirytowany nadzorca.

U Janka szpulki kręciły się jak wicher, ale on ani drgnął, słysząc tę pośrednią pochwałę. Apatyczna jego twarz pozostawała bez wyrazu, gdy słyszał, jak go stawiano za wzór. Z doskonałego robotnika Janek zmienił się w doskonałą maszynę. Jeśli robota szła niesporo, było to, jak w maszynie, wina materiału. Janek nie mógł popełnić błędu, byłoby to tak, jakgdyby doskonały stempel miał wykrawać niedoskonałe gwoździe.

Chłopak sąsiadujący z Jankiem szemrał, pociągając nosem. Twarz jego była skrzywiona nienawiścią do nadzorcy, groźnie spoglądającego ku niemu zdaleka; ale już wszystkie szpulki wrowały, jak należy. Chłopiec miotał straszliwe przekleństwa pod adresem owych szpilek, lecz nie było ich słychać już na odległość sześciu kroków, rozbijały się o zgiełk sali, jak o ścianę.

Janek nic z tego wszystkiego nie zauważył. Miał swój odrębny stosunek do otaczających go zjawisk. Zresztą fakty wciąż powtarzające się stwarzają monotonię, on zaś wielokrotnie był świadkiem takiej sceny. Stawianie oporu względem nadzorcy

wydawało się czemś równie bezcelowem, jak sprzeciwianie się maszynie.

Nagle wtargnęło do sali jakieś podniecenie i w jednej chwili ogarnęło wszystkich obecnych. Jednonogi chłopiec, pracujący po drugiej stronie Janka, żwawo prześlizgnął się ku pustej skrzyni i schował się tam, razem ze swem szczudłem. Inspektor fabryczny zbliżał się w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka. Był pięknie odziany; według klasyfikacji Janka był to gentleman i przytem „Inspektor”.

Po drodze spojrzał bystro na chłopców. Co chwila zatrzymywał się i zadawał pytania. Przy tej czynności zmuszony był wrzeszczeć na całe gardło, by go słyszano. Przenikliwym okiem zauważył puste miejsce obok Janka, nic jednak nie powiedział, Janek również spotkał się z jego spojrzeniem i zatrzymał się raptownie. Inspektor ujął Janka za ramię, by go odciągnąć nieco od maszyny, lecz puścił natychmiast, wydając okrzyk zdumienia.

— Porządnie chudy — zaśmiał się z zakłopotaniem.

— Patyki — brzmiała odpowiedź. Proszę spojrzeć na te nogi. Chłopak ma krzywicę. Jeśli nie skończy na padaczkę, to tylko dlatego, że go suchoty zmożą pierwej.

— Słuchaj, chłopcze, trzeba mi powiedzieć prawdę, — mówił, a raczej wrzeszczał Jankowi do ucha... Ile masz lat?

— Czternaście — skłamał Janek z całej mocy swych płuc.

— Wygląda conajmniej na szesnaście — rzekł starszy dozorca?

— Albo na sześćdziesiąt — drwił inspektor.

— On zawsze był taki?

— Od jak dawna? On zapewne przez wszystkie owe lata pracował tutaj?

— Tak, z przerwami, ale to było, zanim weszła w życie nowa ustawa — dodał pośpiesznie nadzorca.

Przeszli dalej; Janek wrócił do pracy, ale jego kulawy sąsiad mniej był szczęśliwy. Bystroki inspektor wygrzebał go z paki. Chłopaka wargi się trzęsły, miał wyraz twarzy człowieka, którego dotknęła nieodwołalna klęska. Nadmajstrzy wyglądał zdziwiony, jakgdyby widział chłopca poraz pierwszy, na licu zaś nadzorcy malowały się wstyd i niezadowolenie.

— Ja go znam — rzekł inspektor. Ma dwanaście lat. W tym roku wykreśliłem go już z trzech fabryk, tu będzie czwarta.

Zwrócił się do kaleki:

— Obiecałeś mi słowem honoru, że pójdziesz do szkoły.

Chłopak wybuchnął płaczem.

— Proszę pana Inspektora straszna bieda w domu...

Skończyło się tem, że jednonogi chłopiec opuścił salę wraz z inspektorem, w towarzystwie zaniepokojonego nadzorcy. Późem nastąpiła znów monotonia. Minęło długie przedpołudnie i popołudnie jeszcze dłuższe; gwizd syreny oznajmił koniec roboty. Zmrok zapadł, gdy Janek poraz wtóry mijał próg fabryki. Przez ten czas słońce wspięło się po złocistej drabinie niebios, zalewając świat swem dobrotliwym ciepłem, poczem osunęło się w dół i przypadło na zachodzie, za spiętrzonemi dachami domostw.

Dla Janka wszystkie dni były jednakie. Wczoraj to samo było, co przed rokiem, tysiąc lat znaczyło tyle, co jedna minuta. Nic się nigdy nie działo. Nie było wydarzeń. Czas nie płynął. Stał zawsze w miejscu. Tylko maszyny były wciąż w ruchu. A fabryka zrobiła z niego doskonałą maszynę. Produkował znacznie większą ilość jardów sukna, niż którykolwiek z pozostałych tkaczy, a przeszło dwa razy tyle, co mniej zdolni wśród robotników.

Życie nie dawało mu żadnych radości. Wszystek czas trawił w robocie, a świadomość jego była świadomością maszyny. Był wołem roboczym. Duchowe życie jego nie istniało; przecież głęboko gdzieś w skrytkach jego duszy była ważona każda godzina znoju, każdy ruch rąk, i dojrzewały przygotowania do przyszłych działań, które wprawić miały w zdumienie jego samego i cały drobny światek jego otoczenia.

(J. London „Odszczepienie” Warszawa Ignis. 1924 r. przekł. G. Karskiego).

W Y Z Y S K

Ręce robocze w Afryce są tanie. Dwunogich zwierząt nie zabraknie nigdy. Czarni robotnicy nie są zorganizowani. Europa jest daleko. Cywilizowany, biały człowiek ma tu pole do popisu. Może robić z krajowcami, co mu się żywnie podoba. W Europie nie dowiedzą się o tem. W Europie wychodzą pisma, wynoszące pod niebiosy łagodne i rozsądne rządy białych ludzi. Radio, telegraf i pocztowe parowce nie przywiozą nigdy skargi krajowców. Bo i komuż skarżyć się mogą na swój los murzyni? Oni nie wiedzą nawet o tem, że cywilizacja dąży do równości praw obywatelskich. Nie wiedzą, że mogliby być panami na własnej ziemi. Nie wiedzą, że wzamian za szklane paciorki, przywożone im z fabryk berlińskich, biali wywożą od nich tysiące kilogramów złota, setki tonn kości słoniowej. Że ojczyzna ich jest rabowana w barbarzyński sposób ze skarbów przyrodzonych.

Całe plemiona murzyńskie morduje się powoli dlatego, że zamieszkują ziemię bogatą w złoto, a narody europejskie prowadziły ciężką wojnę i potrzebują złota na jej zapłacenie.

To, co biali nazywają niesieniem cywilizacji, jest w koloniach afrykańskich, z niewielkimi może wyjątkami, rabunkową eksploatacją. Pod przykrywką cywilizacji, w imię coraz to wznioślejszych idei, wyzyskuje się ludzi bezbronnych, oszołomionych ogromem tego, co widzą poraz pierwszy, steroryzowanych przez „humanitarnych” kolonizatorów.

Jakiem dobrodziejstwem jest ta kolonizacja dla krajowców. Dzienniki zapisują całe kolumny o tem, że specjalna misja lekarska wyjeżdża na Czarny Łąd, aby zwalczać śpiączkę. Ale nikt nie wspomni o tem, jaki procent krajowców w portach został zarażony przez białych różnemi strasznemi chorobami. Jakżeż oburzali się ludzie cywilizowani na walki, jakie prowadziły z sobą poszczególne plemiona! A któż dał czarnym do ręki śmiercionośne karabiny i kazał im mordować się nawzajem, dlatego, że w Europie wrze wojna? Zabroniono im dzikiego zabijania się oszczepami, aby nauczyć ich cywilizowanego mordowania się karabinami maszynowemi, trującemi gazami i bombami rzucanemi z aeroplanów!

Dążono do zniesienia niewolnictwa. Dawniej niewolnikiem był tylko ten, kogo handlarze schwytali i wywieźli. Dzisiaj niewolnikami są wszyscy czarni. Niewolnikami we własnym kraju, gdzie odebrano im wszystkie prawa, a postawiono nad nimi bat.

Bo przecież z dzikimi ludźmi nie warto zadawać sobie więcej kłopotu. Przecież to tylko „dzicy”, w dodatku jeszcze czarni. A MY jesteśmy cywilizowani, MY stojmy o niebo wyżej!

...Murzyni? Od tysiącleci polowano na nich, od tysiącleci urządzano w głąb czarnego ładu wyprawy po czarny towar, setki tysięcy wyginęło ich w niewoli, a miliony ich jeszcze pozostały na ziemi macierzystej. I gdyby te miliony czarnych powstały kiedyś zgodnie przeciwko rasie białej, by odzyskać swą ziemię i wolność na niej, ciężko byłoby zapewne walczyć z nimi.

Ale tymczasem murzyni pracują pokornie i ulegle, znosząc z poddaniem się swój los, biernie przeżywając życie. Pracują u nas na statku, nieraz po czternaście godzin na dobę, zarabiając po dwa franki dziennie (1 frank belgijski — około 25 groszy). Po pięciu dniach ciężkiej pracy mogą sobie kupić szklanekę piwa, gdyż cena jej wynosić dziesięć franków.

Śpią na matach, rozłożonych na żelaznym pokładzie. Rzucają się na nie tak, jak odeszli od pracy, w podartych łachmanach. Śpią jak zabici, dopóki gwizdki nie zbudzą ich do nowej pracy. Rano dostają po cztery suchary, które jedzą, maczając

w brudnej, żółtej wodzie, czerpanej z rzeki. Czystej wody ze statku pić im nie wolno. W południe wydaje im się ryż. Właściwie miazgę z najgorszego gatunku ryżu, gotowaną na parze w brudnej beczce. O soli, oczywiście, niema mowy. Wieczorem znowu cztery suchary.

...Długi sznur czarnych z ciężarami na głowie wije się bez końca na molo i na brzegu. Coraz głębiej zapuszcza się w otwarte luki ciężki hak windy. My, oficerowie, pracujemy tu dziesięć razy więcej, niż pracuje się normalnie w portach Europy. Ale czymże jest to wszystko, razem wzięte, wobec wysiłku czarnych? Mimo, że jesteśmy zajęci więcej, niż przez dwanaście godzin na dobę, udaje się nam z powodzeniem stosować zasadę, że murzyn nie powinien widzieć pracującego białego. Biali są tylko od pilnowania czarnych. „Bantu” są od roboty. I „bantu” szanują białych i boją się ich. Gdy murzyn z ciężką skrzynią na głowie napotka na swej drodze białego, musi zejść na bok lub się cofnąć. W ten sposób przyzwyczajają się ich do tego, że kilkuset czarnych boi się jednego białego, uzbrojonego w kij. Aby utrzymać swój autorytet biali uczą się, jak należy bić krajców.

Czyż nie lepiej im było, gdy byli naprawdę dzikimi, gdy nie znali jeszcze wcale „cywilizacji”?!

(Tadeusz Dębicki „Moienzi Nzadi”. U wrót Konga. Warszawa — Kraków. 1928 r. Nakład Gebethnera).

WIĘZIENIE

Nasz dom więzienny stał na krawędzi fortecy, tuż pod walem fortecznym. Popatrzysz przez szczeliny ostrokołu na świat Boży, czy nie zobaczysz tam czegośkolwiek? I widzisz tylko skrawek nieba i wysoki wał ziemny, porośły burzanem, a po tym wale tam i napowrót, dniem i nocą, chodzi straż wojskowa, i zaraz pomyślisz, że przejdą całe lata, a ty tak samo będziesz podchodził do częstokołu i zobaczysz ten sam wał, taką samą straż na wale i ten sam maleńki skrawek nieba, nie tego nieba, które nad więzieniem, ale innego, wolnego nieba. Wyobraźcie sobie wielki dziedziniec, dwieście kroków długi, a półtorasta szeroki, w kształcie nieregularnego sześciokąta, cały otoczony częstokołem z wysokich pali, mocno i głęboko w ziemię wbitych, szczelnie przystających do siebie krawędziami i z góry zaostzonych: oto zewnętrzna rama więzienia. W jednej ze stron tej zagrody jest mocna brama, zawsze zamknięta, dniem i nocą strzeżona, otwierają ją tylko, aby puścić więźniów na roboty. Za tą bramą

był jasny, wolny świat, tam żyli ludzie, jak wszędzie. Ale po tej stronie częstokołu — świat wydawał się marzeniem fantastycznym. Tutaj był świat osobny, do żadnego innego nie podobny, tu były swoje odrębne prawa, zwyczaje i obyczaje: dom żywcem pogrzebanych, życie, jakiego nigdzie nie znaleźć i ludzie szczególni.

...W więzieniu było dość czasu na nauczanie się cierpliwości. Widziałem raz, jak zegnał się z towarzyszami aresztant, który przebył dwadzieścia lat w katordze i nakoniec wychodził na wolność. Byli tacy, którzy pamiętali, jak wchodził do więzienia młody, o nic się nie troszczący, nie myślący ani o swojej zbrodni, ani o karze. Wychodził siwy starzec z twarzą ponurą i smutną. Milcząc obchodził wszystkie cele, modlił się przed obrazami, a potem nisko wpół zginając się, kłaniał swoim towarzyszom i prosił, aby go źle nie wspominali.

...Gdy zmierzch zapadał wprowadzano wszystkich do kazarmów i zamykano na całą noc. Ciężko mi było zawsze wracać z dziedzińca do naszej kazarmy. Była to długa, niska, duszna sala, mdło oświetlona łożówkami. Nie pojmuję teraz, jak w niej przeżyłem lat dziesięć. Do spania na tak zwanych „narach” miałem tylko trzy deski, to było całe moje miejsce. Na tych „narach” w naszej izbie mieściło się trzydziestu ludzi. W zimie zamykano nas wcześniej, trzeba było ze cztery godziny czekać, dopóki wszyscy zasną. A do tego gwar, hałas śmiechy, przekleństwa, dźwięk łańcuchów, głowy golone, piętnowane twarze, łatane ubiory — tak, człowiek dużo wytrzymać może.

...Byli tu zabójcy przypadkowi i zabójcy z rzemiosła, rozbójnicy i kontrabandziści. Byli prości rzezimieszkowie i włóczęgi, tacy, co przywłaszczali sobie znalezione pieniądze i tacy, co się do nich dobierali. Byli i tacy, o których trudno było coś powiedzieć: za co też mogli się tu dostać. A tymczasem każdy z nich miał swoją powieść, mętną i ciężką. Wogóle o swojej przeszłości mówili mało, nie lubili opowiadać i widocznie starali się zapomnieć o tem, co było. O życiu swoim rzadko kto opowiadał, a ciekawość nie była w modzie, we zwyczaju. Tak chyba czasem ktoś z braku zajęcia rozgada się, a drugi obojętnie i pochmurnie słucha. Nikt tu nikogo nie mógł swoim opowiadaniem zaskoczyć. Było pewne korzenie się, ale zewnętrzne, urzędowe. „My ludzie zgubieni”, mawiali — „nie umieli żyć wolni, teraz kop zieloną ulicę”. — „Nie słuchał ojca i matki, posłuchaj teraz skóry na bębnie”. Wszystko to często powtarzało się w rodzaju nauki moralnej, nigdy na serjo. Były to tylko słowa. Bodaj czy choć jeden z nich przyznawał się w duszy do bezprawia.

W wigilję dnia ostatniego przed opuszczeniem więzienia, obszedłem po raz ostatni cały nasz ostróg wkoło pod palami. Pożegnałem się w myśli z poczerniałemi zrębami naszych kazarni. Jak niemile raziły mury te wzrok mój wtedy, w one pierwsze czasy. Ileż w tych ścianach zagrzebano bezowocnie młodości, ile energii zginęło tu daremnie. Wśród tego ludu więziennego były zdolne i potężne siły żywiołowe. Ale musiały ginąć. A kto winien temu? Otóż to, kto winien?

(T. Dostojewski: „Wspomnienia z martwego domu”. przekład dr. J. Tretiaka. Kraków. 1901 r. Spółka Wydawnicza Polska.)

POWRACAJĄCA FAŁA

Pastor umilknął, podniósł oczy do góry, zamyślił się. Potem począł rzucać na czystą powierzchnię sadzawki to korek, to kawałki drzewa...

— Czego ty Marcinie rzucasz śmiecie na wodę?— spytał go Adler.

Pastor pokiwał głową i wyciągnął rękę w kierunku sadzawki, na której każdy rzucony przedmiot wytwarzał coraz szersze koła.

— Czy widzisz, Gottlieb, te fale? — spytał fabrykanta. — Widzisz, jak one rosną i płyną coraz dalej?..

Tak się zawsze robi — odparł Adler. Cóż w tem dziwnego?

— Masz rację — rzekł pastor. — Tak się robi zawsze i wszędzie na sadzawce i w naszym życiu. Kiedy złe, czy dobre upadnie na świat, powstają około niego fale coraz większe i idą dalej a dalej...

— Nic nie rozumiem!—przerwał Adler, pijąc flegmatycznie wino z kielicha.

— Zaraz ci wytłumaczę, tylko nie gniewaj się.

— Ja się na ciebie nigdy przecie nie gniewam — odpowiedział fabrykant.

— Otóż widzisz, jest tak. Ty źle wychowałeś syna i rzuciłeś go w świat, jak ten patyk na wodę. On narobił długów i to jest pierwsza fala. Ty zniżyłeś płace robotnikom i oddaliłeś lekarza, a to jest druga fala. Śmierć Gosławskiego — to trzecia. Nieporządki w fabryce i opisy w gazetach — czwarta. Wypędzanie robotników, procesy — to piąta fala. A jaka będzie szósta i dziesiąta?..

— Nic mnie to nie obchodzi — rzekł Adler.—Niech sobie twoje fale idą w świat i trapią głupich, mnie nic do tego...

Pastor rzucił korek przy brzegu sadzawki i znowu wskazał go tkaczowi.

— Patrz, Gottlieb! Niekiedy dziesiąta fala odbija się od brzegu i wraca... tam skąd wyszła.

Starego fabrykanta zastanowiło to porównanie bardzo zresztą jasne. Przez chwilę można było myśleć, że się waha, że zbudziła się w nim jakaś nieokreślona obawa. Ale trwało to tylko chwilę. Adler miał umysł zbyt realny i zbyt słabą wyobraźnię, ażeby mógł bawić się w przeczuwanie odległych wypadków. Osądził więc, że pastor bredzi po kaznodziejsku i odparł, śmiejąc się grubym głosem:

— Ho! ho! mój Marcinie, to też ja postarałem się, żeby twoja fala nie wróciła do mnie.

— Kto wie?..

— Ani doktor nie wróci, ani podżegacze do bezrobocia, ani pieniądze za kary, ani nawet Gosławski!

— Nieszczęście może wrócić...

— Ho! ho! nie wróci, nie! A jeżeli wróci, rozbije się o moją pięść, o fabrykę, o towarzystwo asekuracji, nareszcie — o mój majątek.

Późno w nocy rozeszli się przyjaciele.

— Jaki to warjat z tego Marcina! — myślał fabrykant. — On mnie chce nastraszyć!

A pastor, jadąc swoim wózkiem do domu, patrzył w niebo i z trwogą zapytywał:

— Jaka tu fala powróci?

Porównanie to przyszło mu na myśl znieenacka, i Böhme uważał je za pewien rodzaj objawienia. Wierzył, że fala krzywdy wrócić musi, ale kiedy i która? Tej nocy miał niespokojne sny. Rzucał się, krzyczał, aż zbudziła go żona.

— Marcinie! co ty wygadujesz? czyś chory?...

Böhme siadł na łóżku, obłany zimnym potem.

— Czy ci się śniło coś strasznego? zapytała żona.

— Tak, ale nie pamiętam... Czy ja co mówiłem?

— Wołałeś coś nie do rzeczy... „Fala wraca”!

— Niech nas Bóg ma w swojej opiece! szepnął pastor, czując w głębi serca wielką trwogę.

.

Fabryka przedstawiała szczególny obraz.

Na tle pochmurnej nocy jesiennej widać było kilkanaście olbrzymich gmachów, dziwnie uiluminowanych, z każdego otworu składów wydobywały się czerwone płomyki, jak pochodnie. W budynku głównym, mającym kształt podkowy, na lewym skrzydle paliło się czwarte piętro, na prawem — dół. Wszystkie

sale środkowego gmachu oświetlały lampy gazowe, przy których było widać szybko poruszające się tkackie warsztaty. Na podwórzu, oblanem czerwoną łuną, stał ogromny tłum ludzi przestraszonych i narzekających. Szmerowi głosów ludzkich wtórował huk, turkot i szelest machin.

Z każdą chwilą ogień potężniał i ściany składów prawie zniknęły pod zasłoną dymu i płomieni. Na lewym skrzydle zapalił się dach. Na dziedzińcu robiło się coraz widniej...

Nagle szmer ludzi umilkł. Wszystkich oczy zwróciły się na korpus główny, dotychczas nietknięty.

Tam, na drugim piętrze, między warsztatami, przy świetle gazowych lamp, ukazał się olbrzymi cień człowieka. Cień chodził tam i napowrót, a gdziekolwiek zatrzymał się dłużej, tam robiło się widniej. Wyciągnięte na warsztatach tkaniny chwyciły ogień z niesłychaną łatwością. Po upływie kilku minut drugie piętro głównego budynku było już podpalone. Cień ludzki ukazał się na trzecim piętrze, przeszedł je i znowu znikł. Wkrótce zobaczono go na czwartym piętrze.

— To on! to on! — mówiono.

Teraz już cała fabryka stała w ogniu. Ze składów bawełny buchał płomień, jak z wulkanu, aż pod obłoki. Szyby przyskały i wylatywały na dziedziniec. Wśród piekielnego łoskotu, deszczu iskier, w najwyższej sali widać było cień ludzki. Poruszał się on spokojnie, bez pośpiechu, jak czuwający nad robotnikami dozorca. W tej chwili runęło drugie piętro prawego skrzydła. Na robotników spadł deszcz gorącego popiołu. Zrobiło się duszno. Skutkiem zmniejszenia się oporu, koło rozpedowe maszyny parowej obracało się z szaloną prędkością, wydając głos podobny do wycia.

W gmachu głównym dym i ogień chwilami zasłaniał czwarte piętro, na którym widać było cień człowieka. Wśród tłumy rozległ się szmer grozy. Tłum zaczął krzyczeć, wskazywać okno.

W stronie fabryki gazu rozległ się stłumiony huk. Zatrzeszczał cały gmach i z łoskotem piorunu zapadło się kilka sufitów.

Na dziedzińcu zrobiło się tak gorąco, że zebrani robotnicy cofnęli się.

W fabryce, jeszcze przed godziną bogatej i ożywionej, pannał już tylko ogień. Słychać było pękanie murów i ciężkie upadki żelaznych maszyn.

Adler, znakomity przemysłowiec, nieugięty wyznawca walki o byt, zebrałszy w ciągu kilkudziesięciu lat miliony, dobrowornie przywalił się ich gruzami...

... Fala krzywdy wróciła...

(Pisma Bolesława Prusa. t. III. „Powracająca fala”. 1904r. Warszawa. Gebethner).

1870
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.

The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.

The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.

The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.
The first of the new year, 1870, was a day of great
importance to the people of the United States. It was
the day when the new year began, and the old year
ended. It was a day of great joy and celebration.

X

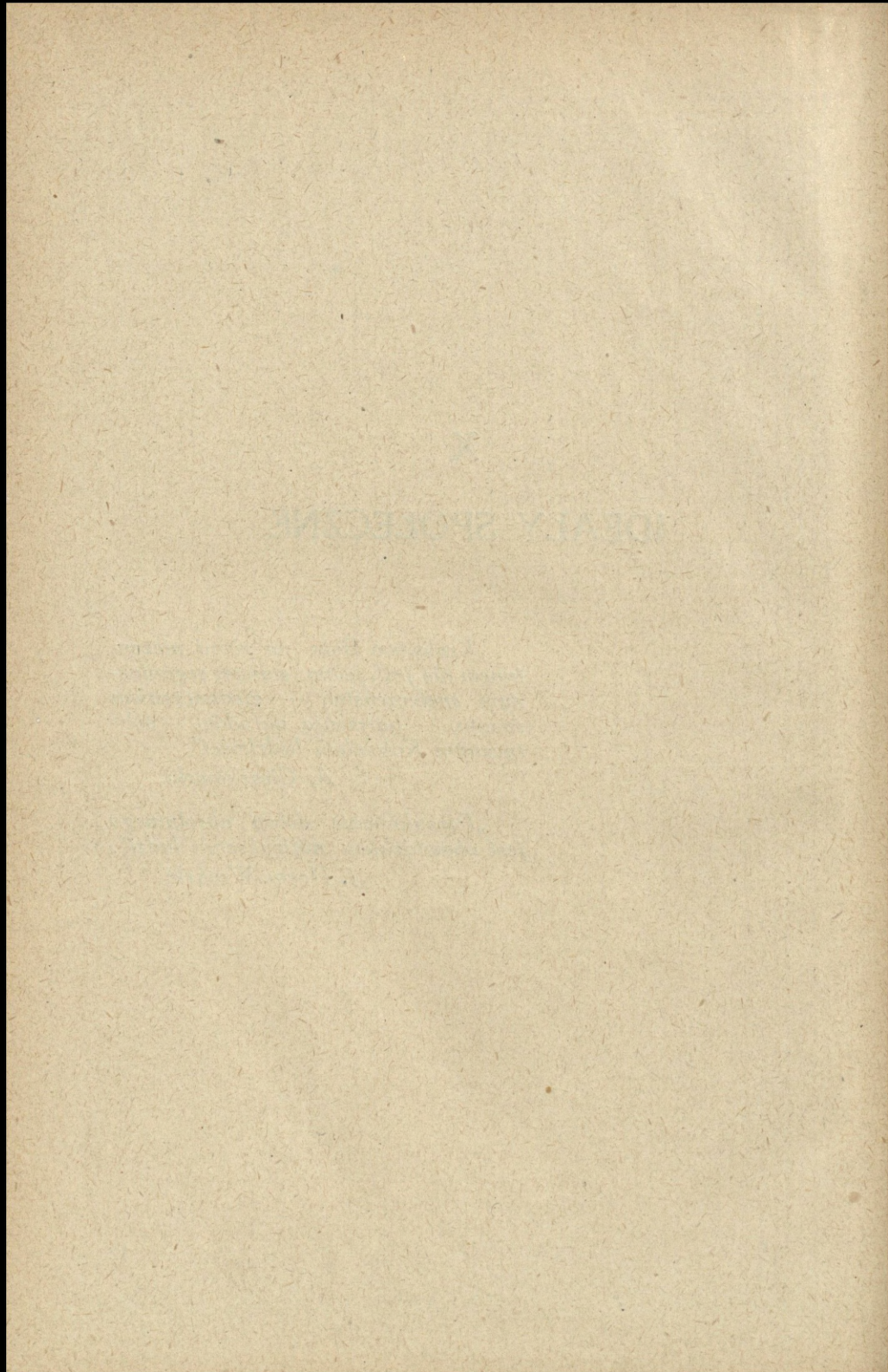
IDEAŁY SPOŁECZNE

„Królestwo Boże na ziemi niczem innem nie jest, jedno: stanem organicznym społeczeństw, — zjednoczeniem świata, — harmonją narodów, — politycznym Kościołem ludzkości”.

A. Cieszkowski.

„Poszukiwanie dobra absolutnego jest obowiązkiem najwyższym ludzi”.

J. Hoene-Wroński.



POTĘGA ORGANIZACJI

Budynek Towarzystwa „Nowe Niemcy”, wznoszący się na ulicy Pod Lipami, brzęczał jak ul w upalne lato. Codzień prze-walało się przezeń tysiące ludzi. W setkach oddziałów wrzała praca; wszędzie widać było radosne, uśmiechnięte twarze.

Już od świtu stały przed nim dzień w dzień szeregi szu-kających pracy, czekające na otwarcie bramy. Masy ludzkie ledwie się mieściły w poczekalniach. Wszystko było tu urządo-ne wzorowo. Robotnicy, których przyjęto, wchodzili do poko-jów lekarskich, gdzie poddawano ich oględzinom. Zależnie od rezultatów otrzymywali pracę cięższą lub lżejszą. W domu tym mieściły się wielkie łaźnie oraz pokoje dezynfekcyjne. Michał Schellenberg walczył z brudem i armją mikrobów wszelkimi środkami.

W nocy z dachu budynku Towarzystwa iskrzyły się tysią-cami blasków napisy:

Śmierć głodowi!
Śmierć chorobom!
Niech żyje braterstwo!

Jak latarnia morska pośród ciemności, lśniły te słowa noc w noc wśród ulic. Wskazywały przystań ratunku setkom tysięcy wyczerpanych, zmęczonych chorych ludzi.

Michał Schellenberg w rzucone przez siebie hasła wierzył zupełnie poważnie. Wierzył, że, skoro napną się wszystkie siły ludzkie, zniknie głód z powierzchni globu. W przeciągu trzech lat stworzył olbrzymią organizację, która oplotła całe Niemcy. Pracował bez wytchnienia, niezmordowanie. Zrobił wszystko, by zebrać wokoło siebie entuzjastów, porwać wahających się, zgromadzić rozbitych, przełamać opór biurokracji, pokonać pozba-wione sił żywotnych sobkowstwo i zazdrość partyj politycznych.

Posługiwał się metodą zupełnie prostą. Chodziło o to, aby za-stosowawszy wszystkie środki techniki i wiedzy wydobyć z ziemi jak najwięcej pożywienia. Chodziło o uprzemysłowienie rolnictwa i ogrodnictwa, o oddanie ziemi wszystkim wolnych sił kraju. Wyrzucanie na bruk tysięcy robotników i wypłacanie im w cza-sie stagnacji gospodarczej głodowych zasiłków było niezaprze-

czonym nonsensem. Uważał, że produkcyjne zużytkowanie tych sił przy tym samym nakładzie kosztów jest o wiele rozsądniejsze i prostsze. Jedynym, niezależnym od koniunktur światowych terenem dla tej pracy była ziemia. Ogromne zasoby roboczej energii obracał na kolonizację wewnętrzną. Dążył do zmienienia nieużytków na urodzajną ziemię, któraby mogła wyżywić liczne rzesze. Schellenberg wyliczył dokładnie, że każdy obywatel musi otrzymać dom z ogrodem po przepracowaniu pięciu tysięcy godzin. Był przekonany, że ludzkość powinna zorganizować walkę z głodem i nędzą z tym samym nakładem starań i środków, jakich używała przy organizowaniu i prowadzeniu wojny.

Nie była to rzecz łatwa, o nie! Przedstawiała ogromne trudności, nieskończoną ilość zagadnień. Lecz Michał na chwilę nie tracił energii i wiary. Znalazł ludzi, którzy plany jego poparli czynem. Nie lekceważył żadnej organizacji, któraby mogła mu być pomocna. Do organizacji zgłaszała się młodzież, kobiety. Olbrzymie zadanie wymagało wciągnięcia wszystkich sił kraju. Nawet więźniów wciągnął w orbitę swej pracy. Pracowali przy fabrykacji cegieł, transportowali z nad morza doskonały nawóz, przeznaczony na piaszczyste pustkowia. Wśród ostrej kampanji dziennikarskiej walczył o zamianę kar kryminalnych na pracę. Towarzystwo nabywało pustkowia i użyźniało je. Siły robocze opłacało użyźnioną ziemią, połaciami jej pokrywało zobowiązania. Wydobywało z ziemi nowe wartości. Michał płonął cały entuzjazmem dla swej idei. Mimo, że była ona tak prosta i jasna, wydawała się czemś gigantycznym. Obejmowała zagadnienia in-dustrji wielkich miast, obracała się dokoła zużytkowania odpadków, które szły dotychczas na marne.

Trzeba stworzyć nowe miasta, osady przemysłowe, wsie rekodzielnicze i ogrodnicze. Jeśli kraj ma się zamienić w kwitnący ogród, praca to może aż na stulecia.

Towarzystwo zbudowało już trzysta tysięcy izb, w najbliższym czasie miało powstać dwieście osad. Michał widział w marzeniu nowy kraj, gdzie mieszkali zdrowi, radośni ludzie. Wszyscy mieli pracę i pożywienie....

(B. Kellermann: „Bracia Schellenberg”. Warszawa. 1926 r. z 3-go t., przekład J. Frühlinga.)

SZCZĘŚCIE

„jest szczęście przecie,
Jest nawet wiele szczęścia na świecie.
Szczęściem są wasze lata niewinne,
Wpół młodociane, a wpół dziecinne,

Bez doświadczenia, lecz bez kłopotów:
Czy chleb powszedni na jutro gotów?
Czy w źródłach uciech nie wyschła woda?
Czy do wieczora wytrwa pogoda?
Błogosławione pierwsze dni wiosny!
Błogosławionyś wieku radosny!
Słowik ci kwili, wonieją drzewa,
O tobie Bohdan poeta śpiewa:
„Żeś sen na kwiatach, żeś sen nasz złoty,
Żeś ideałem wiary i cnoty”.
Lecz od tych marzeń, od tej swobody
Jest większe szczęście, o wieku młody!
Jest większe szczęście—jest głos ponętny,
Głos cichy, miękki, a tak namiętny,
Głos, co tak szczerze, jak Bogu w niebie,
Wymodli kiedyś: „Ja kocham ciebie”.
A niż głos taki, niż ta zyskana,
Więszem jest szczęściem miłość doznana,
Gdy własne serce silniej uderzy,
Gdy czuje, że mu cieplej i szerzej,
Że się w niem jakby ze snu zbudziły
Nowe zdolności i nowe siły...
A większem szczęściem od tej miłości
Jest wielkie szczęście ludu całego;
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
Ze słowem Bożem, chleb dla każdego;
Z życiem na ziemi, miejsce wśród tłumu;
Ze światłem słońca, światło rozumu;
Z pamięcią przodków, win odpuszczenie,
I z pracą wszystkich—wszystkich zbawienie!..
. niech każdy wierzy,
Że mu się takie szczęście należy;
Niech za niem goni, niechaj go szuka;
Piękność, cierpienie, radość, nauka,
To w pomoc tylko danem wam było,
Aby się takie szczęście ziszcilo“.

(Narcyza Żmichowska: „Pisma”. t. 1-szy. 1885 r. Warszawa. Nakładem
M. Glüksberga).

DLA PRZYSZŁOŚCI

Około północy, jakiś człowiek z latarką w ręku przeszedł
odwach, dał się poznać i kazał sobie otworzyć drzwi więzienia.
Był to Cimourdain.

Wszedł i drzwi pozostały za nim otwarte.

Więzienie było ciemne i pogrążone w głuchem milczeniu. Cimourdain postąpił parę kroków naprzód w tej ciemnicy, postawił latarkę na ziemi i zatrzymał się. W głębi słychać było głuchy oddech człowieka pogrążonego we śnie. Cimourdain przysłuchiwał się zamyślony temu spokojnemu oddechowi.

Gauvain leżał w samym rogu więzienia na snopku słomy. Spał snem głębokim.

Cimourdain przybliżył się jak mógł najciszej, podszedł i zaczął się przyglądać Gauvainowi; matka przyglądająca się swemu niemowlęciu nie patrzyłaby czulej i słodziej od niego. Wzrok ten był silniejszy od Cimourdaina; Cimourdain położył, jak to czynią czasem dzieci, swoje dwie ręce na oczach i stał tak przez chwilę nieporuszony. Poczem ukląkł, podniósł łagodnie rękę Gauvaina i przytknął do niej swe usta.

Gauvain się poruszył. Otworzył oczy ze zdziwieniem człowieka przebudzonego całkiem niespodziewanie. Latarka słabo bardzo oświecała piwnicę. Poznał wszelako Cimourdaina.

— Ach, to ty, mistrzu.

I dodał: — Śniło mi się, że śmierć całowała mnie w rękę.

Cimourdain wzdrygnął się, jak to czasem bywa pod wpływem nawału nowych i nieznanych myśli; nawał ten jest tak wielki czasami i tak burzliwy, że zdaje się, że duszę zaleje. Nic nie wyszło z serca Cimourdaina. Zaledwie zdołał zawołać: Gauvain!

I obaj na siebie spojrzeli. Cimourdain oczyma pełnemi tego ognia, co to łyzy wypala, Gauvain z najśłodszyim uśmiechem.

Gauvain rzekł:

— Ta blizna, którą widzę na twojej twarzy, pochodzi od cięcia pałasza, który otrzymałeś z mego powodu. Wczoraj jeszcze byłeś w tej tłuszczy przy mnie i przeze mnie. Gdyby Opatrzność nie była postawiła cię u mojej kołyski, co by się ze mną dziś działo? Byłbym w mroku. Jeżeli mam w sobie poczucie obowiązku od ciebie ono pochodzi. Urodziłem się związany. Przesady to sieci, w które się wikłamy, pozdejmowałeś ze mnie wszystkie sznurki mnie krępujące, pozwoliłeś mi rosnąć swobodnie i z tego, co już było mumją tylko, zrobiłeś dziecię. W nieudanego człowieka tchnąłeś sumienie i samowiedzę. Istnieję dzięki tobie tylko. Zrobiłeś ze mnie obywatela, wlałeś we mnie ducha; uczyniłeś mnie zdolnym do prowadzenia życia na ziemi, a duszę moją do życia w niebie. Opatrzyłeś mnie na drogę ziemskiego żywota kluczem prawdy, a do zaziemskiego dałeś mi klucz światła. O mój mistrzu, dziękuję ci. Tyś mię stworzył.

Cimourdain siadł na słomie obok Gauvaina i rzekł:

— Przyszedłem wieczerać z tobą.

Gauvain rozłamał chleb czarny i dał mu kawałek. Cimourdain zaczął jeść; potem Gauvain podał mu dzban z wodą.

— Pij pierwszy—rzekł Cimourdain.

Gauvain napił się i podał dzbanek Cimourdainowi, który się napił po nim. Gauvain wypił jeden łyk zaledwie.

Podczas tej wieczerzy Gauvain jadł, a Cimourdain pił—oznaka spokoju pierwszego i gorączki drugiego.

Trudno sobie wyobrazić jak miło i serdecznie było w tem więzieniu. Ci dwaj ludzie rozmawiali swobodnie ze sobą.

Gauvain mówił:—Zanosi się na wielkie rzeczy. To, co teraz robi rewolucja, jest tajemnicą. Poza działaniem widocznem jest drugie, nieświadome. Jedno kryje drugie. Dzieło widzialne jest okropne, dzieło niewidzialne szczytne. W tej chwili wszystko wyraźnie dostrzegam. Jest to zarazem i dziwne i piękne. Trzeba było korzystać z tego, co przeszłość nagromadziła. Stąd wynikł ten nadzwyczajny 93. Pod rusztowaniem barbarzyństwa buduje się świątynia cywilizacji.

— Tak jest—odrzekł Cimourdain—z tej tymczasowości musi się wyrodzić coś stanowczego. Położenie stanowcze, to znaczy prawo równoległe z powinnością, podatek ściśle ustosunkowany i postępowy, służba wojskowa przymusowa, zrównanie ponad wszystkimi i wszystkim, ta linja prosta, zwana prawem. Rzeczpospolita bezwzględna.

— Ja wolę Rzeczpospolitą idealną—rzekł Gauvain.

Umilkł na chwilę i tak dalej mówił:

— O mój mistrzu, powiedz mi, według tego, coś przed chwilą mówił, gdzie naznaczasz miejsce poświęceniu i ofierze, zaparcia się i temu wspaniałemu splotowi życzliwości, miłością zwanemu? Dobrze jest wszystko ułożyć w równowadze, ale lepiej zachować harmonję. Ponad wagą jest lira. Wasza Rzeczpospolita waży, mierzy i reguluje człowieka; moja unosi go w nadziemskie przestworza; jest to taka sama różnica, jak między twierdzeniem matematycznym a orłem.

— Gubisz się w obłokach.

— A ty w rachunku.

— W harmonji można śnić i marzyć.

— Można i w algebrze.

— Chciałbym, aby człowiek był stworzony przez Euklidesa.

— A ja—rzekł Gauvain—wolałbym przez Homera.

Surowy uśmiech Cimourdaina spoczął na Gauvainie, jak-gdyby chciał wstrzymać polot jego duszy.

— Poezja. Nie ufaj poetom.

— Tak jest. Znam dobrze ten wyraz. Nie ufaj wiatru powiewom, nie ufaj promieniom, strzeż się zapachu kwiatów, gwiazd rozsianych po niebie.

— To wszystko nie daje chleba.
— Skąd wiesz o tem? Idea także jest pokarmem. Myśleć to jeść.

— Bez tych abstrakcyj. Rzeczpospolita, to dwa a dwa cztery, gdy dałem każdemu, co mu się należy...

— Pozostaje ci dać każdemu, to, co mu się nie należy.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Rozumiem przez to olbrzymie i wzajemne ustępstwo, jakie każdy jest winien wszystkimi, a wszyscy są dłużni każdemu, co stanowi także życie społeczne.

— Poza obrębem ścisłego prawa nic niema.

— Jest wszystko.

— Widzę tylko sprawiedliwość.

— Ja patrzę wyżej.

— A cóż jest wyższe ponad sprawiedliwość?

— Słuszność.

Zatrzymywali się czasami, jakgdyby przemykały się koło nich jakieś błyski.

Cimourdain mówił:

— Dowiedz tego, jeśli zdołasz.

— I owszem. Chcesz służby wojskowej obowiązującej wszystkich.

Przeciw komu? Przeciw innym ludziom. Ja nie chcę służby wojskowej, ja chcę pokoju. Chcesz, aby nędza otrzymywała pomoc, ja chcę, aby została usunięta. Chcesz podatku ściśle ustosunkowanego, ja go bynajmniej sobie nie życzę. Ja żądam wspólnego wydatku zredukowanego do najdrobniejszych rozmiarów, płaconego z przewyżki wartości społecznej.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem to: najprzód usunięcie darmozjadów. Dalej należy ciągnąć korzyści i to jak najszerze ze swych bogactw. Trzy czwarte gruntów leży ugiorem; wykarczujcie Francję, znieście na nic nie przydatne pastwiska; rozdzielcie grunta gminnie. Niechaj każdy człowiek ma kawałek ziemi, niechaj każdy kawałek ziemi ma człowieka. Zwiększycie stokrotnie dochód państwa i jego produkcję. Francja w tej chwili dozwala chłopom jeść mięso zaledwie cztery razy do roku; gdyby była dobrze uprawioną, zdołałaby wyżywić trzysta milionów ludzi, Europę całą. Zużytkujcie naturę, tę olbrzymią pomocnicę zaniedbywaną do tej pory. Wyciągajcie korzyść z każdego podmuchu wiatru, z każdego spadku wody, ze wszystkich prądów magnetycznych. Kula ziemska ma sieć żył podziemnych; w żyłach tych płynie masa wody, oleju i ognia; przekłujcie w różnych miejscach skorupę ziemi i zmuscie tę wodę, aby wam była żywym źródłem, olej ten

bierzcie do lamp, ogień do kominków. Zbadajcie ruch bałwanów, przypływ i odpływ. Co to jest ocean? Ogromna siła nieużyteczna. Jakaż ziemia głupia! nie umie użyć oceanu!

— Masz tobie, wpadłeś na piękne marzenia.

— To jest raczej w najzupełniejszą rzeczywistość.

Gauvain mówił dalej. A kobieta? Coście wy z niej zrobili?

Cimourdain odrzekł: to czem jest. Służącą mężczyzny.

— Tak jest. Pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Pod tym, że i mężczyzna będzie sługą kobiety.

— Czy tak sądzisz?—zawołał Cimourdain.—Mężczyzna służącym? Nigdy. Mężczyzna panem. Jedną tylko monarchję przypuszczam: w domowym ognisku. Mężczyzna w swoim domu jest królem.

— Tak. Ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że i kobieta będzie tam królową.

— Tak, że chcesz, aby mężczyzna i kobieta...

— Byli równi.

— Równi! Albożes kiedy myślał o tem? Dwie istoty całkiem od siebie różne!

— Powiedziałem: równi. Nie powiedziałem ciż sami.

Nastąpiła chwila milczenia, jakgdyby zawieszenie broni między dwoma umysłami zamieniającemi ze sobą błyskawice. Cimourdain przerwał to milczenie. A dziecko! co z niem poczniesz?

— Najprzód daję go ojcu, jako jego twórcy, dalej matce, która je urodziła, później nauczycielowi, który go uczy, później miastu, które z niego robi męża, potem Ojczyźnie, jako najpierwszej matce, wkońcu ludzkości jako ogólnej prababce.

— Nie wspominasz Boga.

— Każdy z tych stopni: ojciec, matka, gmina, ojczyzna, ludzkość to szczeble drabiny prowadzącej do Boga.

Cimourdain umilkł, Gauvain mówił dalej:

— Kiedy kto doszedł do szczytu drabiny, przyszedł do Boga samego, Bóg dla każdego gościnny; pozostaje wejść tylko.

Cimourdain zrobił ruch jakgdyby przywoływał kogoś.

—Gauvain; wróć na ziemię. Chcemy urzeczywistnić co możliwe.

— Zacznięcie od tego, żeby go nie czynić niemożliwym.

— To, co jest możliwe, zawsze się spełnia.

— Nie zawsze. Gdy chcesz urzeczywistnić utopję, tem samem ją zabijesz. Niema rzeczy bardziej bezbronnej od jajka.

— A jednak trzeba pochwycić utopję, zrzucić jej jarzmo, wprowadzić w czyn. Idea oderwana musi się stać konkretną; trzeba, aby prawo szczególne zlało się z prawem ogólnem, a wówczas jest dopiero bezwzględne. Takie jest moje pojęcie możliwości.

— Możliwe to jest coś więcej.

— Ah! znowu wpadasz w marzenia!

Możliwość jest tajemniczym ptakiem, zawsze szybującym ponad człowiekiem.

— Trzeba go uchwycić.

— Tak, ale żywcem.

Gauvain mówił dalej: — Mysłą moją jest: zawsze naprzód. Gdyby Bóg chciał—aby człowiek się cofał, dałby mu był oko ztyłu głowy. Patrzymy zawsze w stronę, gdzie jutrenka, rozwój, narodziny. To, co upada, jest zachętą temu, co się podnosi. Skrzywienie starego drzewa jest głosem powołującym młode drzewo do życia. Każdy wiek dokona swego dzieła: dziś obywatelskiego, jutro ogólnie ludzkiego. Dziś kwestja prawa, jutro kwestja zapłaty. Zapłata i prawo, to w gruncie rzeczy jedno i to samo. Człowiek nie dlatego żyje, aby mu nie płacono; Bóg obdarzając życiem zaciąga dług; prawo jest zapłatą wrodzoną, zapłata prawem nabytem.

Gauvain mówił z namaszczeniem proroka. Cimourdain słuchał. Role się zmieniły i teraz zdawało się, że uczeń stał się mistrzem.

Cimourdain wyszeptał:

— Zanadto się śpieszysz.

— Bo też istotnie jest mi pilno, rzekł Gauvain z uśmiechem. I mówił dalej: O mój mistrzu, oto jest różnica między dwiema utopjami. Ty chcesz, aby koszary były instytucją przymusową, ja, aby nią była szkoła. Ty marzysz o człowieku żołnierzu, ja o człowieku obywatelu. Ty chcesz, aby on był strasznym, ja, aby był myślącym. Ty chcesz urządzić Rzeczpospolitą z miecza, ja...

Zatrzymał się.

— Ja zbudowałbym rzeczpospolitą z *myśli*.

Cimourdain spojrzał na bruk więzienia i rzekł:

— A tymczasem czego żadasz?

— Tego, co jest.

— Więc godzisz się z chwilą obecną?

— Godzę się.

— Dlaczego?

— Bo jest burza. Burza wie zawsze, co robi. Za jeden dąb zdruzgotany, ileż lasów ożywionych. Cywilizacja cierpiała na zarazę, ten ogromny podmuch wiatru oswobadza ją. Może za mało burza wybiera. Ale czyż może inaczej uczynić? Ciężka to dla niej praca, to wymiatanie! Wobec okropności zaraźliwych wyziewów, pojmuję wściekłość z jaką wichry wyją.

Gauvain mówił dalej:

— Zresztą, co mnie może obchodzić burza, wówczas, gdy mam żyłą magnesową, tak samo, co mnie mogą obchodzić wypadki, jeżeli mam sumienie?

I dodał głosem zniżonym, który jest także i głosem uroczystym zarazem: — Jest ktoś, komu nigdy opierać się nie godzi.

— Kto taki? spytał Cimourdain.

Gauvain wskazał palcem ponad głowę.

Cimourdain spojrział w tym kierunku i zdawało mu się, że przez sklepienie dostrzega niebo gwiazdami zasiane.

Obaj milczeli.

Cimourdain odezwał się po chwili.

— Społeczeństwo więcej znaczy niż natura. Już ci mówiłem, że to wszystko są mrzonki.

— Przeciwnie, to cel. Inaczej niepodobnaby zrozumieć, poco istnieje społeczeństwo. Trzymajcie się natury. Pozostańcie dzikimi. Wolałbym rozumne piekło niż głupi raj. Ale bądźmy społeczeństwem ludzkim. Większem niż natura. Ale jeżeli nie powiększacie wartości natury, pocóż z niej wychodzić? Poprzestańcie na pracy jak mrówka, lub na miodzie jak pszczoła. Pozostańcie zwierzęciem roboczem, zamiast być inteligentnym królem zwierząt. Jeżeli będziecie w stanie dodać coś do natury, tem samem staniecie się wyższymi od niej. Dodawać to pomnażać, a pomnażać to i samemu wzrastać. Społeczeństwo to natura uwzniosłona. Ja żądam wszystkiego, czego braknie ulom i mrowiskom, żądam pomników, sztuk, poezji, bohaterów i genjuszów. Dźwigać wiekuiste ciężary nie jest prawem, któremu człowiek winien ulegać. Nie! nie! Nie chcę już wyrzutków społeczeństwa i niewolników, nie chcę galerników! chcę, aby każdy przymiot człowieka był znamieniem postępu i cywilizacji; żądam wolności wobec ducha, równości wobec serca, braterstwa duszy. Nie chcę już jarzma! Człowiek jest stworzony nie do dźwigania kajdan, lecz do rozwijania skrzydeł. Nie chcę już człowieka — płazu! Chcę, aby poczwarka przemieniła się w motyla, aby robak ziemny przeistoczył się w kwiat żyjący i uleciał w niebios błękity... Chcę...

Umilkł. Oczy jego zapalały żywym blaskiem. Usta poruszały się jeszcze, ale mówić przestały...

Drzwi ciągle były otwarte. Już wrzawa przenikała aż do głębi więzienia. Słychać było dźwięki trąby, potem zadzwieczyły kolby karabinów, zapewne luzowano warty, potem tuż obok wieży zrobił się hałas podobny do poruszania desek i tarcic wraz z głuchym łoskotem, podobnym do uderzeń młota.

Cimourdain błady słuchał. Gauvain nic nie słyszał. Jego zaduma stawała się z każdą chwilą większa.

Cimourdain wreszcie zapytał:

— O czem myślisz?

— O *przyszłości*, odrzekł Gauvain.

I zapadł napowrót w zadumę. Cimourdain zdawał się póżerać wzrokiem młodzieńca, którego miał przed oczyma, poczem cofnął się ku drzwiom i wyszedł. Drzwi lochu zamknęły się...

„Rok 1793“. Wiktora Hugo.

ZŁO I DOBRO

Ludzkość podąża stale ku lepszemu, a zło przezwyjęża na każdym kroku — kiedyś będzie, musi być lepiej.

Czyż to nie jest ciekawe i niezwykle, iż wszelkie zakusy, próby, wysiłki, zamachy zła, które kiedykolwiek w dziejach zagrażały ludzkości — same zawsze się strawiły, rozpadły, w niewecz się obróciły, a ludzkość trwa i idzie dalej drogą rozwoju i postępu. Ileż to razy w dziejach już bywało, że jakiś zły sposób myślenia, jakiś zły system pracy, rządzenia — wdarł się w stosunki ludzkie, pociągnął miliony za sobą — na manowce — tak, że już się zdawało, iż cały świat „idzie do diabła“... Tymczasem ciż sami uwiedzeni ludzie — poznawszy rzecz, przejrawszy ku światłu — niszczą zły system i następuje znów nawrót ku Dobremu. Sam sukces chwilowy zła zda się być jego końcem — jego zgubą. Dowodzi tego niezbita rekord wieków i odwieczna historia walk Ludzkości ze złem.

Jabłko piękne robak toczy, toczy, niszczy je i szpeci: bierzesz je w rękę, widzisz co jest i ciskasz ze wstrętem. Koniec jabłka?.. Nie. Ziarnka jego nie zginęły: padają na glebę i oto ze stoczonego, zepsutego owocu wyrasta gaj cały nowych drzewni, które po latach paru okrywają się bujnem kwieciem, rodzą owoc nowy, zdrowy, tysiąckroć liczniejszy od biednego, zepsutego jabłka, któreś miał w ręku. A czy wiesz, co się dzieje np. z bakterjami chorobotwórczymi, które wtargną do zdrowego organizmu? Ginią — bez ratunku! Zabije je i wyrzuci ciało zdrowe.

Nie dadzą rady Ludzkości — ni wojny, ni przewroty, ni wszelkie zła społeczne, jak alkohol, zbrodnia, zwyrodnienie, ni inne posiewy kłólu: przesady, waśnie religijne, czy zatargi klas społecznych. Wytraci się w nich ludzi gromada — dopusty ciężkie spadną na kraje i ludy — ale to są wobec Ludzkości życia i rozwoju — rzeczy chwilowe, drobne i przemijające. Nie wstrzymają one Ludzkości w jej drodze, nie wykoleją jej — nie tracą jej ideału, jakim jest Boża Prawda, wiara w Dobro i w jego siłę niezmogoną.

(Z książki: „Miljardy w służbie“. Myśli Henryka Forda. Warszawa. M. Arct).

OPIEKA SPOŁECZNA

Niektóre narody, w formie rządu bliższe Chrystusowej nauki, wzięły na siebie opiekę i jałmużnictwo kraju — żebractwo zaś, jako występki przeciwko Duchowi Chrystusowemu w rządzie, przed trybunał zapozwały. Ideał ten, jakkolwiek jeszcze niedoskonale zrealizowany na ziemi, już rządowi nadaje piękność anielską: oto łono, w którem wszystko żywe żyje, kwitnie, raduje się i cierpi — wewnątrz wszystko czujące, wewnętrznym wszechsłuchem napełnione... Przez te ręce idealne jałmużna przechodząc traci hańbiący dźwięk pieniądza, a przemienia się w prawdziwą mannę karmiącą ubogich, cudownemu Bożemu pokarmowi najbliższą. A ty — zamiast dopomóc wielkiemu karmicielowi, nie chcesz się wyrzec muzyki pieniądza, który z powozu twego rzucony na bruk upada — i gdzieś daleko dzwoni, pomieszany z jękiem chylącego się poń żebraka?..

Im litościwszy jesteś, tem więcej około ciebie Duchów tracących zaufanie, moc, czucie braterstwa; jeżeli pięknych — to smętnych, bo chleb jałmużny gorzki jest, choćbyś go łzami twojemi posolił; jeżeli przewrotnych — to jałmużną twoją roztoczonych do reszty, które myślą, że nie przez cnotę, ale przez strach piekła karmisz je — a niebios spodziewasz się zato, że im zbywający od potrzeb pieniądza rzuciłeś... Służ narodowi twemu i przykładaj się, aby zbudowany był podług Chrystusa i *przynosz mu część majątku twego* i spraw, aby wszyscy to czynili; a jeżeli w niebiosach stają przed sądem Boga czyny nasze: to ujrzyś piękne i nieznanome tobie Duchy, które zaświadczą, że w chlebie, który jadły na ziemi, czuły ziarno z kłosa twego — i w kołdrach, któremi były okryte, czuły ciepło twoje serdeczne...

Dzisiejsza forma jałmużny do końca świata trwać nie może, ale przemieniona w jednej figurze z prawdziwym patryjzmem objawi się...

...Rząd nie pozwoli na jeden głód i jedną nędzę. A jeżeli go plaga powszechna uderzy, to na szacie królewskiej pokażą się najpierwsze łachmany i błysk głodu postrzeżesz najpierwszy w zbłądłych żrenicach królewskich; najszlachetniejsi bowiem jeść przestaną najpierwsi.

(Juljusz Słowacki: „Rozmowy o wiedzy ostatecznej”).

JESTEŚMY W DRZWIACH

Od czasu, jakem szpital opuścił, przeszły tygodnie, minęły miesiące. Teraz chodząc pośród smreków prostych, zapatrzonej w granitowe wniebowzbiecie Tatr, wspominam tę godzinę, co

wtedy przyszła do mnie, godzinę też i cudownego snu, — określiam, jako „moje pierwsze zachłyśnięcie się Bogiem”.

Okiem uważnem, uchem czujnem zwracam się nieustannie we własną głęb i zdejmuję mnie podziw niezmierny: jak mogłem istnieć z sobą tyle lat, a siebie w sobie nigdy nie odkryć, ani razu nie zauważyć! Czuję w sobie rozdwojenie przedziwne — takie jak pąk kwiatu, gdy rozkwitając dzieli się na niepodzielne w swej istocie płatki korony i kwiatową woń, która jest duszą kwiatu. Rozdwajam się na dwóch ludzi: duchowego i cielesnego, wiekuistego i wczorajszego, na tamto, co będzie po śmierci żyć wiecznie, i na to, co od życia w śmierci zniszczeje.

Bardzo często zaglądam do jednej książeczki starej, która ma prawie dwa tysiące lat. Jej tytuł grecki wyklada się po polsku: „Dobra Nowina”. Książeczka pisana jest słowem, podobnem do gwiazd, ptaków niebieskich, kwiatów polnych i do powiedzeń cudownych dzieci. Ale jej królowanie nad nami wiekuiste zawiera się nie w słowach, lecz w mocy. W ciągu dziewiętnastu wieków tysiące milionów ludzi czerpało ze źródeł tej mocy wszystką duszą i sercem całym, lecz źródłom nic nie ubyło z ich wody żywej, podobnie, jak rzesze najliczniejsze nie mogłyby wyczerpać głębin Atlantyku. Znalazłem w tej książeczce rozdział krótki, patosem uczucia przewyższający wszystko, co tylko ma najwspanialszego liryka powszechna.

Apostoł poganów, w słowie potężnem, jakoby w płomiennej żagwi ducha, rzucanej ku potomnym, ażby do nas, ludzi dzisiejszych, kłębem ognia niebieskiego doleciała — woła wołaniem archanielskiem.

— „Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca albo cymbał brzęmiący. I chociażbym miał prorocтво i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę i miałbym wszystką wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał: nicem nie jest. I choćbym wszystkie majątności moje rozdał na żywność ubogich i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się. Nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego, nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa. Miłość nigdy nie ginie: choć prorocтва zniszczeją, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowana. Albowiem po części znamy i po części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie, co jest doskonałego, co jest po części, zniszczeje. Gdym był dziećciem, mówiłem jako dzieć,

rozumiałem jako dziecię, myślałem jako dziecię. Lecz gdym się stał mężem, wyniszczyłem, co było dziecinnego; teraz widzimy przez zwierciadło, przez podobieństwo; lecz wonczas twarzą w twarz. Teraz mam po części: lecz wonczas poznam jakom i poznany jest. A teraz trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość”.

Ilekroć czytam ten rozdział, będący płomiennym wichrem ducha, który przez ciąg stuleci wieje ogniem żywym i porywa się na nas w imię Miłości Najwyższej — przychodzą mi na myśl słowa siostry Honoraty; „Iż dla człowieka naturalną jest rzeczą czynić raczej dobro niż zło, tak jak dla słońca — świecić i grzać, a dla drzewa kwitnąć i owocować. I że Miłość Najwyższa nakazała nam, ażebyśmy się nadewszystko społecznie miłowali. Lecz my wstydzimy się tej Miłości, więc i Ona wstydzi się nas. Stąd niema końca utrapieniom ludzkim, głodom i wojnom powszechnym”.

Spotykam codziennie wielu ludzi. Rozmawiam z nimi o sprawach na dobie. Widzę, czego im brak. Miłości im nie dostaje. Kochają się samolubstwem zmęczonem i obojętnem. A tylko wielka Miłość mogłaby ich uleczyć. Gdyby wszyscy ludzie na ziemi miłowali się społecznie, wówczas każdy człowiek byłby półtora miljarda razy mocniej kochany niż jest, bowiem kochałaby go Ludzkość półtora miljarda serc licząca, a tak: lubi się sam jeden i dlatego wystarczyć sobie nie może. Gdy widzę wspaniałą prostotę tej prawdy oczywistej, chce mi się krzyczeć do ludzi nieznanym: — Przez litość własną — zmiłujcie się nad sobą! Nie wstyďte się Miłości Najwyższej, aby i Ona wreszcie przestała się wstydzić was!

Myślę nieustannie o Polsce. Cóż lepszego w tych czasach miałby Polak do myślenia? Są ludzie, którzy nie wierzą w to, iż duch w narodzie może się wzmóc aż do szczytów. Oni sprawę wiekiustą, jaką jest Polska, mierzą spadkiem lub zwyżką waluty. Dla nich Polska ginie już wówczas, gdy cena na artykuły pierwszej dla nich potrzeby wynosi dziś aż tyle, gdy wczoraj wynosiła tylko tyle. Są to ci sami, którzy nawet w listopadzie 1918 roku nazywali szaleństwem wiarę w Niepodległość Ojczyzny. Oni to podczas wrażeń nawały w lecie 1920 roku trwali w przerażeniu biernem, nie śmiąc przypuścić, że strатовana do połowy Rzeczpospolita powstanie na nogi jednego dnia i nad Wisłą groźnie zaryczy, niby srogi Lew, okrótną moc w kościach czujący. A jednak w powszechnym zamęcie polskiej współczesności pełni się jakiś wielki czas. Godzina nadchodzi ostateczna. Wzmoże się, wywspaniali, wybuchnie duch. Kto umie duchowo leżeć krzyżem na świętej ziemi polskiej i słuchać, co się w niej dzieje, — ten usłyszy, jakoby mnóstwo odmiennie tętniących serc.

To my: w nadziei zakonspirowani, legitymujący się Wiarą, zbrojni Miłością. W zgiełku życia jeszcze nie słysząc nas. Ale wkrótce wzmoże się w rzeszach dotkliwy głód tego, co jest niezbędnniejsze, niż chleb powszedni. A wtedy przyjdziemy my, duchem dzielni. Jesteśmy w drzwiach.

Stanie się z Polską w ów przełomowy dzień, jak w poranek kwietniowy bywa z gajem, który jeszcze onegdaj miał na swych różgach bezlistnych tylko oblepę pąków. Zazieleni się Polska cała wiosną ducha wybornego. Zaś ci, którzy uparcie nie wierzyli w żaden cud, choć tyle cudów w ich oczach się stało, będą zaskoczeni, jak człowiek, który w poranek kwietniowy ujrzy nagle gaj rozlistwiony, i jak on rzekną w zdumieniu: — Jeszcze onegdaj nie było tu jednego listka, a oto już gaj cały bujnym listowiem bucha, niby płomieniem zielonym!... Dziś wiemy po części, lecz wówczas Miłość Najwyższą wszyscy ujrzymy twarzą w twarz.

Jednak już teraz możemy rzec:

— Zdziercom wszelkiego rodzaju, siedzącym niby na gnoju, na stosach złupionych z bliźniego marek, których wartość spada zawrotnie w dół — politykom, sztukującym zgniłe koncepcje polityczne łątami nowych pomysłów — pisarzom, lejącym skwaśniałe wino sprzedajnych swych racyj do zwiótczałych miechów zadrukowanej bibuły — artystom kunsztu wszelakiego, którym „pogańska żądza doskonałości w pięknie wyjaławia serce” — tym wszystkim, wszystkim, którzy tyle razy oglądali, lecz nigdy w żaden nie uwierzyli cud — że w Polsce powstaje plemię nowych ludzi, jakich jeszcze nie widziano.

Jesteśmy w drzwiach.

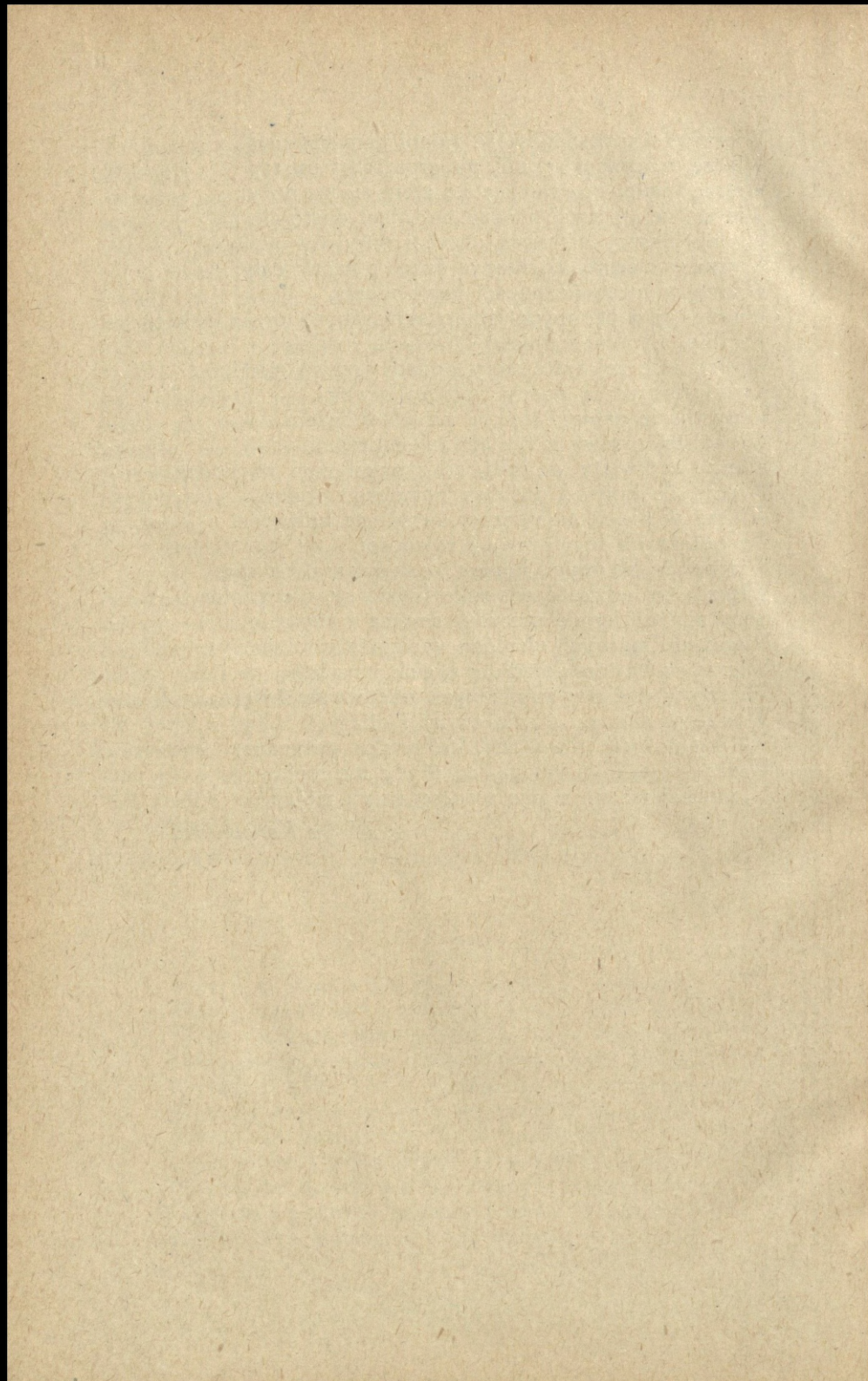
(Eugenjusz Małaczewski: „Koł na wzgórzu”. Wyd. 3-cie. Warszawa. Gebethner).

C R E D O

Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobytcze,
Wierzę w cel życia wzniosły, święty choć daleki,
Wierzę w braterstwo ludów, w hasła tajemnicze,
Które przez wrzawę dziejów wiekom dają wieki.
Wierzę w dobro, co z czołem białem od promieni
Wyleczy kiedyś ziemię z jej ran i z jej cieni...
Wierzę, że bohaterscy ducha pracownicy
Ujrzą jutrznię dni nowych ze swojej strażnicy.
Wierzę, że dawne błędy żelaznym łańcuchem
Ciążą nad późnych wieków i wolą i ruchem.
Wierzę w dziedzictwo kary, w pokutę dziejową;

Wierzę, że sprawiedliwość zstąpi nam królową...
Wierzę w ciszę i spokój po gromach i burzy;
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem się nie nuży...
Wierzę, że wytrwać można mężnie i dostojnie
W największej własnych uczuć i porywów wojnie.
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;
Wierzę w nieskończoności jasne ideały,
Wierzę, że z drobnych iskier, skrzęsanych przez dzieje,
Wielkie, wspólne ognisko ludzkości roztleje.
Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi,
Kędy się krzepią duchy wodami żywymi,
Kędy niskie zabiegi milkną przed obliczem
Wiekuistej ustawy z berłem tajemniczem...
Wierzę w kwiaty nadziei, co z mogił nam wschodzą,
Wierzę, że krzywd posiewy bohaterów rodzą...
Wierzę w parcie konieczne, świadome ludzkości
Do potężnych idei prawa i równości...
Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna,
Wierzę, że ludzkość wiecznie łudzić się nie zdolna,
Lecz nim dosięgnie prawdy, smutna i stęskniona
Nieraz do marnych cieniów wyciągnie ramiona.
Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę,
Wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte...
Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary.
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi...
I „niechaj mi się stanie według wiary mojej!”

Marja Konopnicka



SPIS TREŚCI

	Str.
PRZEDMOWA	5
I CZŁOWIEK — ISTOTA SPOŁECZNA	
Dr. Feliks Młynarski: „Człowiek — istota społeczna”	11
Bolesław Prus: „Społeczeństwo”	11
Jan N. Miller: „Współżycie i współpraca”	13
Woodrow Wilson: „Dlaczego?”	14
Marja Konopnicka: „Kto dla siebie pracuje”	15
II SOLIDARNOŚĆ SPOŁECZNA	
Adam Asnyk: „Solidarność społeczna”	19
Henryk Ford: „Wartość współpracy”	21
Marja Konopnicka: „Gdy cudze węgly”	22
Fr. W. Förster: „Braterstwo ludzi”	23
Leopold Staff: „Społem”	25
K. A. Czyżowski: „Hymn spółdzielców”	26
III FORMY I PRZEJAWY ŻYCIA SPOŁECZNEGO	
Maurycy Maeterlinck: „Życie społeczne pszczół”	29
Bolesław Prus: „Duch społeczny”	30
Władysław Reymont: „Grupa pielgrzymów”	31
Józef Conrad: „Kierownictwo”	35
Roald Amundsen: „Uznanie”	40
Lucjan Rydel: „Współzawodnictwo”	43
Edward Słoiński: „Walka społeczna”	46
Marjusz Zaruski: „Pogotowie ratunkowe w Tatrach”	47
Juljusz Kaden-Bandrowski: „Praca”	48
* * *	
„Międzynarodowa organizacja pracy”	51
Stefan Żeromski: „W fabryce”	52
Fr. W. Förster: „O twórczości w dziedzinie technicznej i społecznej”	54
Harrington Emerson: „Maszyna i jej znaczenie społeczne”	56
Józef Wasowski: „Triumf człowieka”	58
Jack London: „Głód wiedzy”	60
Lew Tolstoj: „Światło”	65

IV RODZINA

	Str
Marja Konopnicka: „Pieśń o domu”	69
Narcyza Żmichowska: „W domu rodzinnym”	70
Stefan Żeromski: „Ojciec”	73
Sewer: „Matka”	74
Juljusz Słowacki: „Do matki”	78
Romain Rolland: „Brat i siostra”	79

V OJCZYŻNA I NARÓD

Stefan Żeromski: „Ojczyzna”	85
Stanisław Wyspiański: „Polska”	87
Marja Konopnicka: „Ziemia — matka”	88
Henryk Sienkiewicz: „Tęsknota do ojczyzny”	89
* * * „Powrót do ojczyzny”	90
Wanda Krzyżanowska: „Dla ojczyzny”	91
Adam Mickiewicz: „Narodowość”	92
Aleksander Skrzyński: „Co to jest naród?”	92

VI PAŃSTWO

Platon: „Prawo”	97
H. Waltz: „Sprawiedliwość”	99
Henryk Fayol: „Ład”	103
Wacław Lipiński: „Wyzwolenie”	103
Eugenjusz Małaczewski: „Własne państwo”	106
Władysław L. Jaworski: „Istota demokracji”	108
Fr. W. Förster: „Głosowanie powszechne”	110
Alfred de Vigny: „Służba wojskowa”	111

VII OBYWATEL

Stefan Żeromski: „Obywatel”	117
Antoni Scheur: „Ku wyżynom”	119
Alfred de Vigny: „Obowiązek”	121
Jan Pascoli: „Nakaz bezwzględny”	122
Henryk Sienkiewicz: „Karność obywatelska”	123
Fr. W. Förster: „O wykształceniu politycznym”	126

VIII SŁUŻBA OBYWATELSKA

J. Wasowski: „Stanisław Staszic”	131
Fr. W. Förster: „W zaraniu nowej ery społecznej”	133
Andrzej Strug: „Nakaz społeczny”	135
Stefan Żeromski: „Zakon brata Alberta”	136
Annie Besant: „Ganga”	138
Stefan Żeromski: „Na niwie społecznej”	141
Selma Lagerlöf: „Służba społeczna”	142
Selma Lagerlöf: „Długi społeczne”	144

	Str.
Edward Abramowski: „Związki przyjaźni”	147
Stefan Żeromski: „Spisek”	150
* * * „Dwunastu bohaterów”	151
Marja Konopnicka: „Młody żołnierz”	152
Henryk Ford: „Twórczość i praca w służbie społecznej”	153
Woodrow Wilson: „Potęga polityczna w służbie ludzkości”	156
Jan N. Miller: „Sztuka w służbie społecznej”	159

IX. CHOROBY SPOŁECZNE

Emil Zegadłowicz: „O zwrotnicy źle nastawionej”	163
Marja Konopnicka: „Nędza”	163
Bernard Kellermann: „Bezrobotni”	165
Jack London: „Dziecko w fabryce”	166
Tadeusz Dębicki: „Wyzysk”	169
Teodor Dostojewski: „Więzienie”	171
Bolesław Prus: „Powracająca fala”	173

X IDEAŁY SPOŁECZNE

Bernard Kellermann: „Potęga organizacji”	179
Narcyza Żmichowska: „Szczęście”	180
Wiktor Hugo: „Dla przyszłości”	181
Henryk Ford: „Zło i dobro”	188
Juljusz Słowacki: „Opieka społeczna”	189
Eugenjusz Małaczewski: „Jesteśmy w drzwiach”	189
Marja Konopnicka: „Credo”	192



394681

12.